MAREK BUDZISZ: JAK ZAMACH W MOSKWIE ZMIENI LOSY WOJNY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
14 (592) 2024
2–7 kwietnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

DONALD TUSK

KULISY TYRANII

CO SIĘ DZIEJE NA ZAPLECZU EKIPY, KTÓRA RZĄDZI PRZEMOCĄ, PAŁĄ I UCHWAŁĄ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
14
9 772544 269403

eprasa.pl f32322db13

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

Książka o wrogach Chrystusa i życiu w czasach pierwszych chrześcijan:

- Kto odpowiadał za oskarżenie i śmierć Jezusa?
- Jaka była prawdziwa historia Judasza?
- Co o Piłacie mówią historyczne źródła?
- Dlaczego Neron mordował chrześcijan?

WAŻNA LEKTURA DLA KATOLIKÓW
| 300 LAT HISTORII | 296 STR.

100 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Znak, któremu sprzeciwiać się będą”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **349 zł**.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl f32322db13

To jest rechot z Polaków

Bitwa, którą Prawo i Sprawiedliwość wydało obozowi władzy z okazji 100 dni rządu, nie toczyła się w sprzyjających warunkach. Koalicja 13 grudnia wciąż jest pokryta warstwą teflonu i co najważniejsze – kordonu medialnej propagandy. Skutków lenistwa Tuska i znajomych jeszcze nie widać, stan spraw polskich – siłą rozpędu po rządach PiS – wciąż jest dobry. Destrukcyjne pomysły, jak mające nas ograbić ekstremistyczne nowe Zielone Łady czy waluta euro, nie weszły w życie. Do tego gorszące wyborców publiczne pyskówki w obozie prawicy. Władza nie boi się bezprawnie używać siły, spychając Polskę w stronę systemu przypominającego białoruski i rosyjski, gdzie przeciwnikom politycznym przypina się sfałszowane „kryminalne sprawy", a w finale najbardziej niepokornych po prostu eliminuje. Konstytucja już nie obowiązuje, rządzi policyjna pałka. Celem ma być zastraszenie Polaków.

A jednak mimo tych trudności ta bitwa została wygrana. Prawo i Sprawiedliwość znowu zebrało owoce stanięcia w prawdzie: bez mizdrzenia się do przeciwnika (co niektórzy podpowiadają), bez pychy i zarozumialstwa, z poważnym podejściem do spraw publicznych. Stwierdzam znowu, że pierwszym zwycięstwem były zeznania prezesa Jarosława Kaczyńskiego przed komisją pegasusową, także złożone w tym samym tonie.

Dzięki takiej postawie i dobrze wykonanej pracy przygotowawczej, krótkie obchody 100 dni władzy wykazały cynizm, z jakim ówczesna opozycja składała „100 konkretów". Do Polaków, mimo medialnego kordonu, dotarł przekaz, że w koalicji 13 grudnia nikt nie miał zamiaru realizować złożonych przyrzeczeń (co do niektórych spraw – to akurat dobrze), dziś nikt nie czuje z tego powodu wstydu.

Rządzący reżim czuje się tak pewnie, że otwarcie rechocze z oszukanych wyborczo Polaków. Mówią im wprost: mamy wasze głosy i nic już nam nie zrobicie. Telewizję, która mogła to nazwać, wyłączyliśmy za pomocą policji, do studiów TV wwieźliśmy policyjnymi sukami nowych „redaktorów". Pokazaliśmy, że opozycję będziemy zamykać w więzieniach, a krytyków spróbujemy zdelegalizować. Z cynicznym uśmieszkiem dodają, że niemiecka władza europejska tego właśnie sobie życzy.

Publiczności zamierzają rzucić emocjonalne paciorki: kłótnie o aborcję, brak religii na świadectwie, poklepywanie po plecach przez zadowolony ze spacyfikowania polskiej ambicji Berlin.

Ludziom oszalałym z nienawiści to wystarczy. Ale większości nie. Polacy, z desperacji czy głupoty, w sporej części naprawdę uwierzyli zawodowym kłamcom. Uwierzyli, że Tusk i ekipa zbiją ceny paliwa do 5 zł za litr, zlikwidują obowiązkowy ZUS, obniżą podatki, dadzą lepszy kredyt mieszkaniowy, a akademiki będą po złotówce. Itp., itd.

Obiecywali tak dużo i tak bezczelnie, oszukując, że dziś muszą kasować dawne spoty i bełkotać o „przenośniach".

Polska, która nie mieszka w wielkich miastach, już czuje, że dobre czasy się skończyły. Ten rozwój zostanie zahamowany. Nie będzie inwestycji, obwodnic – będą niemieckie wiatraki na wywłaszczonych podwórkach i straszliwe koszty energii, wprowadzone tuż po czerwcowych wyborach europejskich, by ludzie zauważyli podwyżki dopiero na grudniowych rachunkach.

To bardzo łatwopalne politycznie podłoże. Wystarczy, że coś naprawdę się zepsuje, rozwali, przestanie działać, realnie pogorszy – nawet nie z ich winy – a nastąpi eksplozja rozczarowania. Już dziś w wielu środowiskach stali się memami. Zużywają się szybciej niż sądziłem i niż oni widzą. Możliwe, że pokaże to już wynik wyborów samorządowych, może dopiero europejskich, a może aż prezydenckich. Ale kierunek jest wyraźny.

Rządzący nami „królowie kłamstwa" zapłacą za swoją obłudę wysoką cenę, może szybciej, niż myślimy.

Z tych dni płynie ważny wniosek: mimo pokusy pójścia w „fajność" czy duchowej i programowej kapitulacji, Prawo i Sprawiedliwość, jeśli naprawdę chce zwyciężać, musi pozostać poważną partią. W traktowaniu serio relacji słów do czynów, w narzucanym przez Jarosława Kaczyńskiego upartym dążeniu do realizacji programu krył się sukces lat 2015–2023. I tam jest też recepta na odzyskanie władzy. Ale trzeba mieć też świadomość, że bez twardego boju rzadko się wygrywa w polityce.

Michał Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści

29 Demokracja pały
Konrad Kołodziejski

32 Koalicja wrogów
Stanisław Janecki

55 Prawda i fikcja
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **CASUS BIEŁSATU**
Bronisław Wildstein

9 **GADŻETOMANIA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **CZEŚĆ, STARY!**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **BEZBOŻNICY STWORZYLI NOWEGO BOGA**
Samuel Pereira

14 **WALIZKA TOBIASZA BOCHEŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **NIEPRZERWANA REWOLUCJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **WYJECHAŁ, ALE JEST Z NAMI**
Maciej Walaszczyk

TEMAT TYGODNIA

22 **ANIHILATORZY**
Marek Pyza

KRAJ

26 **TUSK SIĘ DOPIERO ROZPĘDZA**
Jan Rokita

29 **DEMOKRACJA PAŁY**
Konrad Kołodziejski

32 **KOALICJA WROGÓW**
Stanisław Janecki

36 **POLITYKA PROATLANTYCKA CZY AUTONOMIA STRATEGICZNA EUROPY?**
Jan Parys

39 **AROGANCCY PREZYDENCI MIAST**
Jakub Augustyn Maciejewski

42 **Z RAFAŁEM PORZEZIŃSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

46 **KROKUS I PRZYSZŁOŚĆ WOJNY NA UKRAINIE**
Marek Budzisz

49 **PRAWDA I FIKCJA**
Dariusz Matuszak

52 **Z NICOLASEM BAYEM**
rozmawia Małgorzata Wołczyk

55 **PRAWDA I FIKCJA**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

58 **Z ANETĄ BARCIK**
rozmawia Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

61 **WIĘCEJ NIŻ FILM**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **PRZED NAMI NIEDZIELA MIŁOSIERDZIA**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: KAMIL WODKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

73 **LOGIKA**
Lech Makowiecki

74 **ZŁO „ŁADNIE I BARDZO PROSTO OPISANE”**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 23/0224/F

eprasa.pl f32322db13

Wspólnie
dla zielonej
energii w Polsce

Myślimy o przyszłości. Chcemy zapewnić klientom dostęp do czystej energii

Jesteśmy jednym z liderów zielonej energetyki w Polsce.
Jako część Grupy ORLEN realizujemy ambitny plan zmniejszenia emisyjności wytwarzanej energii. Dążymy do tego m.in. poprzez rozwój OZE na lądzie i udział w projektach morskich farm wiatrowych. Dbamy o równowagę między zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego, a troską o nasze otoczenie.

Zrównoważony rozwój. Z szacunkiem dla środowiska.

Wspólnie dla
EKOLOGII

Energa
GRUPA ORLEN

eprasa.pl f32322db13

Sygnalista nadaje

Portal wPolityce.pl opisał kulisy wejścia służb do domu ***Zbigniewa Ziobry***: „Chodziło o pokazówkę, by zastraszyć i pokazać bezwzględność. W domu nie było właścicieli. Nie było osoby towarzyszącej. Rozebrano płot, ABW zakrywało kamery. Dlaczego ktoś zakrywa kamery monitoringu, skoro nie ma nic do ukrycia? Wybito okno. Jeśli ktoś prowadzi czynności zgodnie z prawem, działa legalnie i nie ma nic do ukrycia, to nie musi się bać". Władza może dziś wszystko. Prawo nie chroni obywateli. W sensie ustrojowym jest dokładnie tak jak w PRL.

Rozmówcy portalu wPolityce.pl podkreślają: Ziobro nie ma postawionych zarzutów, nie jest (przynajmniej oficjalne) osobą podejrzaną. Telefon do byłego ministra sprawiedliwości jest powszechnie znany. Właściciel przeszukanego mieszkania ma prawo uczestniczyć w tych czynnościach. Może go też zastąpić pełnomocnik prawny lub inna osoba. Włamanie do domu Ziobry mogło więc mieć na celu polityczną pokazówkę lub próbę zamontowania podsłuchów. Ważna jest również skala przedsięwzięcia: w akcji służb uczestniczyło kilkanaście pojazdów i nawet kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Sam Zbigniew Ziobro w dniu akcji przechodził konsultacje medyczne, wyjechał więc z domu. Wiele wskazuje na to, że od kilku dni mógł być obserwowany przez służby specjalne. Oto uśmiechnięta Polska w pigułce.

Mecenas Bartosz Lewandowski podaje kolejne szczegóły operacji wymierzonej nie tylko w Zbigniewa Ziobrę, lecz także w kilku innych posłów Suwerennej Polski: „Moi klienci lubią używać takiego sformułowania »kipisz«, czyli doszło do otwierania szafek, przeszukiwania rzeczy, garnków. W garnkach też mogą być jakieś pendrive'y, jakieś rzeczy, które mogą stanowić dowód w śledztwie i to trwało". I to długo – aż do 5.50 nad ranem, czyli prawie 24 godziny. Mecenas Lewandowski: „Pytanie do Prokuratury Krajowej: Skoro szukaliście państwo rzekomo materiałów związanych z Funduszem Sprawiedliwości, to po co zatrzymano m.in. papierową analizę strategii komunikacyjnej Zjednoczonej Prawicy?". Funkcjonariusze weszli także do domu teściów Ziobry, gdzie przebywały jego dzieci i odebrali im tablety oraz telefony. Uśmiechnięta Polska Tuska uśmiecha się również do dzieci.

W związku z polityczną akcją służb specjalnych Zbigniew Ziobro wrócił z badań i wystąpił przed dziennikarzami. „Państwo słyszycie, jest trochę inny [głos – przyp. red.] niż zwykle, ale jest to rezultat operacji, którą niedawno przeszedłem, przerwałem aktualnie terapię po operacji, żeby tutaj do państwa z daleka przyjechać" – mówił wyraźnie osłabiony. I dodał: „Jest to prawdopodobnie wyraz desperacji związanej z ciężką porażką, jaką było przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego. Desperacka próba znalezienia czegokolwiek". Zdaniem byłego ministra sprawiedliwości „chodziło o teatr". „Teatr jest. A prawda o tym, że rzekomo moja rodzina miała się kontaktować ze mną i odmawialiśmy dostępu tutaj do domu jest taka, jak twierdzenie, że symuluje chorobę nowotworową i nie miałem niedawno ciężkiej operacji nowotworu przełyku" – mówił Ziobro. Nie mają litości. Czekistowska tradycja.

eprasa.pl f32322db13

Akcję służb ochoczo komentowali politycy rządzącej koalicji. Donald Tusk postanowił „popisać" się w tym kontekście cytatem z Juliana Tuwima: „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość". ***Borys Budka***: „A to dopiero początek...". Jan Grabiec: „Są konkrety". Marcin Kierwiński: „Dzisiejsza akcja prokuratury i służb to jasny sygnał, że polskie państwo działa. I nie ma już »kasty bezkarnych«. Kto popełnił przestępstwo, ten będzie za nie odpowiadał. To prosta zasada". Wszystkich przebiła jednak Marta Wcisło: „Wszyscy odpowiedzialni za łamanie prawa będą stopniowo rozliczani. Terror praworządności trwa". Nigdy nie zapominajcie: pycha kroczy przed upadkiem.

Co na to wszystko obecny minister sprawiedliwości? Czy popiera prześladowania i nękanie posłów dysponujących przecież immunitetem? „O ile wiem, wszystko zostało dokonane zgodnie z procedurami" – mówi (obłudnie) ***Adam Bodnar***. I dodaje: „Jeżeli jest to niezbędne do zdobycia kwestii, które są związane ze zdobywaniem dowodów, to można oczywiście dokonywać przeszukań tego typu siedziby". Wreszcie sedno argumentacji: „Musimy pamiętać o tym, że dochodziło w ostatnim czasie do licznych przeszukań, jeśli chodzi o posłów i sam prokurator generalny Zbigniew Ziobro twierdził, że wszystko jest zgodne z prawem". Bodnar jedno już osiągnął: odegrał historyczną rolę w kompromitacji ruchu obrony praw obywatelskich. Kiedyś będzie tego bardzo żałował.

Jarosław Kaczyński podsumował antykonstytucyjny „dorobek" koalicji 13 grudnia: „To oczywiste działanie, które odpowiada – jak to się mówi – dyspozycji art. 127 Kodeksu karnego o zmianie ustroju siłą". Dopytany, czy jego zdaniem Donald Tusk kwalifikuje się pod ten artykuł, prezes PiS powiedział: „W oczywisty sposób w moim przekonaniu się kwalifikuje, a to jest bardzo ciężki artykuł, od 10 lat do dożywocia". Z tego, co słychać, rządzący też wiedzą, co zrobili. Będą uciekali w jeszcze większą brutalność, ale las Birnam w końcu ruszy.

W rozmowie z radiem Plus Jarosław Kaczyński wskazał na dwa kłamstwa ekipy Donalda Tuska. „Pierwsze kłamstwo dotyczyło rzekomej »dyktatury« i rzekomego łamania praworządności w Polsce, a drugie kłamstwo to »100 konkretów«" – mówił, podkreślając, że ekipa Tuska funduje „igrzyska", która odbywają się z łamaniem prawa. „To stan, w którym przestała obowiązywać konstytucja ze wszystkimi tego konsekwencjami". Wniosek? „W przyszłości trzeba będzie uchwalić nową konstytucję. Ta konstytucja nie tylko nie obowiązuje, ale pokazała, że nie zawiera przepisów, które powstrzymałyby tego rodzaju działania". Nowa konstytucja to nowy początek. Nasza państwowość bardzo tego potrzebuje.

Gospodarz audycji Jacek Prusinowski zapytał prezesa PiS o relacje z głową państwa. Kaczyński przyznał, że nie rozmawiał z Dudą w cztery oczy od czterech lat, ale nie ma zamiaru tego komentować. „Przyjąłem taką zasadę, że jeżeli chodzi o pana prezydenta, to ani słowa" – powiedział. I dodał: „Uważam, że to jest człowiek, który dwa razy wygrał wybory ze wsparciem naszego obozu i niezależnie od różnic zdań to jest najważniejsze". Prezes PiS odpowiedział też na pytanie, czy po ewentualnym powrocie PiS do władzy widzi jakąś rolę dla Andrzeja Dudy: „To jest kwestia decyzji samego prezydenta. [...] Na pewno nie będę prowadził wojny z panem prezydentem, niezależnie od tego, co będzie chciał robić. No, chyba że by całkowicie zmienił opcję, ale w to nie wierzę". Zwycięstwa prezydenta trzeba doceniać, ale trzeba też pamiętać, że nie byłoby ich, gdyby nie obóz, który zbudował Jarosław Kaczyński.

Sam prezydent ***Andrzej Duda*** tak skomentował działania ekipy Tuska: „Wszędzie tam, gdzie dochodzi do bezprawia, ci, którzy się go dopuszczają, muszą się liczyć z prawnymi konsekwencjami, które – tak jak powiedziałem – prędzej czy później nastąpią". Prezydent dodał: „Zakładam – zdrowy rozsądek tak mi podpowiada – że jeśli ktoś, czy to ze służb, czy prokuratury, pozwala sobie na takie działania wobec posłów, którzy przez lata sprawowali bardzo ważne funkcje publiczne, to zakładam, że ma ku temu podstawy. I że społeczeństwo będzie mogło te podstawy, które uprawniają go – jego zdaniem – do takiego działania, zobaczyć. Bo jeżeli nie, to odpowiedzialność karna jest nieuchronna". Zdrowy rozsądek umarł. Rządzi czysta nienawiść.

Według komentatorów i ekspertów zmiany w składce zdrowotnej przedsiębiorców zapowiedziane przez ministra finansów Andrzeja Domańskiego będą się wiązać z uszczupleniem budżetu Narodowego Funduszu Zdrowia o 5 mld zł. Działacz społeczny Jan Śpiewak zwraca uwagę, że to kwota większa niż zebrana przez wszystkie lata działalności Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. „WOŚP przez 32 lata działalności zebrał na służbę zdrowia 2 mld zł. Platforma i Trzecia Droga chcą zabrać służbie zdrowia ROCZNIE 5 mld zł. Tak właśnie wygląda polityka neoliberałów. Prywatna filantropia dla zabicia sumień i podkładka, żeby bogaci nie płacili podatków i składek". Przyjdzie czas, że większość społeczeństwa zrozumie, że rządy PiS naprawdę opłacały się Polsce.

Fot. Andrzej Wiktor (2x), Julita Szewczyk (2x), Mateusz Zelnik

eprasa.pl f32322db13

BRONISŁAW WILDSTEIN

Casus Biełsatu

Tytułowy przypadek to z jednej strony studium obyczajów „koalicji 13 grudnia", a jednocześnie sprawa bez porównania poważniejsza, choć kultura rządzących nami jest sprawą istotną. Zacznijmy więc od jej opisu.

Do gabinetu Agnieszki Romaszewskiej, dyrektor Biełsatu, twórczyni tego kanału i opozycjonistki z epoki PRL, wkracza w towarzystwie agentów szef ochrony TVP, wręcza jej dyscyplinarne wymówienie, dokonuje niezwykle szczegółowej rewizji (grzebie w jej rzeczach osobistych), przy okazji rekwirując uznaniowo niektóre obiekty, np. pendrive'y, po czym demonstracyjnie, pod eskortą, wyprowadza ją do wyjścia, tak by nie uszło to uwagi komukolwiek z pracowników stacji.

Samo zwolnienie odwołuje się do nieistniejących faktów, ale nie tym chcę się zajmować. Zachowanie władz TVP manifestuje raz jeszcze, że „koalicja 13 grudnia" jest nią nie tylko z nazwy, a ton nadają jej sojusznicy z PZPR i SB, o których interes tak twardo walczą obecnie rządzący. Dowodzi, że ministra kultury ukształtował nie staż opozycyjny, ale jego mentorzy z komunistycznych organów, którzy pod okiem pierwszego „niekomunistycznego" szefa MSW Krzysztofa Kozłowskiego formatowali służby specjalne, jak się okazuje, tylko do pewnego stopnia nowego państwa.

Pracownicy Biełsatu, których większość stanowią Białorusini i Ukraińcy, obserwując wyprowadzanie swojej dyrektor, musieli przypominać sobie znane im ze swoich krajów praktyki. I o to chodziło.

To wszystko ważne, ale nie najważniejsze. Najważniejsze jest niszczenie najbardziej skutecznej, skierowanej na wschód instytucji politycznej, której III RP dopracowała się w ciągu swojego trwania. Rola owego miękkiego oddziaływania, czyli „soft power", rozumiana jest coraz powszechniej. Jak widać jednak nie przez rząd Tuska.

Bo Biełsat to już dawno nie wyłącznie stacja informująca o wydarzeniach na Białorusi. To działający coraz mocniej w mediach społecznościowych i tam skutecznie konkurujący z zachodnioeuropejskimi projektami ośrodek kształtowania opinii społecznej u naszych wschodnich sąsiadów, nie wyłączając Rosjan. Coraz szerzej oglądane portale w językach białoruskim, rosyjskim i polskim, rozbudowywane coraz bardziej o inicjatywy ukraińskie, są tego najlepszym dowodem. Ponieważ platformy te tworzone są przez przedstawicieli narodów, do których są skierowane, cieszą się dużo większym zaufaniem i służą wypracowywaniu politycznego porozumienia, a więc pełnią istotną rolę w tworzeniu realnej wspólnoty Europy Środkowo-Wschodniej. Zwłaszcza że dziennikarze i twórcy Biełsatu należą do elity swoich narodów, a stacja stawała się coraz wyraźniej promieniejącym na wschód ośrodkiem opiniotwórczym.

Trudno przecenić rolę takiej instytucji, gdyż na pokolenia buduje ona kapitał współpracy i zaufania tak potrzebnego nam w regionie. Na dodatek biorąc pod uwagę znaczenie przedsięwzięcia i ceny takich inicjatyw, jego koszty są znikome.

Legalne władze TVP zatwierdziły budżet stacji na 75 mln zł; ekipa Sienkiewicza zredukowała go do 45 mln i ogłosiła, że stacja zostanie połączona z TVP World, kanałem, który służy głównie informacji za granicami Polski o niej i jej polityce. Oszczędność 30 mln jest żadna ze względu na wartość takich długofalowych inicjatyw. Poprzedni resort zagraniczny rozumiał to i uzupełniał potrzebne Biełsatowi fundusze.

Rozumieli to także nasi najważniejsi alianci, czyli Amerykanie, którzy wspierali stację niewielkim, ale symbolicznie znaczącym datkiem. Dziś wyrażają niepokój w odniesieniu do realnej likwidacji Biełsatu. Co jest tego przyczyną?

Potrzeba takich przedsięwzięć, zwłaszcza dziś, w dobie militarnej agresji Rosji, jawi się jako oczywista. Nie chodzi przecież o personalną sprawę Romaszewskiej, która dała do zrozumienia, że przekaże sterowanie Biełsatem swojemu następcy, jeśli zachowane zostaną warunki pełnienia przez stację swojej misji. W przeciwieństwie do adwersarzy ważny jest dla niej interes państwa.

Mało prawdopodobne, aby europejscy protektorzy Tuska zajmowali się tak partykularną sprawą i dawali do zrozumienia, że nie życzą sobie Biełsatu. Nie muszą, bo ekipa Tuska–Sikorskiego międzynarodową inicjatywę pozostawiła unijnym potęgom, zwłaszcza Berlinowi, a naszą rolę zredukowała do ich wspierania, gdyż przecież to oznacza dosłownie polityka „płynięcia w głównym nurcie". Jakakolwiek próba rozpoznania naszych odmiennych interesów i nadania im politycznej formy nazywana jest „polską megalomanią" i „brząkaniem szabelką" – to stały element pogłębiania kompleksów i kreowania wszechobecnej polskiej mikromanii. Zgodnie z nią wezwanie do rezygnacji z autonomii nazywane jest politycznym realizmem.

MSZ RFN ogłosiło ostatnio wsparcie inicjatyw medialnych w języku rosyjskim, pod warunkiem, że będą one nadawały z Niemiec. Rozumiemy, że powinno nam to wystarczyć.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f32322db13

Gadżetomania

W kampanii samorządowej kandydaci też sięgają po gadżety. Rafał Trzaskowski np. po książki

Gadżety w polityce robią zawrotną karierę. Jest gadżet – będą komentarze, widzowie, pójdzie w świat. Kto nie pamięta konferencji Janusza Palikota, na której występował z wibratorem w jednym i z bronią w drugim ręku? Pewnie mało kto pamięta, że chodziło wtedy o ukaranie podejrzanych o gwałt i molestowanie funkcjonariuszy lubelskiej policji. Świński ryj w studiu Bogdana Rymanowskiego też pamięta każdy. Janusz Palikot przyniósł również gadżet Michałowi Listkiewiczowi, ówczesnemu prezesowi Polskiego Związku Piłki Nożnej. To był czas, gdy naszym futbolem wstrząsnęła afera korupcyjna, a Listkiewicz siłą rzeczy stał się jej twarzą.

Po gadżety sięgają też politycy w kampaniach wyborczych. Przypomnijmy pomysł Andrzeja Dudy, który przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2015 r. zaskoczył Bronisława Komorowskiego. Rywal urzędującego prezydenta w trakcie debaty postawił na pulpicie głowy państwa flagę z logo Platformy Obywatelskiej. Andrzej Duda podkreślał, że Bronisław Komorowski „jakoś dziwnie unika partii, która go firmuje, która, jakby nie było, finansuje jego kampanię". I dodał, że wyborcy powinni wiedzieć, z czyim kandydatem mają do czynienia. Komorowski zareagował lekkim zmieszaniem i wezwaniem oponenta do przeprosin, a następnie odstawił flagę na pulpit prowadzącej tę część debaty Moniki Olejnik, mówiąc, że „byłaby pewna nierównowaga". Dziennikarka odstawiła flagę na bok. A w mediach społecznościowych szeroko komentowano ten gest jako wyprowadzenie flagi PO. Andrzej Duda wygrał wybory prezydenckie.

Mateusz Morawiecki przed wyborami parlamentarnymi przyniósł na debatę do TVP dwuzłotową monetę, która miała być symbolem niskich waloryzacji emerytur za czasów rządów Donalda Tuska. Położył ją na pulpicie. Do dziś nie wiadomo, co stało się z nią później. PiS, choć wybory wygrało, nie zdołało utworzyć rządu.

W kampanii samorządowej kandydaci też sięgają po gadżety. Rafał Trzaskowski np. po książki. W tej kampanii pojawiło się jego zdjęcie z metra, gdy podróżuje zaczytany. Lekturą była „Diuna", i to podobno w oryginale. Pech chciał, że internet nie zapomina i internauci od razu przypomnieli zdjęcia Trzaskowskiego z wcześniejszych lat, gdy również podróżował z lekturą. Fotografie pochodziły z 2018 r., kiedy kandydował na prezydenta Warszawy i z 2020 r., kiedy chciał zostać prezydentem Polski.

Sprawę błyskawicznie wykorzystał popierany przez PiS Tobiasz Bocheński, kontrkandydat Trzaskowskiego. Na TikToku opublikował zabawny film, na którym widać kobietę, która podchodzi do jadącego metrem kandydata. „Panie Tobiaszu, jak to możliwe, że jedzie pan metrem bez fotografa i kamerzysty? – pyta kobieta. – Również jak wyglądam przez okno, to nie widzę, żeby świat płonął" – odpowiedział kandydat, który na kolanach ułożył zestaw opasłych tomów, głównie z półek „historia" i „literatura faktu". Strzał celny i głośno komentowany.

„Komentujecie foty prezydenta miasta w komunikacji miejskiej? Super, bo wywołujecie temat popularności naszego transportu zbiorowego w mediach. W kampanii moi ludzie robią mi foty w metrze? No, robią, bo za mną chodzą. Szczęście, że nie łażą tak często poza kampanią" – ripostował prezydent stolicy. Sami z siebie chyba nie chodzą? A prezydent Trzaskowski powinien już zmienić opatrzony gadżet i pomysł na kampanię. Dobrze, że tym razem obyło się bez taśmy klejącej i drzwi, bo tamten gadżet długo wzbudzał salwy śmiechu.

Innych rekwizytów użyła dwójka kandydatów na urząd prezydenta Łodzi. Przynieśli je na zwołane przez siebie (niezależnie) konferencje prasowe. Agnieszka Wojciechowska van Heukelom (PiS) miała czerwoną rękawicę, zaś Jan Waliszewski – małą gaśnicę. Rękawica miała być symbolem wyzwania na pojedynek słowny, bowiem prezydent Łodzi Hanna Zdanowska odmawia udziału w debatach. Gaśnica zaś miała symbolizować wygaszenie prezydentury Zdanowskiej. Ostatnio mieszkańcy Śląska przywieźli marszałkowi Sejmu Szymonowi Hołowni młot, który miałby mu pomóc wgnieść w ziemię Władimira Putina.

Gadżety niestety nie gwarantują zwycięstwa, ale przynajmniej zapadają w pamięć.

Dorota Łosiewicz

Fot. Amit.pansuriya/Shutterstock.com

Indie

Alternatywny wzorzec demokracji

Indie przygotowują własny ranking demokracji. To odpowiedź rządu premiera Narendry Modiego na niedawny spadek pozycji Indii w zachodnich indeksach mierzących poziom wolności i demokracji w poszczególnych państwach świata.

Od kilku lat status Indii w międzynarodowych rankingach konsekwentnie spada. Główną przyczyną degradacji tego kraju jest nacjonalistyczny kurs, przyjęty przez od dziesięciu lat rządzącą państwem Indyjską Partię Ludową premiera Modiego. To właśnie za jego rządów nasilił się konflikt pomiędzy hinduską większością i miejscowymi muzułmanami. Przejawiło się to m.in. w cofnięciu półautonomicznego statusu Kaszmiru oraz przyjęciu ustawy o zmianie obywatelstwa, która dyskryminuje wyznawców islamu. Niepokój zachodnich rządów wzbudza także Krajowy Rejestr Obywateli, który w założeniu ma obejmować wszystkich legalnych mieszkańców Indii. Istnieją podejrzenia, że nie będą do niego wpisywani muzułmanie, co może być krokiem do ich deportacji.

W rezultacie tych posunięć status Indii w wielu zagranicznych rankingach demokracji został obniżony. W amerykańskim indeksie Freedom House w 2021 r. Indie spadły z poziomu „wolnej demokracji" do „częściowo wolnej demokracji". Szwedzki instytut V-Dem sklasyfikował to państwo jako „wyborczy autorytaryzm" (czyli autorytaryzm zachowujący fikcję wolnych wyborów), a w Indeksie Demokracji zostało ono określone mianem „demokracji wadliwej".

Spadające notowania bardzo oburzyły indyjskie władze. Rząd w Delhi stwierdził, że Indie „nie potrzebują kazań", a minister spraw zagranicznych oskarżył zachodnie instytucje o hipokryzję i nazwał je „samozwańczymi opiekunami świata, którym bardzo trudno jest znieść fakt, że ktoś w Indiach nie szuka ich aprobaty".

W odpowiedzi indyjskie władze postanowiły stworzyć własny indeks demokracji. „Poza Zachodem istnieje duży demokratyczny świat, który nadaje demokracji i pluralizmowi bardziej uniwersalny charakter" – wyjaśniło indyjskie MSZ, a podczas Szczytu Demokracji w Korei Południowej szef dyplomacji Subrahmanyam Jaishankar odniósł się do indyjskich świętych pism jako dowodu długich tradycji demokratycznych Indii. „Starożytna cywilizacja Indii, naznaczona głębokimi tradycjami filozoficznymi i głębokim szacunkiem dla wolności jednostki, położyła podwaliny pod dzisiejsze ideały demokracji" – stwierdził.

Indyjskiemu rządowi, szykującemu alternatywny wzorzec demokracji, nie chodzi jednak tylko o urażoną dumę. Jest też bardziej prozaiczny powód: pieniądze. Władze w Delhi obawiają się bowiem, że rankingowe spadki mogą mieć negatywny wpływ na gospodarkę. Dlatego Indie chcą udowodnić swoje przywiązanie do demokracji, nawet jeśli nie ma ona zbyt wiele wspólnego z tą zachodnią.

Konrad Kołodziejski

Żywieniowa inżynieria społeczna

Szwecja

W krajach skandynawskich mięso i cukier mają zostać obłożone specjalnym, dodatkowym podatkiem. Wszystko po to, aby – jak się wyrażono – „ułatwić obywatelom życie w sposób zrównoważony, zdrowy i bardziej przyjazny dla klimatu".

Narzędziem tej inżynierii społecznej jest oczywiście manipulacja stawkami podatkowymi i dotacjami, a także regulacje dotyczące etykietowania towarów wprowadzanych do obrotu. Sformułowanie rygorystycznych wytycznych miałoby ograniczyć sprzedaż żywności uznanej za niezdrową i przyczyniającą się do otyłości oraz takiej, która ma „negatywny wpływ na klimat". W praktyce będzie to oznaczać opodatkowanie niektórych rodzajów mięsa i akcyzę na napoje z dodatkiem cukru.

„Nie wolno nam zamykać oczu na rolę żywności w pracy na rzecz klimatu i zdrowia" – napisała Karen Ellemann, duńska polityk i sekretarz generalna Nordyckiej Rady Ministrów w artykule opublikowanym na łamach szwedzkiego serwisu „DN Debatt". „Wycofujemy się z paliw kopalnych, ale żywność nie może być wycofana, aby ratować klimat" – stwierdziła. Dlatego należy zmodyfikować jej produkcję i spożycie.

Apel z zadowoleniem przyjęło Szwedzkie Towarzystwo Onkologiczne. Jego sekretarz generalna Ulrika Årehed Kågström potwierdziła, że otyłość stanowi obecnie jedno z głównych ryzyk zachorowania na raka, większe niż np. palenie tytoniu. I tak jak zakaz reklamy papierosów spowodował stopniowe ograniczenie nałogu tytoniowego, teraz powinien objąć żywność uznaną za niezdrową.

Propozycja szefowej Nordyckiej Rady Ministrów nie jest niczym oryginalnym, stanowi bowiem element odgórnej, globalnej kampanii promowania niskobiałkowej diety piętnującej mięso. Jesienią w Parlamencie Europejskim debatę na ten temat zainicjowali Zieloni, ale skończyła się na niczym. Tu argument jest ten sam – gazy cieplarniane z chowu zwierząt stanowią ok. 57 proc. ich globalnej emisji. Wątpliwości budzi jednak to, czy nowy podatek nie odbije się negatywnie na budżecie najmniej zamożnych Europejczyków. A w efekcie na jakości ich diety oraz zdrowiu.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f32322db13

Fot. Bruno Medley/Shutterstock.com

Kuba

Gospodarka na dnie

Kuba przeżywa najgorszy kryzys od czasów upadku komunizmu w ZSRR. Kraj boryka się z recesją, dwucyfrową inflacją, brakami w dostawach żywności i załamaniem się systemu energetycznego, co powoduje trwające po kilkanaście godzin dziennie przerwy w dostawach prądu.

Załamanie gospodarki, która nie otrząsnęła się jeszcze z problemów związanych z pandemią, jest znacznie gorsze od podobnego kryzysu po upadku ZSRR, gdy Moskwa wstrzymała pomoc, dzięki której Kuba mogła w miarę normalnie funkcjonować. W latach 90. ub.w. PKB tego komunistycznego kraju skurczyło się o jedną trzecią, ale wówczas władzy udało się przetrwać, bo kraj dysponował rezerwami zgromadzonymi w poprzedniej dekadzie.

Obecny kryzys kubańskiej gospodarki został spotęgowany wstrzymaniem pomocy przez przeżywającą trudny okres Wenezuelę oraz Rosję, która jest zajęta wojną i w związku z międzynarodowymi sankcjami niezdolna do utrzymywania komunistycznej Kuby. W ub.r. rząd w Hawanie pięciokrotnie podniósł ceny benzyny oraz ograniczył dostawy prądu dla dużych odbiorców. Pierwsze posunięcie miało zmniejszyć deficyt budżetowy, który jest pogłębiany dotowaniem przez władze cen większości artykułów pierwszej potrzeby. Inflacja, która w ub.r. – według oficjalnych i podawanych w wątpliwość danych – wynosiła 30 proc., wcale nie zwolniła, a wręcz przeciwnie – przyspieszyła. Z kolei kłopoty z dostawami energii elektrycznej mają związek z fatalnym stanem nieremontowanej od 40 lat infrastruktury, bo zbudowane przez Rosjan elektrownie są u kresu technicznej żywotności.

Kryzys pogłębia się także w związku z niewydolnością kubańskiego rolnictwa i już spowodował emigrację w ostatnich dwóch latach z wyspy 500 tys. osób, co dla kraju zamieszkanego przez 11 mln ludzi było niemałym ciosem. Pogarszające się warunki życia doprowadziły do spontanicznych demonstracji – w ub. tygodniach doszło do nich w czterech miastach na wschodzie kraju, w tym w drugim pod względem wielkości Santiago de Cuba.

Władze, które w czasie podobnych protestów w 2021 r. aresztowały tysiące demonstrantów (niektórzy z nich nadal przebywają w więzieniach), tym razem zareagowały inaczej i oprócz represji zaczęły dostarczać większe ilości ryżu, oliwy i cukru do objętych niepokojami miast. W opinii obserwatorów może to świadczyć o tym, że komunistyczny reżim słabnie i kraj może wejść na drogę demokratycznych zmian.

Marek Budzisz

Malezja

Obraźliwe skarpetki

Czy skarpetki mogą wywołać kryzys polityczny? Okazuje się, że tak, o czym przekonuje przykład Malezji. Z okazji ramadanu działająca na tamtejszym rynku sieć sklepów KK Super Mart wystawiła na sprzedaż skarpetki z napisem „Allah". Wywołało to gwałtowne protesty muzułmanów, którzy stanowią 56 proc. ludności kraju. Na resztę populacji składa się wielobarwna mozaika różnych religii, wśród których najliczniejsi są przedstawiciele chrześcijaństwa (9 proc.), hinduizmu (6 proc.) i buddyzmu (5 proc.). W tak wielowyznaniowym państwie władze muszą szczególnie dbać o spokój społeczny, aby nie doprowadzić do wybuchu zamieszek na tle religijnym.

Umieszczenie napisu „Allah" na skarpetkach zostało uznane przez malajskich wyznawców islamu za obraźliwe, a nawet bluźniercze. Ostro zareagował król Malezji, sułtan Ibrahim Sultan Iskandar, który wezwał służby państwowe do natychmiastowej reakcji. „Bez względu na to, czy incydent był zamierzony, czy nie i czy skarpetki zostały przywiezione, czy wyprodukowane lokalnie, chcę, aby władze przeprowadziły dochodzenie i podjęły rygorystyczne działania zgodnie z prawem, aby podobne przypadki nie powtórzyły się" – powiedział monarcha.

Swoje oburzenie wyraził także premier Datuk Anwar Ibrahim, który potępił winnych, dodając jednak, że kara dla nich nie powinna być nadmierna. Poprosił też mieszkańców, by nie wyolbrzymiali incydentu i nie traktowali go jak „wielkiej katastrofy w kraju".

Do akcji oburzenia przyłączyli się też politycy niemuzułmańscy, w tym chrześcijańscy, dodając, że nie można wystawiać na widok publiczny i sprzedawać towarów obraźliwych dla jakiejkolwiek religii. W takich przypadkach chrześcijanie stają zawsze mocno po stronie muzułmanów, licząc na ich wzajemność w podobnych sytuacjach.

Na skutek gwałtownej reakcji sklepy KK Super Mart wycofały ze sprzedaży sprowadzone z Chin skarpetki, a kierownictwo firmy przeprosiło za swoje działania. Tak się dzieje w krajach, w których większość mieszkańców ciągle traktuje swoją wiarę poważnie.

Grzegorz Górny

Fot. ShidaPixel/Shutterstock.com

eprasa.pl f32322db13

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Cześć, stary!

Jan Pietrzak

W ten sposób powitał mnie nieznany mężczyzna w Wołowie. Zaskoczenie minęło, gdy wyjaśniło się, że ten gość to kumpel z Wrocławia, gdzie czasem bywałem w Teatrze Kalambur w latach 60. ub.w. W latach 80. miałem znajomków w Solidarności Walczącej. Dorosłem do popularnej wtedy ksywki: „Stary". Zbyszek Cybulski stosował swoistą wersję, mianowicie mówił: „Starenia". Asystowałem mu kiedyś przy organizacji koncertu zespołów studenckich w auli Politechniki. Kabaret z Hybryd brał w tym udział i wyznaczono mnie na pomagiera reżysera, typu „przynieś, podaj, pozamiatąj". „Starenia, chór za długo wchodzi!"; „Starenia, nie te światła!". Praca ze Zbyszkiem, to było coś! A studencka kultura pulsowała dobrą energią.

„Wczesny Gomółka" był okresem pewnego poluzowania po stalinizmie. Kluby studenckie: Żak, Jaszczury, Pałacyk, Hybrydy, Stodoła tętniły życiem na tle ogólnej szarzyzny i biedy. Moja nostalgia za młodością jest tu czynnikiem kluczowym i wiele zjawisk kulturowych z tamtych lat wydaje się szlachetniejszych w zamyśle, uczciwszych artystycznie niż w obecnej, wolnej (?) Polsce. Ludzie w środowiskach artystycznych byli jacyś bardziej godni podziwu niż obecni idole. Czy w dzisiejszej telewizji możliwa jest produkcja Kabaretu Starszych Panów? Wykluczone, nikt nie wyda zgody. A na co idą pieniądze? Na realizację dowolnych narracji, byle kiepskich. Liczy się styl. Styl twórców i styl odbiorców. Nie da się do aktywiszcza wrzeszczącego na ulicach „wyp...!" śpiewać: „Ty kąpiesz się nie dla mnie w pieszczocie pian".

Zebrało mi się na wspomnienia, by na chwilę odejść od męczącej bieżączki, która jest smętna i tandetna. Traktujcie Państwo ten felieton jako fragment pamiętnika, który kiedyś wydam, jak się posunę wiekowo. Czy to jest stosowne słowo? Nie mam z kim skonsultować. Kiedyś specem od dwuznaczności językowych w Kabarecie pod Egidą był prof. Stanisławski. Właśnie w tej porze wygłaszał wykład o przewadze świąt Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia. To było mądre i zabawne.

A mnie pod nieobecność starych kolegów przychodzi obchodzić 87. urodziny! Zapraszam 12 kwietnia o godz. 18.00 do Społecznego Domu Kultury przy ul. Słowackiego 19.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Mikrolokum. Wielka szansa

Dominik Zdort

Mikroapartamenty. Co za słowo! Określenie „apartament" w tym kontekście jest niegodne i obraźliwe. Nie dla człowieka. Dla mieszkania, które żadnym apartamentem nie jest. To minikawalerki, malutkie, kilkunastometrowe przestrzenie z wydzielonym pomieszczeniem z prysznicem i kibelkiem, pralką w kuchni, jednym pokojem z sypialną na antresoli. Żyć w nich naprawdę niełatwo.

Jednak zwalczanie takich lokali za pomocą decyzji administracyjnych (w Polsce mamy zakaz budowania mieszkań poniżej 25 m^2) uważam za aberrację, wyjątkowo szkodliwą dla społeczeństwa i gospodarki.

Po pierwsze, daje się te zakazy obchodzić, sprzedaje się te miniaturowe mieszkanka jako powierzchnie biurowe, których takie drastyczne restrykcje nie dotyczą. Po drugie, bądźmy w końcu, po 35 latach od upadku komuny, zwolennikami wolności: mieszkanie w dużym mieście, np. w stolicy, to nie jest żadne prawo człowieka, lecz przywilej.

Jak ktoś nie zarabia wystarczająco, by kupić sobie tu normalne lokum, jak ktoś nie ma kasy na wynajem, jak ktoś nie odziedziczył po rodzicach (jak taki szczęściarz jak ja), a koniecznie chce mieszkać w Warszawie, to musi wybrać inną opcję. Przymusu nie ma, można zarabiać i pracować na prowincji. Zarobki tam niższe, ale i koszty utrzymania niewielkie.

Z „mikroapartamentami" i „patodeweloperką" walczą rozmaite skrajnie lewackie środowiska, robiąc krzywdę swojemu ukochanemu elektoratowi-prekariatowi. Co gorsza ich szantażowi ulegają poszukujący wyborców różnego typu bezideowi Trzaskowscy oraz równie bezmyślne sejmowe socjalistyczne mamuty, których działania mogą tylko odebrać szanse społecznego i finansowego awansu ludziom najbardziej energicznym – gotowym poświęcić parę lat życia, egzystując w niewygodzie, aby potem móc zrealizować swój „Polish dream".

Wiem, że odwiecznym planem lewicy jest utrzymanie jak najszerszego społecznego ubóstwa, hodowanie ludzi, którzy nie są w stanie sami sobie poradzić, awansować w hierarchii, nie będą w przyszłości klasą średnią, a potem może i wyższą, więc nie staną się z czasem elektoratem partii o programach pozytywnych, budujących siłę ludzi, a nie żerujących na beznadziei i ubóstwie. Jednak dla naszego kraju, dla naszego narodu ważne jest, aby dać szansę każdemu Polakowi, nawet jeśli to szansa niewielka i będzie musiał się pomęczyć wiele lat, aby potem mieć luksusy i satysfakcję.

eprasa.pl f32322db13

Bezbożnicy stworzyli nowego boga

Samuel Pereira

Lewica i liberałowie od wielu lat wyznają jedną wiarę – w nieistnienie Boga. Determinacja w zwalczaniu religii, głównie katolickiej, naprawdę jest wyjątkowa, ale ostatnio dzieje się coś nowego.

Ponieważ laicyzm wyzwala w człowieku ogromne pokłady egoizmu, ciężko jest przekonać go do bezinteresownej empatii. Dekady powtarzania „bądź sobą" czy „jesteś najważniejszy" robią swoje. W Polsce najlepszym przykładem tego podejścia do życia ludzi na ziemi jest hasło „Róbta, co chceta". Tylko jak połączyć taki przekaz z walką o klimat i wyrzeczeniami dla planety? Z tym problemem mierzą się politycy i środowiska bliskie ekologom albo biznes, któremu opłaca się nowa, zielona ideologia. Przecież jeśli mówimy obywatelom, że mają troszczyć się tylko o siebie, i to do tego stopnia, że nawet aborcja jest czymś pożądanym, bo przecież dziecko to „pasożyt" w ciele matki, to jak mają ich teraz namówić do nakładania na siebie ograniczeń?

Jest na to tylko jeden sposób: stworzenie nowej religii. Potrzeba do tego rytuałów, takich jak segregacja śmieci; symboli, jak papierowe słomki; poczucia wspólnot, jak sklepy przyjazne dla klimatu, ale wciąż brakuje najważniejszego – boga. „Budowałam twój dom od bardzo dawna. Dzięki swej różnorodności stał się piękny" – mówi w spocie Ministerstwa Klimatu i Środowiska kobieta, która symbolizuje Matkę Naturę. To właśnie ona ma być światowym nowym bożkiem. W klipie padają nawet słowa, które w oczywisty sposób kojarzą się z Pismem Świętym. „Zadbałam, abyś nie był głodny i spragniony" – to nowe „Byłem głodny, a daliście mi jeść; byłem spragniony, a daliście mi pić" Jezusa. Cóż, kopia marna, ale tak krawiec kraje, jak mu materii staje.

Ciężko ograniczać ludziom możliwość swobodnego podróżowania samolotem i poznawania świata w imię ograniczania emisji CO_2 albo kazać im wydawać fortuny na nowe samochody, bo trzeba dbać o planetę, skoro przez tyle lat się powtarzało, że ma mieć jak najwięcej wygód, pieniędzy i skupiać się tylko na sobie. Chyba że stworzymy mu nową, alternatywną religię dla ateistów.

Z pozytywną energią

Z Aleksandrą Grysz, dziennikarką, prezenterką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Z jakim nastawieniem weszła pani w 2024 r.?

Aleksandra Grysz: Po doświadczeniach ub.r., który był dla mnie zarazem najpiękniejszym i najtrudniejszym z dotychczasowych, postanowiłam mniej planować, funkcjonować trochę bardziej z dnia na dzień. Życie pokazało mi, że wielkim darem jest to, iż możemy się cieszyć kolejnymi ważnymi dla nas wydarzeniami i zmianami, które – mam nadzieję – będą tylko pozytywne.

Opowiada pani o tym, co dzieje się na czerwonym dywanie. Czy są celebryci, których darzy pani szczególnym uznaniem?

Jesteśmy trochę nieobiektywni, szczególnie w stosunku do polskich gwiazd. Część z nich znamy prywatnie i wobec takich osób nie da się być całkowicie bezstronnym. Na pewno darzę sentymentem Sarę James, która od pierwszego spotkania w PnŚ, po zwycięstwie w „The Voice Kids", kiedy była jeszcze taka nieopierzona i nie potrafiła się odnaleźć w studiu, niosła bardzo pozytywną energię. Wciąż mnie zachwyca.

Podobno lubi pani aktywności sportowe.

Wychowałam się w domu, w którym niemal codziennie oglądało się piłkę nożną. Tata był zawodnikiem Legii Warszawa, później sędzią, obserwatorem. Jeździłyśmy z mamą na każdy jego mecz. Może to nietypowe dla kobiety, ale do dziś lubię głosy komentatorów, akcję na boisku. Poza tym jestem fanką żeglarstwa. Żeglowałam jako dziewczynka przez cztery lata. Grałam też w tenisa ziemnego, a później w siatkówkę. Nie udało mi się tylko z tańcem i bardzo się cieszę, że całkiem niedawno odkryłam także tę formę ruchu i ekspresji.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f32322db13

Walizka Tobiasza Bocheńskiego

prawnika, nauczyciela akademickiego, urzędnika państwowego, kandydata na prezydenta Warszawy

Dla mnie podróż to nie wyjazd służbowy, ale wyprawa w celu odkrywania innych kultur. Równie przyjemne jest przygotowanie do wyjazdu, jak i samo podróżowanie. Zawsze zaczynam od lektur dotyczących historii czy literatury, by poznać szeroki kontekst miejsca, do którego się wybieram. Podróżując, odwiedzam zabytkowe kościoły, świątynie, muzea i galerie sztuki. Przyglądam się życiu tętniącemu obecnie, jak i śladom dziedzictwa poprzednich pokoleń. Dla mnie podróż to nie tylko przemieszczanie się, lecz także intelektualna wyprawa, by zrozumieć otaczający nas świat. Startuję w wyborach na prezydenta Warszawy, ponieważ nie mogę znieść bylejakości i rozwoju naszego miasta poniżej jego możliwości. Chcę, by Warszawa była nowoczesną, komfortową, zieloną aglomeracją dla wszystkich, którzy chcą tutaj realizować swoje marzenia.

SŁUCHAWKI BEZPRZEWODOWE

Bardzo lubię słuchać muzyki na Spotify, co ma też związek z playlistą, którą stworzyłem podczas kampanii. Nazywa się Tobi. Słucham m.in. The Beatles, Led Zeppelin i Maanamu.

SPORTOWY STRÓJ

Siłownia jest moją pasją i regularnie staram się realizować program treningu siłowego. Gdziekolwiek jestem, korzystam z siłowni, bo tylko dyscyplina przynosi efekty, a mnie wagę mniejszą o 20 kg.

eprasa.pl f32322db13

KRAWATY
Mam słabość do krawatów i każdego dnia borykam się z decyzją, który założyć. Podejrzewam, że posiadanie 365 sztuk rozwiązałby ten problem.

SPINKI
Jedyna męska biżuteria, której używam.

PERFUMY
Ich najważniejszą zaletą jest to, że podobają się mojej żonie.

ZESTAW DO CZYSZCZENIA BUTÓW
Mój dziadek zawsze mówił, że mężczyznę poznaje się po tym, czy ma zadbane buty. I to jest kwestia elegancji.

KSIĄŻKA
Gdy jadę do jakiegoś kraju, to kupuję książkę dotyczącą jego historii. Diametralnie inaczej się zwiedza miasta, znając zarys historyczny i kulturę danego regionu...

PRZEWODNIKI
Jestem miłośnikiem zwiedzania muzeów, a co za tym idzie, kolekcjonerem albumów, przewodników i pamiątek. Bardzo miło wspominam m.in. zwiedzanie Villa Borghese w Rzymie, wiedeńskiego Muzeum Sztuki – Albertina Modern czy paryskiego Luwru.

OKULARY PRZECIWSŁONECZNE
Jestem fanem klasycznego designu.

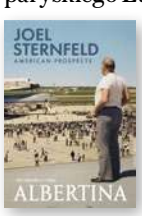

KAPELUSZ, BEJSBOLÓWKA
Kapelusz z rondem zawsze zabieram w miejsca, gdzie jest silne słońce. Z kolei w góry wybieram bejsbolówkę. Też chroni przed słońcem, ale lepiej trzyma się głowy przy silniejszych wiatrach.

SZTUKA
Z polskich malarzy najbardziej fascynuje mnie Witold Wojtkiewicz, którego prace są wystawione w Muzeum Narodowym. Jest to mało znany malarz, ale bardzo polecam zapoznanie się z jego obrazami.

NAUKOWA POZYCJA
Jestem specjalistą w zakresie filozofii prawa i polityki. „Dwa traktaty o rządzie" Johna Locke'a to źródło klasycznego, dzisiaj konserwatywnego liberalizmu.

GARNITUR, KOSZULA, KRAWAT
Zawsze zabieram na wszelki wypadek, bo warto być przygotowanym na jakąś oficjalną okazję. Niejednokrotnie zdarzyło się wpaść do znajomych i spontanicznie udać się do teatru.

TABLET
Gdy podczas podróży znuży mnie lektura, sięgam po film. Lubię wracać do klasyków. Jednym z moich ulubionych jest „Wzgórze" Sidneya Lumeta. Ale nie pogardzę też „Władcą pierścieni".

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock, materiały prasowe Wik Dzik, Albertina Modern, Galleria Borghese, Musée du Louvre

eprasa.pl f32322db13

OGNIEM NA WPROST

Ruski bardak

Andrzej Rafał Potocki

Moskiewski opozycjonista Ilja Ponomariow udzielił wywiadu portalowi nv.ua, w którym odniósł się do kolejnej elekcji Władimira P. Ponomariow to rosyjski fizyk, przedsiębiorca i polityk oraz były poseł do Dumy. Jest związany z George'em Sorosem, który w 2015 r. powierzył mu zadanie nadzorowania wydobycia gazu łupkowego w Polsce i na Ukrainie. Ale wracając do wyborów. „To była jakaś procedura »ponownego mianowania na stanowisko«. Kadencja Putina kończy się 6 maja br., po czym traci on jakiekolwiek prawo do nazywania go prezydentem – bierzemy tu pod uwagę także przepisy prawa rosyjskiego. Wobec niego można używać określeń: dyktator, boss, ojciec chrzestny państwa rosyjskiego, wódz czerwonoskórych. Nie jest on już jednak prezydentem Federacji – właśnie tak to wygląda" – mówi opozycjonista. I dodaje: „Chcę podkreślić, że naprawdę głosowało (policzyli to nasi matematycy) ok. 40–45 proc. osób, które przyszły do lokali wyborczych. Biorąc pod uwagę frekwencję, możemy stwierdzić, że na Putina oddała głos ok. jedna trzecia Rosjan uprawnionych do głosowania. Oznacza to, że 70 proc. współczesnego społeczeństwa rosyjskiego odmówiło udzielenia Putinowi poparcia, a to daje pewną nadzieję na przyszłość". Nadzieja, jak mawiają, to matka głupich, ale każdą matkę należy szanować.

W Kacapii miał miejsce terrorystyczny atak na salę koncertową w Krasnogorsku pod Moskwą, własność pochodzącego z Azerbejdżanu muzułmanina Arasa Agalarowa. Według oficjalnych danych zginęło co najmniej 139 osób, ponad 180 zostało rannych. Po kilku godzinach od ataku rosyjskie władze pokazały zatrzymanie terrorystów. Choć do zamachu przyznała się działająca w Azji Środkowej komórka Państwa Islamskiego ISIS-K, to ruska propaganda wiąże atak z inspiracją ukraińską. Natomiast pytań, na które nie ma do tej pory odpowiedzi, jest mnóstwo. Dlaczego terroryści zaatakowali tak otwarcie, będąc jeszcze na ulicy (obok policyjnej furgonetki!). Przecież na pierwszym filmie z budynku widać, że ludzie zaczęli uciekać i kryć się, zanim napastnicy weszli do środka. Dlaczego nie poczekali na rozpoczęcie koncertu i nie zaczęli strzelać do pełnej sali, gdzie półmrok spotęgowałby chaos i wywołał prawdziwą panikę (której tu ewidentnie nie ma, ludzie są przerażeni, ale zachowują się przytomnie i racjonalnie)? Dlaczego nie strzelali w tłum długimi seriami, tylko krótkimi i ogniem szybkim pojedynczym? Szli tak, jakby chcieli zabić konkretne osoby. To jest taktyka policyjnych antyterrorystów! Pozwala ograniczać straty wśród osób postronnych, bo każdy strzał jest oddawany świadomie. Dlaczego podpalili salę dopiero, kiedy większość ludzi opuściła górne rzędy? Dlaczego nie zablokowali wszystkich wejść, a tylko niektóre? Kolejna kwestia to ochroniarze obiektu. Według naocznych świadków nie było ich! Zanim doszło do strzelaniny, zniknęła nawet obsługa bramek do wykrywania metali, a wśród ofiar nie ma żadnego ochroniarza. Straż pożarna przyjechała po 20 min, a pozostałe służby dopiero po godzinie. Większość ofiar zmarła z zatrucia się dymem, a nie od kul zamachowców. Służby doskonale znały topografię Crocus City Hall, bo całkiem niedawno funkcjonariusze ćwiczyli tu na okoliczność „ataku terrorystów ukraińskich". W dodatku na filmach z działań policji widać, że idą jak na ćwiczeniach. Nie ma tu żadnego czynnika zaskoczenia. Inna informacja jest jeszcze ciekawsza. Otóż osiem godzin przed napaścią w okolicy pojawiły się duże oddziały Rosgwardii. A zatem na ściśle obstawionym terenie dochodzi do ataku terrorystycznego, po czym napastnicy odjeżdżają nieniepokojeni, a antyterroryści przyjeżdżają po ponad godzinie od ataku. Na koniec okazało się, że goście, którzy z zimną krwią zamordowali dziesiątki ludzi, uciekali tym samym samochodem, którym odjechali z miejsca zbrodni, i z powodu przekroczenia prędkości zostali zatrzymani przez drogówkę gdzieś w okolicach Briańska. Dziwnym trafem całe towarzystwo pędziło ku granicy z Ukrainą. Według kacapskiej propagandy mieli otwarte tam „okno" przez granicę. Po ataku terrorystycznym nasuwają się te oraz inne pytania i jak to u Moskali odpowiedzi na nie znaleźć nie można. Ot, ruski bardak (bałagan) i tyle.

W nocy z 21 na 22 marca nastąpił największy od momentu inwazji atak na infrastrukturę energetyczną Ukrainy. Ogółem Moskwa wystrzeliła 151 pocisków, Ukraina zestrzeliła 92 z nich. Potem nastąpił odwet. Tryzuby znowu uderzyli na rafinerie, m.in. w Kujbyszewie. Przede wszystkim jednak zaatakowali Krym, gdzie rakietami Storm Shadow zniszczono Centrum Łączności Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu. W tym ataku miały też zostać zniszczone dwa kolejne okręty desantowe typu Ropucha – Azow i Jamał. No, to toaścik świąteczny: „Za Flotę Czarnomorską – do dna!".

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f32322db13

Nieprzerwana rewolucja

Marta Kaczyńska-Zielińska

Według Thierry'ego Woltona, autora „Historii komunizmu na świecie", w latach 80. XX w. do marksizmu-leninizmu odwoływało się 26 krajów skupiających 34,4 proc. mieszkańców naszej planety. Według autora żaden system polityczny w dziejach nie rozprzestrzenił się w tak krótkim czasie w tak wielu regionach ani nie pozostawił trwałego śladu w tak wielu umysłach i na tak dużym terytorium.

Papież Benedykt XVI w encyklice „Spe Salvi" podkreślił, że „obietnice" Marksa wcale nie odeszły do lamusa historii, lecz nadal żyją i fascynują świat tak, jak fascynowały go dawniej. Dekadę po opublikowaniu encykliki szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker w przemówieniu z okazji 200. rocznicy urodzin Karola Marksa, odwołując się do konieczności poprawy praw socjalnych, wskazał, że myśl filozofa pozytywnie wpłynęła na Unię Europejską i apelował, by nie zrzucać na tego „obywatela europejskiego" odpowiedzialności za zbrodnie komunistycznych dyktatur.

Przyjęty w 2023 r. przez komisję konstytucyjną Parlamentu Europejskiego raport dotyczący reform traktatów konstytuujących zasady funkcjonowania UE wprost odwołuje się do komunistycznego manifestu z Ventotene „O wolną i zjednoczoną Europę", nawołującego do przestrzegania marksizmu, który przekreślał istnienie państw burżuazyjnych, a za takie uważano w szczególności państwo narodowe.

Jeden z fragmentów manifestu włoskiego komunisty Altiera Spinellego głosi, że „prywatna własność ma być likwidowana, ograniczana, korygowana albo rozszerzana w zależności od sytuacji, nie zaś dogmatycznie, dla zasady. Następnie: „dzięki dyktaturze partii rewolucyjnej tworzy się nowe państwo, a wraz z nim nowa prawdziwa demokracja". W doktrynach takich jak marksizm istnieje tendencja do poszerzania granic porządku politycznego bez końca. Stworzenie nowego systemu społecznego usprawiedliwia działania totalne, mające na celu ustanowienie nowej rzeczywistości i demolowanie uprzednio obowiązujących kryteriów oceny rzeczywistości. O ocenie prawidłowości poglądów mają decydować najsilniejsze jednostki, a nie obiektywny porządek moralny i społeczny. Dobrem jest wszystko, co służy wdrażaniu marksizmu, a złem to, co go hamuje.

Marksizm napędza się antagonizmem społecznym, zmierzającym ku wyzwoleniu rzekomo uciskanych klas społecznych. Współcześnie można zauważyć tendencje do antagonizowania kobiet względem mężczyzn, człowieka względem przyrody, kreowania kolejnych mniejszości seksualnych, które mają być niesprawiedliwie traktowane przez heteroseksualistów. Dezintegracja społeczeństwa w imię walki o prawa rzekomo uciskanych grup społecznych prowadzi do zaprzeczenia istoty człowieczeństwa, ale wpisuje się w ideę transhumanizmu. Stanowi on paliwo dla przemysłu medycznego, oferującego operacje zmiany płci, towarzyszące im terapie hormonalne, aborcję, eutanazję i wszelkiego rodzaju inne zabiegi podejmowane w imię bezwzględnej wolności jednostki. Nie uznaje się autonomiczności nowo poczętego życia, pozbawia się je również godności, która jest przynależna wszystkim ludziom, a nie tylko człowiekowi narodzonemu.

Religijność, a w szczególności chrześcijaństwo, są interpretowane przez marksistów jako formy zniewolenia człowieka. Katolicyzm jest religią, w której wolność człowieka to sprawa fundamentalna, co pozostaje w oczywistej sprzeczności z materialistyczną wizją świata.

Marksistowska inżynieria społeczna ma służyć wykorzenieniu ludzi, pozbawieniu ich poczucia przynależności i tradycji, zastąpieniu ogólnej wiedzy o świecie – w szczególności wykształcenia historycznego i literackiego – ideologią. Krytyczne myślenie, horyzonty myślowe mają być ograniczone.

Człowiek jest istotą społeczną, rodzinną, rozwijającą się przez silne więzi ze swoimi bliskimi, z którymi współodczuwa wspólnotę miejsca, historii, kultów, przekonań. Narody i religie czyniły świat bogatym i różnorodnym, czerpiącym z dziejowego doświadczenia ludzkości. Wdrażanie marksistowskiej równości oraz monolityczności zawsze wiązało się ze zniewoleniem i ofiarami.

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

LESZKA DŁUGOSZA

naszego przyjaciela,
który przez jedenaście lat dzielił się
z czytelnikami tygodnika „Sieci" swoją poezją.

Wyrazy szczerego współczucia

Rodzinie i Bliskim

składają

redakcje tygodnika „Sieci", portalu Polityce.pl
i telewizji wPolsce.pl

eprasa.pl f32322db13

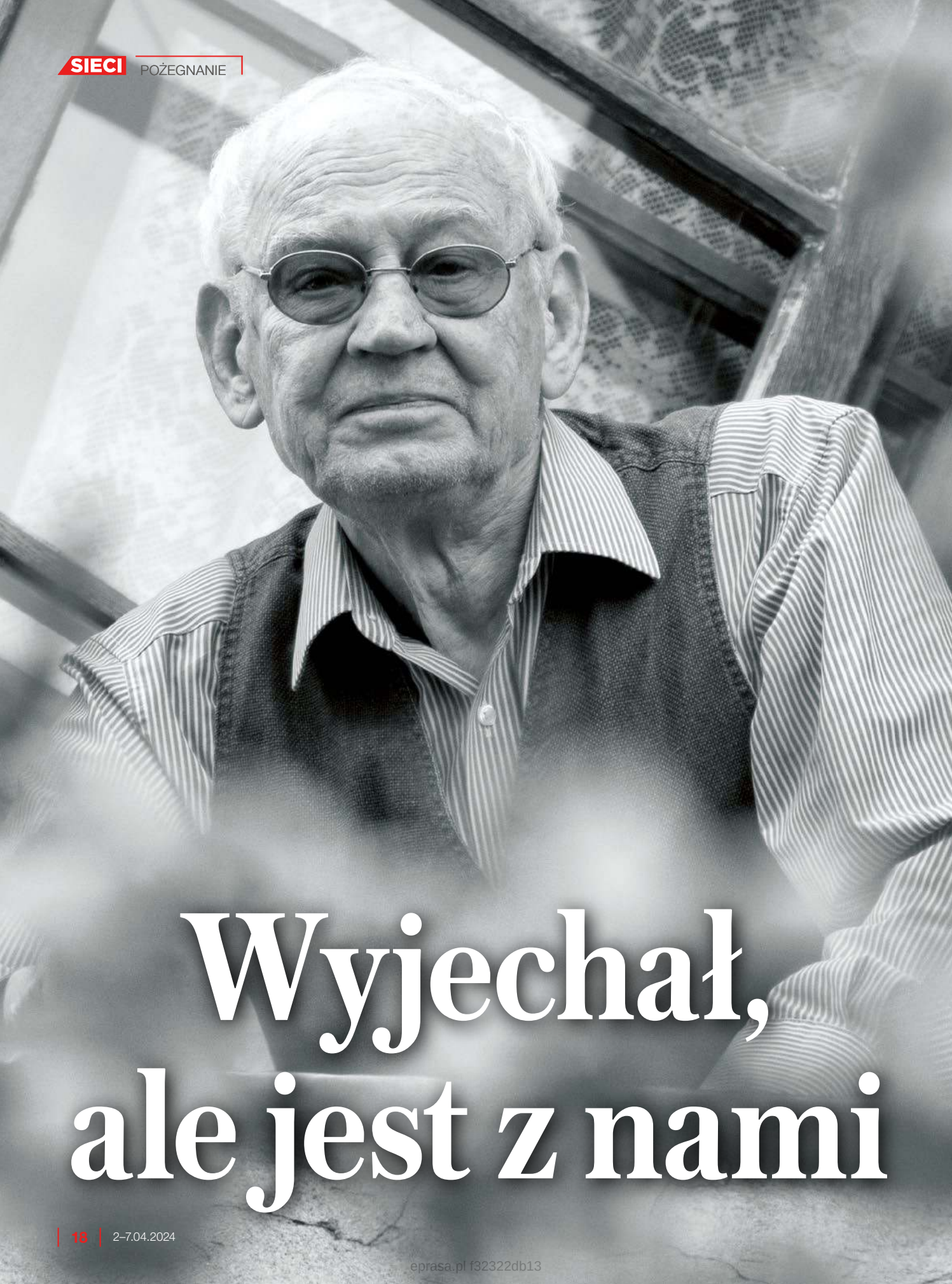

Wyjechał, ale jest z nami

eprasa.pl f32322db13

W Krakowie, mieście wręcz zatłoczonym nietuzinkowymi osobowościami, stał się jedną z artystycznych ikon. Leszek Długosz wzruszał jak mało kto, doskonale panując nad słowem, głosem i nastrojem. Strzegł też godnie naszej narodowej sprawy

W Wielką Środę 27 marca br. pożegnaliśmy Leszka Długosza. Spoczął w alei zasłużonych na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Kim był? To ważne pytanie. Z wykształcenia polonistą, ale nigdy nie wykonywał tego zawodu. Na pewno śpiewającym poetą, jednym z pierwszych w Polsce, a do tego kompozytorem i pianistą. Lecz także aktorem, który – choć przelotnie – zagrał m.in. w filmach Andrzeja Żuławskiego „Trzecia część nocy" i „Na srebrnym globie". Długosz to też autor kilkuset felietonów, wielu programów radiowych i telewizyjnych. Wydał 20 zbiorów poezji i kilka płyt z piosenkami. Od 11 lat był również stałym współpracownikiem tygodnika „Sieci". Na naszych łamach opublikował kilkaset wierszy, ostatnie wysyłając już w czasie choroby, ale zawsze wywiązując się ze swoich zobowiązań. Swego czasu był również znany z tłumaczenia ballad Leonarda Cohena. Od samego początku, a więc od 1995 r., współpracował z krakowskim dwumiesięcznikiem „Arcana", nieustannie wspierając niepodległościową prawicę w jej zmaganiach z III RP. Przez pół wieku koncertował, pojawił się w tym czasie chyba we wszystkich zakątkach Polski, a także w większości krajów europejskich. Grał dla Polaków w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, a nawet na Syberii. Był kawalerem Orderu Orła Białego, Krzyża Oficerskiego i Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski.

ŚLADEM KRAKOWSKIEJ CYGANERII

Leszek Długosz to Krakus, ale przyjezdny i choć pochodził z Podkarpacia, stał się pod Wawelem postacią ikoniczną. Jednak echa sielskiego dzieciństwa i świata, z którego wyrastał nieustannie wybrzmiewały w jego twórczości („Jesień w kolorze śliwkowym"). Jak wspominał, były wianem, które zostało wniesione w jego życie. Mieszkając w rodzinnym Zaklikowie, natknął się tam m.in. na Annę Nagórską, zdeklasowaną w czasach komunistycznych arystokratkę i dziedziczkę pobliskiego majątku, która stała się dla niego pierwszym nauczycielem, skarbnicą wiedzy, przewodniczką po świecie kultury europejskiej, z którą zetknęła się podczas przedwojennych studiów na Sorbonie. Jeszcze w czasie studiów utrzymywał z nią kontakt listowny. Nagórska była też jedną z jego pierwszych nauczycielek gry na fortepianie. „Odbywałem tę niesamowitą lekcję między lasami, sadami, strumieniami. To budowało moją wyobraźnię" – wspominał w jednym z wywiadów.

Jego przyjazd do Krakowa w wieku 18 lat na początku lat 60. nie był przypadkiem. Wiedział, że koniecznie chce dołączyć do sztafety jego artystycznych pokoleń. Nawet spotykał tam wówczas ostatniego człowieka noszącego młodopolską, czarną pelerynę. Był nim spokrewniony z Wyspiańskim poeta Antoni Waśkowski. Poza tym w jednym czasie funkcjonowały tam obok siebie tak wyjątkowe miejsca, jak „Piwnica pod Baranami", redakcja ówczesnego „Tygodnika Powszechnego", kierowany przez Zygmunta Hübnera Teatr Stary oraz Cricot 2 Tadeusza Kantora. W 1962 r. Długosz zadebiutował więc jako student polonistyki na scenie Studenckiego Teatru Piosenki „Hefajstos". Był to klasyczny kabaret piosenki, tworzony przez studentów krakowskich uczelni artystycznych. Autorami tekstów byli tam m.in. Wincenty Faber i Leszek A. Moczulski.

> Znamy Leszka Długosza jako barda, pieśniarza i interpretatora wierszy swoich i cudzych. To jednak głównie poeta, który w mistrzowski sposób panuje nad słowem i emocjami, w przekazie niesłychanie prostolinijny i uczciwy. Jego liryka jest muzyczna i kojąca

SKROMNY FILAR „PIWNICY…"

Stamtąd dosyć szybko trafił pod najważniejszy adres w mieście, a więc do „Piwnicy pod Baranami". Udało mu się, co nie było wcale takie oczywiste, stać się jednym z członków jej zespołu, który poza Piotrem Skrzyneckim tworzyły takie znakomitości jak Ewa Demarczyk, Zygmunt Konieczny, Krzysztof Litwin, Tadeusz Kwinta, Majka Zającówna-Radwanowa, Jerzy „Buła" Kopczewski czy Irena Wiśniewska. Wiersze Leśmiana, Tuwima, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a nawet Baczyńskiego stawały się tam piosenkami, a kompozycje Koniecznego wykraczały poza ramy muzyki klasycznej i radiowych przebojów. Długosz ze swym talentem znakomicie odnalazł się na tym polu, śpiewając „Jurgowską karczmę"

Fot. TADEUSZ KONIARZ/REPORTER

eprasa.pl f32322db13

Jerzego Liberta i definiując w ten sposób w swój niepodrabialny styl – nostalgiczny, pieczętowany charakterystyczną barwą głosu. „Nasz piosenkarz romantyczny" – zapowiadał jego występy Skrzynecki, na użytek których Długosz odkurzył twórczość m.in. skamandryty i politycznego emigranta Stanisława Balińskiego („Jak szkoda").

Jednak w ciągu całej swojej kariery oszczędnie sięgał po cudze teksty. Jeśli tak robił, to ich dobór nie był przypadkowy, jak przed 25 laty, gdy realizował program zapełniony wierszami Kochanowskiego, Morsztyna, ks. Baki, Mickiewicza i wreszcie ks. Twardowskiego. Kochanowski, jak podkreślał, jest wciąż aktualny choćby ze względu na akcentowanie odpowiedzialności wobec państwa, pielęgnowania polskości czy względności ścigania się o dobra doczesne.

Szefową biura organizacyjnego kabaretu była jego żona Barbara, dzięki której napisana przez niego książka na temat środowiska „Piwnicy..." zawiera ogromną liczbę unikalnych archiwaliów. Wspominała kiedyś sytuację, gdy przed jej imieninami pan Leszek zabrał z domu pieniądze na węgiel, ale zamiast opału kupił jej za nie broszę z kości słoniowej. „No i całą zimę przesiedzieliśmy w nieogrzewanym pokoju" – wspominała. W Krakowie ich ulubionym miejscem była oczywiście kawiarnia „Vis á Vis" z widokiem na Krakowski Rynek. Pan Leszek był tam często widywany z gazetą w ręku.

Regularnych występów w „Piwnicy..." zaprzestał po odejściu Ewy Demarczyk i śmierci Wiesława Dymnego, w lutym 1978 r. W jakiś sposób zawsze odstawał od tego środowiska, na co na pewno nakładała się wyniesiona z patriotycznego domu wrażliwość, co również zrodziło rozbieżności, które silnie ujawniły się w latach 90. W końcu z „Piwnicą..." bez Skrzyneckiego się nie utożsamiał, bo, jak mówił, tworzyły ją nie mury, miejsce i meble, ale ludzie. W 2007 r. zdecydował o starcie w wyborach do Senatu z poparciem PiS. W tym czasie grupa ludzi uznających się za spadkobierców „Piwnicy..." wydała „odcinające się" od niego, żenujące w swej wymowie oświadczenie, które oczywiście natychmiast zostało opublikowane w „Gazecie Wyborczej". Jakże subtelny był ton jego reakcji na te sekciarskie pokrzykiwania.

BARD I POETA

Leszek Długosz do końca czarował swoim pięknym głosem i nie jest to tania kokieteria. To ciepły i głęboki tembr, zabarwiony charakterystyczną manierą, trafiającą wprost do serca słuchacza. Śpiew, przy którym natychmiast uśmiechamy się sami do siebie. Najczęściej występował z akompaniamentem kilku instrumentów, ale bez sekcji rytmicznej. Przy gitarze lub fortepianie gawędził z publicznością, bo główną rolę odgrywał jednak tekst. Jego ostatnią płytą jest wydana przed dwoma laty „Muzyka tamtych dni". W ten sposób obchodził jubileusz swych 80. urodzin. Wzbogacona nowymi pomysłami przez Andrzeja Zaryckiego, aranżera i muzyka, którego 60 lat wcześniej wprowadził w świat studenckiego kabaretu w Krakowie, zawiera piosenki znane oraz nowe, jeszcze nigdzie niepublikowane. Jest znakomita i jako jedyna dostępna na serwisach streamingowych, co po raz kolejny pokazuje

Fot. fot. Grzegorz Jakubowski

skandal, jakim było oddanie za bezcen praw do katalogu Polskich Nagrań wytwórni Warner Polska.

Znamy więc Leszka Długosza barda, pieśniarza i interpretatora wierszy swoich i cudzych. To jednak głównie poeta, którego twórczość czeka być może na szersze odkrycie. W mistrzowski sposób panuje nad słowem i emocjami, w przekazie niesłychanie prostolinijny i uczciwy, czasem posługujący nieskomplikowanymi narzędziami. Jego liryka jest muzyczna i kojąca. O miłości mówił w sposób na pewno niedzisiejszy. W 2015 r., chwilę przed polityczną zmianą w kraju, zadawał sobie podobne pytania, jakie zadajemy sobie w chwili obecnej. Są one zresztą aktualne od lat. „Ech współbratymcy, z wami mi dzielić / Powietrze, mowę / I kłaść się potem w jedne groby?" („Piąta wiosna"). Nie należał do tych, którzy decydowali się na wycofanie w prywatność i wewnętrzną emigrację. Przekonywał, że „Trzeba nam czuwać na boiskach świata, gdzie gra się toczy o łup doraźny, co trzewia syci / Ale i o to, jaką strawą jutro będziemy sycić ducha" („Gdy kwitnie kartoflisko..."). To ważne przesłanie. Jego subtelna liryka afirmowała świat i istnienie, lecz akceptowała również przemijanie.

„Coraz większa gromada duchów
Chodzi ze mną Plantami
Wieczorami
Wywołują mnie przez okno
Przywołują szumem gałęzi
Chodź z nami".

Leszek Długosz dołączył więc do tej gromady duchów. „Wyjechałem i mnie nie ma" – napisał w jednym z ostatnich wierszy opublikowanych w swojej rubryce poetyckiej w tygodniku „Sieci". Gdy będziemy tęsknić, jak radził, „pobiegniemy śladem wiersza" i „zakręcimy kółkiem płyty".

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl f32322db13

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: L. KAZAKOVA, A. WIKTOR x2, G. JAKUBOWSKI, B. ELMENTHALER, B.KRUPA/EASTNEWS, MAKSIM BLINOV/IMAGO/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2 Zamów i opłać:

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty SIECI na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

..... (tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: ..... (tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

eprasa.pl f32322db13

Paweł Graś to ktoś więcej niż oficjalnie szef gabinetu politycznego premiera Donalda Tuska

Anihilatorzy

Sposób przejmowania władzy i rozliczeń poprzedników to zdaniem Donalda Tuska niewinna igraszka. Premier uważa, że kurs powinien być... dużo ostrzejszy. Pierwszym celem jest zniszczenie PiS. Następnym – spacyfikowanie koalicjantów i próba zrekonstruowania układu PO-PSL w kolejnej kadencji. Kluczową rolę w realizacji zwłaszcza tego drugiego planu odgrywa Paweł Graś, najwierniejszy ze współpracowników premiera

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

eprasa.pl f32322db13

MAREK PYZA

W jednej z warszawskich restauracji spotykam się z do niedawna jednym z bliskich współpracowników Donalda Tuska. Rozmowa zaczyna się od genezy słynnych „100 konkretów": „Było kilka tygodni do wyborów. Sondaże nie napawały optymizmem. PiS mógł utrzymać władzę. Będzie się pan śmiał, ale Donald naprawdę był wściekły. Kazał pilnie i masowo wygenerować atrakcyjne obietnice wyborcze. Nie miało znaczenia, czy będą korzystne dla Polski, czy będą je chcieli spełnić, czy kłóciły się z ich dotychczasowymi postulatami. Miały dobrze brzmieć i zaczarować wyborców! W kolejnych dniach na 5. piętro [tak określa się siedzibę władz PO w kamienicy przy ul. Wiejskiej – przyp. red.] spływały kolejne obiecanki. I tak powstała ta setka, z której dziś Tusk jest rozliczany".

Zaznaczam, że bardziej od niespełnionych obietnic premier powinien się obawiać tego, co zrobił. Mój rozmówca oponuje: „A skąd! On uważa, że to wszystko, co się dzieje z rozliczaniem poprzedników, to jakieś żarty. Jego zdaniem powinno być dużo ostrzej. Wie pan, że któregoś dnia Bodnar do niego przyszedł i zaczął kwękać, że sprawy się trochę wymykają spod kontroli, że ma opinie prawne, które mówią, iż łamane jest prawo? Donald mu przerwał: »Jeśli wymiękasz, możesz odejść jeszcze dziś, to nie jest problem. Ale jeżeli chcesz z nami zostać, to musisz jechać ostrzej«".

I Adam Bodnar jedzie ostrzej, o czym przekonałem się dosłownie następnego dnia, gdy służby weszły do domów Zbigniewa Ziobry i jego współpracowników. Dopytuję, czy Tusk nie stracił instynktu samozachowawczego, bo przecież ktoś kiedyś zechce go rozliczyć. W odpowiedzi słyszę: „On się tego oczywiście boi, dlatego w jego planie PiS do władzy nie wróci. Będzie anihilowane. Jeżeli ktoś inny przejmie władzę, to albo nie będzie miał powodów się mścić, albo będzie umoczony w rządy tej koalicji. Dlatego dziś ministrowie są rozliczani z tego, czy wystarczająco energicznie mordują pisowców. Kto ma wątpliwości, może się żegnać".

Tusk wykonuje to, co PiS tylko zapowiadało, nie oglądając się na jakiekolwiek przepisy. W naszej rozmowie pojawia się temat słynnego posiedzenia Sejmu wiosną 2016 r., gdy ministrowie Beaty Szydło raportowali wyniki audytów w resortach. Na polityków PO padł blady strach, lecz na zapowiedziach rozliczeń się skończyło.

ZAMORDYŚCI PUNKTUJĄ

„Wie pan, który minister ma teraz najwyższe notowania u Tuska?" – pyta mój interlokutor. „Rozumiem, że nie Bodnar?" – odpowiadam pytaniem. „Nie, nie. Premier już wie, że to nie jest twardy facet. Uważa go za celebrytę prawnego, który jest potrzebny jako twarz ostrej jazdy. Nie wiem nawet, czy oni są na »ty«. Ale wiem, że ostatecznie pan minister będzie płakał nad tym, jak zostanie potraktowany. Prędzej czy później »będzie zrekonstruowany«, a na jego miejsce przyjdzie ktoś, kogo głównym zmartwieniem jako ministra sprawiedliwości będzie np. pilnowanie, by za długo nie trzymać ludzi w aresztach tymczasowych albo zmniejszenie obłożenia w więzieniach".

Przerywam rozmówcy w pół zdania, wskazując, że przecież Bodnar cieszy się dużą popularnością, ma niezłą pozycję społeczną. Odpowiedź stawia mnie do pionu: „Nie wie pan, jak to się robi? Po nagłej dymisji natychmiast pojawia się seria artykułów z tytułami: »Bodnar nie dał rady« i jest po nim. A dodatkowo może będzie musiał się tłumaczyć z różnych nielegalnych działań przed ludźmi, którym przed chwilą dawał awanse".

Kto w rządzie ma zatem najmocniejsze notowania? „Kierwiński! Zaimponował Tuskowi, gdy nie bał się zlecić aresztowania Wąsika i Kamińskiego w pałacu prezydenckim. To go bardzo wyniosło w oczach premiera. Nie ma oczywiście dawnej pozycji Schetyny, gdy ten szefował MSWiA, ale dzielnie wypełnia rolę ministra, który się stara i rozwiązuje problemy".

„A Sienkiewicz?" – pytam, idąc tropem najbardziej bandyckich poczynań po 13 grudnia. „Tu jest parę innych problemów. Po pierwsze, Tusk chciał sprawnej akcji przejęcia mediów, a nie okupacji pisowców i neverending story z odmowami sądów wpisywania do KRS nominatów Bartka. Po drugie, Sienkiewicz próbował rozdawać karty poza obszarem kultury i forsować jakichś dziwnych ludzi, co Tuska natychmiast zaniepokoiło, gdy tylko dowiedział się o tym od Grasia. Po trzecie, już po wyborach okazało się, że ni w ząb nie mówi po angielsku, co uniemożliwiło mu objęcie funkcji szefa MAP albo KPRM, o których marzył. Po czwarte, zataił przed Tuskiem, że brał z ORLENU grubą kasę za jakieś opinie i to dlatego nie powstała komisja śledcza poświęcona fuzji. Poszedł z mediami po bandzie wyłącznie po to, by ratować skórę i nie stracić szansy na mandat w europarlamencie. Ale i tak chyba ją stracił".

Ostatecznie posadę szefa kancelarii premiera dostał Jan Grabiec, wierny szefowi rzecznik partii. Pierwotnie do tej funkcji przymierzana była Wioletta Paprocka, która prowadziła kampanię parlamentarną. Podziękowała za propozycję i odmówiła. Następna w kolejności była Monika Krzepkowska, dyrektor biura PO. Powiedziała, że to zaszczyt, ale ma małe dziecko i nie da rady. Obie panie wiedziały, czym pachnie praca przy boku Tuska – dyspozycyjnością całą dobę i koniecznością wypełniania najbardziej bezwzględnych poleceń.

Reasumując, Tusk najbardziej ceni tych ministrów, którzy wykazują się rewolucyjnym zapałem w politycznej wojnie i „nie pękają". Jego drugą ulubioną kategorią są ci, o których słyszy najmniej. Reszta może się bać rekonstrukcji, którą premier najchętniej przeprowadziłby już teraz. W kampanii jednak tego nie zrobi.

WYCIĄĆ WSZYSTKICH

Bo najbliższe wybory to dla Tuska ważny poligon. „Kluczem będzie, kto zajmie pierwsze miejsce. Nieważne, z jaką przewagą. Jeśli wygra PiS, oznaczać to będzie dla nas gigantyczne kłopoty i początek procesu restauracji partii Kaczyńskiego. Tusk nie wyobraża sobie, by po tych wyborach mieć władze w mniej niż 15 sejmikach. Wie też, że wciąż jest

eprasa.pl f32322db13

możliwy przepływ elektoratu z PiS do Hołowni, zwłaszcza kobiet. A przecież nie zależy mu na 18–19 proc. poparcia dla Polski 2050, lecz 8–9, by była potulnym, cichym koalicjantem. Szymon chyba już to wie" – mówi parlamentarzysta PO.

Pytam, jakie scenariusze siedzą w premierowskiej głowie odnośnie do Lewicy, która drży o wyniki w sejmikach. „Lewicy docelowo ma nie być. Poza starym towarzyszem Czarzastym nikt tam nie zauważa, że Tusk chce ich zniszczyć, nie rozumieją tej gry. Niektórzy próbują się przypodobać Tuskowi, a jego to bawi. Cały temat aborcji służyć ma tylko jednemu – znacznemu osłabieniu koalicjantów poprzez zajście ich od centrum. Lewicę Tusk będzie chciał pokazać jako świrów, którzy chcą przerywania ciąży do 9. miesiąca, a Trzecią Drogę – jako zaścianek, który hamuje liberalne zmiany. Zresztą Donald po prostu nie lubi Szymona i nie traktuje go poważnie" – puentuje mój rozmówca.

Według niego horyzontem, na którym skupia się lider Platformy, jest kolejna kadencja, w której chciałby odtworzyć układ PO-PSL i mieć święty spokój.

Czy oznacza to, że premier wyklucza start w wyborach prezydenckich? Na dziś tak. I, jak się okazuje, to wcale nie jest dobra wiadomość dla Rafała Trzaskowskiego.

„Jeśli w Warszawie będzie druga tura, to Rafał bardzo się oddali od startu w 2025 r. Liczy, że Donald poprosi go o kandydowanie, więc nic w tej sprawie nie robi. Może się przeliczyć. Tusk już wysyła sygnały, że kandydatem PO zostanie ten, komu będą sprzyjać sondaże. A może to np. Radek Sikorski się w nich wzmocni? Dodatkowo Rafał bagatelizuje wrogów wewnętrznych – ministrów, którzy co i rusz skarżą się premierowi, jak to Warszawa jest źle zarządzana" – słyszę od jednego z wiceministrów.

Mój rozmówca bierze łyk kawy i dodaje: „A wie pan, dlaczego Donald ostatnio tyle mówi o konieczności wprowadzenia zmian w Zielonym Ładzie? Bo z wewnętrznych badań wyszło, że nasz wyborca wcale nie kocha tej idei. Sami byliśmy zdziwieni, gdy okazało się, że według naszego elektoratu rację w tym sporze mają rolnicy".

Niejawne badania społeczne to w każdej partii jedno z ważniejszych kół zamachowych dalszych działań. W przypadku PO do myślenia dają też analizy w sprawie komisji śledczych. Według naszego informatora przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego przed komisją pegasusową jest oceniane dramatycznie źle: „Wyborcy mówili jasno: »Zamknijcie ten nieudolny cyrk!«. Oceniali to posiedzenie jako kompromitację komisji. Donald też był zażenowany. Tu będą potrzebne radykalne zmiany albo wygaszenie tematu, by nie się skończyło jak z komisją Czumy".

> Któregoś dnia przyszedł Bodnar i zaczął kwękać, że sprawy się trochę wymykają spod kontroli, że ma opinie prawne, które mówią, iż łamane jest prawo. Donald mu przerwał: „Jeśli wymiękasz, możesz odejść jeszcze dziś"

To nawiązanie do tzw. komisji naciskowej, która działała w kadencji 2007–2011 i zakończyła się raportem, który stwierdzał, że w czasie rządów PiS nie dochodziło do żadnych nacisków na służby.

EGZEKUTOR WIEDZY

Aby lepiej zrozumieć system władzy Donalda Tuska, warto spojrzeć nań przez pryzmat Pawła Grasia. To ostatni z dworzan okresu pierwszych rządów lidera PO, który pozostał przy nim do dziś. Człowiek najczęściej obecny przy szefie i niezbędny do kontrolowania partii oraz rządu. Dzięki wsparciu „kierownika" – jak nazywano dawniej Tuska w partii – odporny na wszystkie skandale, jakie sam generował. Niezatapialny. Jak słyszymy, dziś jest „uchem, nosem i komornikiem Tuska".

Nikogo nie zdziwiła informacja, że to dawny rzecznik rządu zostanie szefem gabinetu politycznego premiera. Pytano raczej: dlaczego dopiero w lutym? Wyjaśnieniem tej zwłoki jest konieczność poukładania spraw osobistych, które zostawił w Brukseli.

Atutami Grasia są brak osobistych ambicji i świadomość miejsca w szeregu. Wie, na co nie może sobie pozwolić przy Tusku i tego nie robi. Nie sufluje kandydatur na wysokie stanowiska, lecz bacznie się przygląda, kogo forsują inni.

„To jeden z najbardziej wpływowych ludzi wokół premiera. Nie jest traktowany merytorycznie, więc nie ma wpływu na strategiczne decyzje odnośnie do np. wielkich projektów inwestycyjnych czy kluczowych ustaw, ale jego głos swoje waży. Jest obecny przy niemal wszystkich rozmowach Tuska. Gdy te się zakończą, wystarczy, że Paweł powie: »Hm... a więc chcą zrobić prezesem Kowalskiego? A pamiętasz, Donald, co on o nas mówił sześć lat temu?«. I Kowalski może zapomnieć o posadzie" – opisuje jeden z naszych rozmówców.

„Z pewnością jest najważniejszy, jeśli chodzi o dostęp do premiera. U Donalda bardzo istotne jest prawo ostatniej rozmowy, a to zawsze ma Paweł. Jest całą dobę w gotowości. Jedno z jego najważniejszych zadań to praca wywiadowcza w Platformie. Według premiera partia ma wykonywać jego polecenia i w odpowiednich momentach podnosić ręce w parlamencie. A Paweł ma pilnować, kto z kim i co knuje" – mówi polityk z tego środowiska.

Pada też barwne określenie „egzekutor wiedzy, którą sam przynosi". „Ilu to naszych posłów słyszało już od Grasia: »Donald wie, co kombinujecie«. Taki komunikat zwykle błyskawicznie stawia wojsko na baczność".

„Wszyscy się go boją. Chętnie korzysta z ciągnącej się za nim opinii twardziela i człowieka służb funkcjonującego w pewnej aurze tajemniczości. Ale ma to niewielki związek z rzeczywistością" – to kolejna opinia.

Gdy napomykamy, że przecież był koordynatorem specsłużb, nasz rozmówca zastrzega: „A pamięta pan, ile to trwało? Raptem kilka tygodni. Dlaczego zrezygnował? Może poczuł, że nie da sobie rady z szefami służb – nawet

eprasa.pl f32322db13

jako posłaniec premiera nie był w stanie wyegzekwować np. pewnych informacji. A może padł ofiarą jakiejś intrygi, np. Tomka Arabskiego? W otoczeniu Tuska podp...nie innych zawsze było na porządku dziennym, dziś to jest poziom master plus. A w tamtym czasie przodował w tym właśnie Arab".

Graś znalazł się w najbliższym otoczeniu przewodniczącego PO jako człowiek Schetyny. Gdy jednak pojawił się konflikt między tym ostatnim a Tuskiem, Graś wiedział, po czyjej stronie się opowiedzieć i że warto być wiernym. Czy zmienił się przez ostatnie lata?

„Nauczył się higieny rozmów. Dziś nie prowadziłby takich rozmów, jak u »Sowy« i nie spotkałby się pod śmietnikiem z Hajdarowiczem".

Ta opinia to nawiązanie do roku 2012, gdy w wieczór przed ukazaniem się w „Rzeczpospolitej" artykułu Cezarego Gmyza „Trotyl na wraku tupolewa", Graś spotkał się z wydawcą gazety i miał próbować zablokować tekst. Po publikacji wybuchła polityczna burza, która zakończyła się spacyfikowaniem przez wydawcę „Rz" oraz najpopularniejszego wówczas w Polsce tygodnika opinii „Uważam Rze".

W 2014 r. w luksusowej warszawskiej restauracji Graś rozmawiał z Janem Kulczykiem. Skarżył się na dziennik „Fakt", który – jego zdaniem – za bardzo atakował rząd Tuska. Biznesmen zapowiadał interwencję w tej sprawie u wdowy po właścicielu koncernu Axel Springer. Kilka tygodni później redaktor naczelny tabloidu Grzegorz Jankowski został zwolniony.

Czy to dowody skuteczności Grasia? Na pewno oznaka tego, że jest człowiekiem do zadań specjalnych i prowadzenia rozmów, które dla Tuska byłyby nader kłopotliwe. A także tego, że nieprzychylne Tuskowi media zawsze będą traktowane z buta.

Gdy przed rokiem TVP zaczęła emitować serial „Reset", Graś publicznie groził jego współautorowi prof. Sławomirowi Cenckiewiczowi, że za ten dokument czeka go odpowiedzialność karna, przed którą nie uchroni nawet ucieczka w niepoczytalność.

ŻELAZNY SEKRETARZ

„Kim jest dla szefa rządu? Żelaznym sekretarzem. Jak sama nazwa wskazuje, wiąże się to z sekretami. Przebywając blisko Donalda, słucha wszystkiego, a nigdy nic z tej wiedzy nie cieknie. W polityce jest więcej tych, którzy paplają niż potrafiących dochować tajemnic. Dlatego Tusk mu ufa" – to opinia parlamentarzysty, który już nie jest w PO, ale zachował w partii niezłe kontakty.

Jak dodaje, nie nazwałby Grasia doradcą, lecz człowiekiem od oznajmiania woli szefa: „To on zanosi wiadomości, których Tusk nie chce przekazywać osobiście. Wszyscy wiedzą, że jeśli Paweł coś komunikuje, to nie jest blef, żadna gierka polityczna, ale decyzja, którą należy przyjąć do wiadomości i wykonać".

> To jeden z najbardziej wpływowych ludzi wokół premiera. Jest obecny przy niemal wszystkich rozmowach Tuska. Jedno z jego najważniejszych zadań to praca wywiadowcza w PO. Paweł ma pilnować, kto z kim i co knuje – mówi o Grasiu polityk z tego środowiska

To mechanizm, który trwa od lat. W 2022 r. opisywaliśmy, jak otoczenie premiera traktowało prezydenta Bronisława Komorowskiego. Jeden z byłych współpracowników głowy państwa nam opowiadał: „W sprawach gardłowych – podniesienia wieku emerytalnego czy przeksięgowania miliardów z OFE – Bronek mógł sobie co najwyżej trochę pochrząkać, pokręcić wąsem, ale na koniec dnia miał telefon z Al. Ujazdowskich z instrukcjami, jak ma się zachować. I nigdy osobiście nie dzwonił Tusk, robili to Graś albo Nowak. Demonstracja siły, przewagi. Upokorzenie".

„Żelazny sekretarz" to określenie, które Grasia mogłoby nawet nieco połechtać. Wskazuje, że odgrywa większą rolę niż nawet ponadprzeciętny asystent, który w towarzystwie premiera a to pojawi się w Kijowie, a to na rozmowach w Białym Domu.

Znacząco różni się też od ksywek, które nadawano mu przed piętnastu laty, gdy w 2009 r. wyszło na jaw, że rzecznik rządu od kilkunastu lat za darmo mieszka w willi należącej do niemieckiego biznesmena (ponoć w zamian za opiekowanie się posiadłością). O Grasiu pisało się per „dozorca" czy „cieć", a opozycja produkowała kreskówki z ministrem rządu zamiatającym podwórko u Niemca.

Konsekwencją tego układu była afera z oświadczeniem majątkowym, w którym Graś nie wspomniał o umowie z biznesmenem. Sprawą zainteresowały się więc Urząd Skarbowy i prokuratura, ale konsekwencji nie było.

Nie zaszkodziła mu też tzw. afera marszałkowa, która miała się zacząć od spotkania Grasia z szefem ABW, marszałkiem Komorowskim i oficerem WSI, a polegała na szeroko zakrojonej operacji z użyciem prowokacji i inwigilacji wymierzonej w polityków prawicy oraz konserwatywnych dziennikarzy. Nie zaszkodziły nawet kompromitujące wypowiedzi, jak przepraszanie Rosjan w ich języku na konferencji prasowej po tym, gdy wychylił się z informacją, że to funkcjonariusze OMON ukradli karty kredytowe śp. Andrzeja Przewoźnika na miejscu katastrofy w Smoleńsku.

Niedocenianie Grasia i traktowanie jak służącego Tuska to duży błąd ich przeciwników. Bo choć szef gabinetu premiera nie jest ani wybitnym politykiem, ani wybitnym intelektualistą, choć ciągnie się za nim również kilka skandalicznych historii, nic nie jest w stanie wyrządzić mu krzywdy. Dlaczego? Bo ma tę cechę, która wystarcza do politycznej nieśmiertelności: według Donalda Tuska jest wybitnym adiutantem, który nigdy nie odmówi wykonania rozkazu i nie będzie marudził, że to bezprawie.

Oto specyfika bezwzględnej wojny, którą 13 grudnia rozpętał w Polsce Donald Tusk.

eprasa.pl f32322db13

Tusk się dopiero rozpędza

Wobec licznych niepowodzeń w przeprowadzaniu strukturalnej „depisizacji" kraju, machina władzy obraca się w stronę najłatwiejszą, a zarazem emocjonującą dla gawiedzi. Czyli w stronę spektakularnych rewizji domowych, zatrzymań o świcie i pokazowych procesów karnych

JAN ROKITA

Muszę przyznać, że jestem trochę zadziwiony niską efektywnością i udawaną brutalnością machiny władzy Donalda Tuska. Wyobrażałem sobie bowiem, że lider Platformy od dawna solennie przykładał się do tego, aby owa machina – skoro tylko ruszy naprzód po formalnym przechwyceniu instrumentów władzy – była niczym taran bojowy, burzący ostatnie bastiony ancien régime'u i niszczący jego ludzi.

Wskazywała na to z jednej strony agresywna retoryka przedwyborcza Tuska, która przecież po zwycięstwie wyborczym nie mogła zostać zapomniana przez licznych zajadłych rewanżystów na jego zapleczu. Z drugiej zaś – buńczuczny i pewny siebie ton powyborczych zapowiedzi takich czołowych polityków nowego obozu władzy, jak Sienkiewicz czy Giertych, nie kryjących tego, że jak najbrutalniejsza rozprawa z politycznymi wrogami jest ich prawdziwą misją i celem.

A potem się jeszcze okazało, iż również polski lud w swojej masie szczerze radowałby się odwetem na ludziach ancien régime'u (vide badania Ipsosu pokazujące ludowy entuzjazm dla takiego zamiaru). Jak również przywódcy demokratycznego Zachodu z zapartym tchem kibicowaliby wszelkim metodom pacyfikacji polskiej prawicy w nadziei, że i oni będą mogli u siebie, w razie czego, użyć wypraktykowanych już w Polsce środków. Doprawdy, czegóż trzeba więcej, aby każdego dnia miażdżyć kości prawdziwych albo nawet urojonych wrogów nowej władzy! Właśnie tak, jak to po stokroć zapowiadał sam Tusk.

PLAN „DEPISIZACJI" PAŃSTWA

To oczywiście truizm, że co innego miotać słowne groźby, a co innego umieć użyć machiny władzy do zniszczenia przeciwników. Machina władzy ma bowiem to do siebie, że nieustannie zgrzyta, zacina się i blokuje. I to niezależnie od tego, czy działa ku dobru wspólnemu, czy całkiem na odwrót – na szkodę kraju. Rzecz jednak w tym, że przygotowując się do rządzenia, obóz Tuska nie robił nic innego, jak tylko głowił się nad przyszłymi sposobami wzięcia odwetu na ludziach prawicy. Nie tylko w samych partiach centrolewu z Platformą na czele, lecz także w licznych opozycyjnych środowiskach: na uniwersytetach, w korporacjach prawniczych i fundacjach (z fundacją Sorosa na czele) trwały prace nad tym, jak po wygranych wyborach rozbić instytucje stworzone za rządów PiS, jak usunąć z zawodu sędziów mianowanych przez prezydenta Dudę, jak pozbawić mocy prawa uchwalane za rządów prawicy. Przed ostatnimi wyborami w ówczesnej opozycji nie było żadnego ważniejszego projektu niźli „depisizacja państwa", nazywana z ironią na użytek propagandy „przywracaniem demokracji".

Dziś widać już jak na dłoni, jak mało produktywny w gruncie rzeczy był ten wysiłek myślowy, który przez poprzedni rok z namaszczeniem relacjonowały opozycyjne media. Nawet gdy przyszło do rzeczy tak oczywistej i tylekroć obiecanej, jak wyrwanie państwowej telewizji, to Sienkiewicz miotał się od ściany do ściany, od fikcyjnych walnych zgromadzeń spółek po równie fikcyjne akty ich likwidacji, nim w końcu zdecydowano się na przejęcie stacji po prostu siłą.

I choć nowa władza skonstruowała *de facto* dziwaczną doktrynę o ograniczonym stanie wyjątkowym, polegającym na czasowym zawieszaniu mocy niewygodnych przepisów ustawowych, to jak dotąd efekty jej stosowania nie są tak duże, jak można by się tego spodziewać. Na dobrą sprawę użyto owej doktryny z realnymi skutkami w dwóch ważnych przypadkach: do uzasadnienia fizycznego przejęcia mediów oraz prokuratury. Jednak już próba „unieważnienia" prezydenckiego prawa łaski faktycznie się nie powiodła – wymuszono na Dudzie tylko tyle, że aby uwolnić dwóch polityków PiS, ponowił swój akt łaski w formie przewidzianej przez prawo karne. Sukces władzy jest tu niezbyt wielki, sprowadza się do podważenia arbitralności konstytucyjnej prerogatywy głowy państwa. Za to machina władzy okazała się mało konsekwentna, gdy idzie o uwięzienie dwóch polityków prawicy. Minister Bodnar, trudno powiedzieć, dlaczego, ugiął się już po kilku dniach protestów i wysłał do prezydenta swoją opinię, oznaczającą uwolnienie obu więźniów. A mógł przecież do dziś tego nie zrobić i odważnego Mariusza Kamińskiego, głodującego w więzieniu, doprowadzić do śmierci, tak jak bez wyrzutów sumienia czyniła to swego czasu lady Thatcher wobec irlandzkich więźniów. Widać jednak jakąś dziwną bojaźń nowych władców, gdy polityka na serio zaczyna się ocierać o kwestie życia i śmierci.

eprasa.pl f32322db13

Funkcjonariusze ABW włamali się do domu Zbigniewa Ziobry pod jego nieobecność. Siłą sforsowali drzwi

Fot. Wojciech Olkusnik/East News, screen/polsatnews, Shutterstock

Bodnar wprawdzie powyrzucał półlegalnie grupę prezesów sądów i prokuratur, ale nie była to ani akcja nowatorska w stosunku do władz poprzednich, ani na miarę oczekiwań prawników rewanżystów. Nadal orzeka sobie spokojnie niemal cztery tysiące tzw. neosędziów, czyli w większości młodych prawników nominowanych przez Dudę, których wyroki po tysiąckroć ogłaszano z góry nieważnymi. Co więcej, jeśli tylko prezydent nie stchórzy, to pod rządami Tuska nadal będzie za chwilę powoływać kolejnych „neosędziów", gdyż wybrana – ponoć sprzecznie z konstytucją – Krajowa Rada Sądownicza działa sobie bez przeszkód. Jeszcze niedawno pół Europy grzmiało, iż taka rada wybrana przez parlament jest wrzodem na ciele liberalnej Unii Europejskiej, a na Polskę sypały się potępienia i sankcje z tego tytułu.

A co musi już napawać zgrozą prawdziwego platformerskiego wyborcę, to fakt, że po czterech miesiącach Tuska nadal orzeka sobie w pałacyku, tuż pod nosem premiera, tzw. trybunał Przyłębskiej oraz tylko nieco dalej tzw. neoSąd Najwyższy pod wodzą Małgorzaty Manowskiej. Podejmowane przez Sejm rozpaczliwe w tonie uchwały o tym, iż sędziowie są nielegalni, a ich wyroki nieważne, zaczynają już budzić śmiech jako pokaz bezsilności machiny władzy Tuska. A przecież skuteczne i szybkie remedia na wszystkie te przerażające ponoć przypadki łamania konstytucji i praworządności miały być świetnie przygotowane.

NIEPORADNOŚĆ REWANŻYSTÓW

Ogłasza się nazbyt wiele represji, jakby dla zadowolenia rewanżystów, ale bez dobrze opracowanego planu działania. Oto ostatnio Tusk z Sikorskim obwieszczają czystkę ambasadorów, ale szef dyplomacji, pytany o to, co zrobi, jeśli prezydent nie podpisze zmian kadrowych, rozkłada ręce i z ironicznym uśmiechem, wyrażającym brak wiary we własne słowa, mówi o współpracy z Dudą w dziele dyplomatycznej czystki. Znów widać bezradność machiny władzy. Więc co? Nowa władza faktycznie zmusi polskich ambasadorów w 50 krajach, w tym we wszystkich kluczowych światowych stolicach, do powrotu do Warszawy i Polska jako jedyny kraj świata nie będzie mieć już swoich ambasadorów? Toż to byłby popis nieudolności nowej władzy i jej międzynarodowa kompromitacja.

Podobnie rzeczy się dotąd mają z prezesem banku centralnego. Nie sztuka podjąć uchwałę Sejmu o impeachmencie Glapińskiego, schody rozpoczną się dopiero wtedy, gdy trzeba będzie wyegzekwować decyzję o „zawieszeniu" szefa banku. Choć niewykluczone, że Glapiński zostanie złamany psychicznie, skoro już wyciąga do Tuska proszącą rękę i śle listy z dobrym słowem: „Czas przestać, mamy wspólne problemy". Jakby całkiem nie rozumiał swojej realnej sytuacji.

Nie inaczej z komisjami śledczymi. Powołano na hura trzy naraz, obsadzając jakimiś niedouczonymi miernotami w rodzaju posła słynącego z przekonania, iż powstanie warszawskie wybuchło w 1988 r. (zapewne to w tym powstaniu obaliliśmy komunizm). Z kolei w innej komisji jakaś pani, szybko się denerwująca i wpadająca w kołowaciznę, zabiera się za przesłuchiwanie Kaczyńskiego ze znanym efektem. Po pierwszym momencie podekscytowania publika raczej już się śmieje z tych komisji, które redaktor „Rzeczpospolitej" szyderczo

eprasa.pl f32322db13

mianuje „komisjami do spraw beszta-nia". Znów widać jak na dłoni, że nikt nie ma ani nie miał pomysłu na śledztwa parlamentarne, ani też nie miał ludzi do ich poprowadzenia. A skoro taki był plan, aby zafundować ludowi antypisowskie widowisko w postaci kilku komisji śledczych naraz, to chyba można było wcześniej przeszkolić profesjonalistów do takiej roboty i umieścić wysoko na listach wyborczych. Dlaczego więc Tusk poszedł tu na kompromitującą improwizację zamiast profesjonalizmu?

GRANICE REPRESJI

Teraz więc, wobec licznych niepowodzeń w przeprowadzaniu strukturalnej „depisizacji" kraju, machina władzy obraca się w stronę najłatwiejszą, a zarazem emocjonującą dla gawiedzi. Czyli w stronę spektakularnych rewizji domowych, zatrzymań o świcie i pokazowych procesów karnych.

Wygląda na to, że Tusk jako pierwszy cel wyznaczył Zbigniewa Ziobrę wraz z jego rodziną i politycznym otoczeniem. Cel jest wygodny, bo przez lata Ziobrze udało się przykleić gębę „złoczyńcy", a i w samym PiS tzw. frakcja Morawieckiego nie byłaby aż tak bardzo zmartwiona represjami wobec środowiska Solidarnej Polski. Wyłamywanie ogrodzeń i drzwi wejściowych do domu byłego ministra sprawiedliwości wygląda raczej na pokaz bezczelności władzy, zainscenizowany dla uciechy najgorliwszych rewanżystów. Trzeba współczuć i okazywać solidarność Ziobrze, jego rodzinie i współpracownikom, ale chyba trudno mieć dla nich dobre wiadomości. Zdaje się, że machina władzy Tuska, tak niewydolna na innych frontach, postanowiła właśnie na nich jako na najwygodniejszych propagandowo ofiarach przeprowadzić próbę sprawdzenia, jak daleko można się posunąć w represjach karnych o podłożu politycznym. Patrząc na inne sprawy, można domniemywać, że zapewne sam Tusk nie ma jeszcze jasnej wizji tego, czy, kiedy i kogo z tego środowiska uda się dla przykładu posłać do kryminału.

Powtórzmy zatem: dziwnie kiepsko przygotowana jest ekipa Tuska do przeprowadzenia całościowego odwetu na prawicy, tak gorliwie zapowiadanego przed wyborami, a teraz równie gorliwie wyczekiwanego przez lud platformowy. Ale mimo to nie należy żywić iluzji co do jej intencji. Skala zarówno represji personalnych, jak i instytucjonalnej „depisizacji" ciągle jest dość ograniczona. Podobnie jak skala skutecznych operacji *de facto* zawieszania ustaw, czyli ograniczonego stanu wyjątkowego.

Z pewnością jedną tego przyczyną jest instytucjonalna nieporadność, zawsze tak samo charakterystyczna dla samego Tuska (można sobie przypomnieć, jak Tusk przed laty zmniejszał o 10 proc. administrację). Drugą – co najmniej równie ważną – jest strach, widoczny zwłaszcza u takich ludzi jak Bodnar, którzy nie mają powodu, aby ryzykować dla Tuska przyszłym więzieniem. Ale sam Tusk jest raczej pewny swojej linii poszukiwania coraz to nowych form represji i „depisizacji". A jego jedynym hamulcem jest niepewność, jak daleko można przeciągnąć linę, aby na gwałt nie odmieniły się nastroje ludu, zawsze przecież niepewne i chwiejne.

> Moda na represje wobec prawicy wykracza dzisiaj wyraźnie poza polski spór, a sposób działania Tuska będzie inspiracją dla co najmniej niektórych rządów zachodnich

EUROPEJSKI WZÓR

Na całą sprawę ciekawe światło rzuca obszerna analiza polskiej polityki, krótko przed świętami opublikowana przez lewicowy brytyjski dziennik „The Guardian", autorstwa Shauna Walkera, wieloletniego korespondenta moskiewskiego, przy współpracy Katarzyny Piaseckiej, dziennikarki specjalizującej się w walce z religią. Na użytek angielskiego lewicowego czytelnika (w domyśle – niecierpiącego zarówno polskiej, jak i brytyjskiej prawicy) wyjaśnia się tam, że w Polsce dokonuje się proces analogiczny do trudnego wychodzenia z komunizmu. „I choć może to się wydać nieco hiperboliczne, to jednak to, co się dzieje, jest czymś więcej niźli normalnym politycznym przejściem od jednego rządu do drugiego" – tłumaczy Walker. Jego rozmówcy z kręgu obecnej władzy objaśniają, że dla „wytępienia homo PiS-ikusa", czyli stwora analogicznego do wyznawcy bolszewizmu, potrzeba czasu. Ale jedno jest pewne: machina obecnej władzy nie cofnie się przed tą misją. Walker nie ukrywa przed angielskim czytelnikiem poglądu, iż nowa władza walczy z PiS metodami nielegalnymi, ale usprawiedliwia ją właśnie tą „cywilizacyjną misją", która musi zostać wykonana. Każdy, kto przeczyta w Anglii tę analizę, rozumie, że nie tylko sam PiS, ale przede wszystkim wyborcy tej partii muszą zostać „wytępieni", a środki do tego celu muszą być użyte takie, jakie są konieczne.

Warto przy tej okazji zwrócić uwagę, iż nowy 13-punktowy plan walki z prawicą, przygotowany ostatnio przez niemiecką socjalistyczną szefową MSW Fraser, nosi wyraźne znamiona polskiej inspiracji. Prawicowcy z rosnącej w siłę opozycyjnej AfD mają być zgodnie z tym planem usuwani ze służby publicznej i niedopuszczani do wymiaru sprawiedliwości, też mają być inwigilowani, a państwo ma się zaangażować w „zakłócanie ich finansów". Co ciekawe, w Niemczech planuje się też utrudnianie podróżowania prawicowym politykom, co w Polsce jeszcze nie pojawiło się jako nowatorski pomysł.

Rzecz w tym, iż moda na represje wobec prawicy wyraźnie wykracza dzisiaj poza polski spór, a sposób działania Tuska będzie inspiracją dla co najmniej niektórych rządów zachodnich. Zatem mimo dotychczasowej nieporadności machiny władzy ani politycy PiS, ani zwolennicy prawicy w Polsce nie powinni żywić jakichś iluzji. Tusk zawsze był źle zorganizowany i zawsze bał się wrogiej reakcji opinii publicznej. I dlatego represje są dawkowane ostrożnie i w dłuższym czasie. Ale bez złudzeń: w represjach Tusk się dopiero rozpędza.

eprasa.pl f32322db13

Demokracja pały

W demokracji Tuska dobrze czują się wyłącznie jego wyznawcy. Wszyscy pozostali – w tym również oszukani wyborcy obecnej koalicji rządowej – mają siedzieć cicho

KONRAD KOŁODZIEJSKI

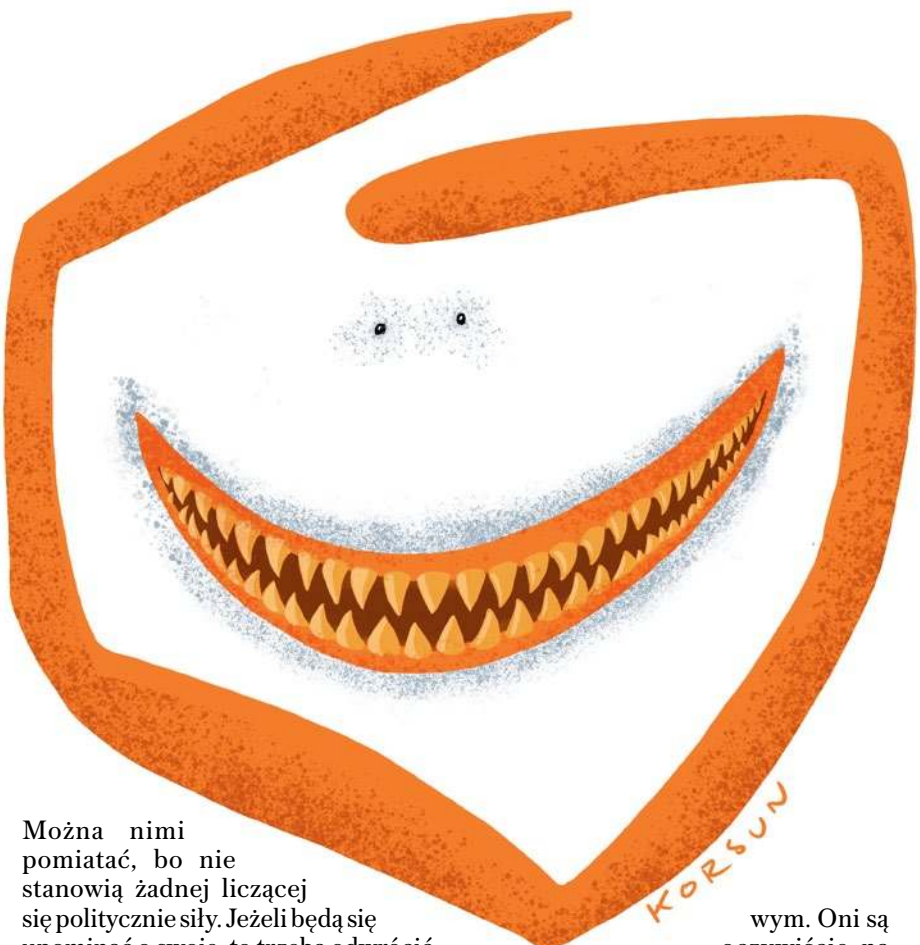

Czasami bardzo trudno jest zrozumieć wybory polityczne wielu Polaków. Można je oczywiście tłumaczyć emocjami, instynktem stadnym lub tym, że do głosowania poszło nowe pokolenie, które nie pamięta przeszłości. Mimo to bardzo niepokojące jest to, że w Polsce tak szybko zaciera się pamięć zbiorowa, bo naraża nas to na poważne konsekwencje – ktoś, kto powtarza te same błędy, nigdy nie posuwa się do przodu.

Wiara w złote góry obiecywane przed wyborami przez Donalda Tuska mogłaby zostać uznana za naiwność, gdyby nie fakt, że ten sam człowiek rządził Polską zaledwie przed dekadą. Jeśli mimo doświadczeń z tak nieodległej historii ktoś nadal daje się nabierać na jego słowa, to nie jest już naiwny, lecz po prostu głupi. Takich ludzi jest w Polsce – jak się okazało – wystarczająco dużo, aby utorować Tuskowi drogę do władzy.

Tusk trafnie dostrzegł w tym swoją szansę. Jego cynizm jest tak potężny, że potrafi bez żadnych zahamowań i poczucia wstydu zaciągać przed wyborcami zobowiązania, o których wie, że ich nie spełni. Trudno nie widzieć w tym lekceważenia, a nawet pogardy dla ludzi. Nie chodzi bowiem o nich, lecz o władzę.

Po zdobyciu władzy zwabieni paciorkami wyborcy nie są mu już potrzebni. Można nimi pomiatać, bo nie stanowią żadnej liczącej się politycznie siły. Jeżeli będą się upominać o swoje, to trzeba odwrócić ich uwagę albo ignorować, a gdy to nie pomoże – przywołać do szeregu policyjną pałą. Tuskowa Polska uśmiecha się bowiem do kogoś zupełnie innego – do liberalnych elit i ich klienteli. To są prawdziwi beneficjenci obecnej władzy.

STRACH O WŁASNĄ POZYCJĘ

Wyznawcy „uśmiechniętej Polski" czują się najlepiej w systemie kastowym. Oni są oczywiście na samym szczycie drabiny społecznej, której szczeble wyznacza zasobność portfela oraz konformizm. Tylko w takiej konfiguracji czują się bezpiecznie. Zdają sobie bowiem podświadomie sprawę z tego, że ich miejsce w społeczeństwie jest uzurpatorstwem, że państwo nie ma z nich większego pożytku, przeciwnie – to oni często je doją, na ile mogą. Dlatego – tak jak człowiek, który bezpodstawnie się wzbogacił lub objął stanowisko,

eprasa.pl f32322db13

które przerasta jego kompetencje – nie są pewni swojej przyszłości i kurczowo trzymają się zdobytej pozycji.

Nic więc dziwnego, że fajnopolacy zawsze z obawą spoglądali na tych, którym w życiu powiodło się gorzej niż im. Bo to ich potencjalna konkurencja. Przecież niczym się nie różnią od tamtych, mają te same korzenie i równie dobrze mogliby zamienić się z nimi miejscami. Nie istnieje bowiem nic – poza grubością portfela – co dawałoby fajnopolakom znaczącą przewagę nad resztą społeczeństwa. Z tego powodu tak bardzo zależy im na tym, aby odciąć się od innych i jakoś się od nich odróżnić. Będą więc gorliwie podążać za każdą modą, imitować zachowania wyimaginowanych wyższych sfer i powtarzać podsuwane im slogany. To beneficjenci obecnej władzy, z którą weszli w głęboką symbiozę. Ta władza istnieje dzięki nim, ale również oni istnieją dzięki tej władzy.

Połączona ze strachem pogarda wobec ekonomicznie słabszej części społeczeństwa mieszała się u fajnopolaków ze specyficznym podziwem wobec PiS, który był w stanie zdobyć zaufanie klasy ludowej. Oczywiście Tusk i jego wyznawcy przypisywali prawicy jak najpodlejsze intencje – uważali, że Prawo i Sprawiedliwość po prostu „przekupiło hołotę". Sami długo nie potrafili tego zrobić i starali się wymyślić jakąś magiczną sztuczkę, dzięki której przebiją prawicę. Pomysł od zawsze był ten sam – trzeba naobiecywać więcej, zgodnie z zaleceniem Marka Belki, aby kłamać i niczym się nie przejmować. Na początku to nie działało, bo PiS miało w ręku władzę i było bardziej wiarygodne. Gdy jednak społeczne poczucie bezpieczeństwa zostało naruszone przez pandemię i wojnę na Ukrainie, ta metoda w końcu przyniosła rezultaty. Swoje zrobiła także blokada KPO przez Komisję Europejską. Ludzie uwierzyli wtedy, że jedynie Tusk jest w stanie popchnąć kraj do przodu.

Tusk wykorzystał te nadzieje bez najmniejszych skrupułów. Widząc, że wyborcy przełkną każdą bzdurę, podczas kampanii obiecywał im eldorado. Fajnopolacy bili mu wtedy brawa, bo – jak sądzili – udało się wreszcie „przekupić hołotę" i pokonać PiS jego własną bronią. Złożonych obietnic oczywiście nikt – poza grupą przechwyconych, otumanionych wyborców – nie traktował poważnie. Co więcej, odczuwano satysfakcję, że głupi lud skusił się na paciorki, a teraz zostanie zakuty w dyby. Tak jak na to zasłużył.

JEDEN KONKRET

100 dni Tuska stanowią dobre podsumowanie jego polityki. Jego rząd nie zrealizował praktycznie żadnej obietnicy złożonej wyborcom. Sztandarowego punktu – podniesienia kwoty wolnej od podatku – w tym roku nie będzie, choć ulga miała być wprowadzona w ciągu pierwszych tygodni urzędowania nowego rządu.

> Podczas pałowania rolników w Warszawie fajnopolacy aż pokwikiwali z radości. Wystarczyło zajrzeć do internetu, aby zauważyć, że stosowanie przemocy daje im mnóstwo satysfakcji

Niespełnienie obietnic nie oznacza jednak, że rząd niczego nie zrobił. Przeciwnie, zrobił bardzo wiele i jego decyzje dużo mówią nam o naturze rządów Tuska. Przede wszystkim w lipcu zostaną odmrożone ceny energii – czyli czekają nas duże podwyżki. W kwietniu zaś przestanie obowiązywać zerowa stawka na żywność – czyli też podwyżki. Jednocześnie mają być zmienione zasady opłacania stawki zdrowotnej, tak aby ulżyć przedsiębiorcom. A że w ekonomii musi być równowaga, to za tę ulgę dla przedsiębiorców zapłacą z własnej kieszeni pracownicy. W niektórych przypadkach rezultat będzie taki, że zwykła kasjerka w sklepie wyłoży na publiczne leczenie więcej niż właściciel sporej firmy.

Niektórzy komentatorzy z medialnego obozu Tuska próbują jakoś usprawiedliwiać politykę swojego premiera. Że niby niepotrzebnie dał się namówić na nieszczęsne 100 konkretów, że nie jest populistą i nie będzie trwonił publicznych środków, aby schlebiać ludziom. Tyle że on cały czas schlebia, ale tylko stosunkowo niewielkiej, zamożnej grupie, kosztem – i to w dosłownym tego słowa znaczeniu – uboższej większości.

Na szczęście jest jeszcze niezastąpiony Jacek Żakowski, który potrafi w prosty, żołnierski sposób wyłożyć karty na stół. W jakimś programie rządowej telewizji (proszę wybaczyć, że nie podam jego tytułu, zaglądam tam tylko ze służbowego obowiązku) wyjaśnił, że Tusk wcale nie zamierzał wywiązywać się ze swoich obietnic. „Naprawdę ten rząd nie powstał po to, żeby załatwić 100 konkretów" – powiedział Żakowski. „I myślę, że bardzo mało osób głosowało na któryś z tych konkretów. Ludzie głosowali na demokrację w Polsce. To był jeden, najważniejszy konkret i z tego konkretu ta władza się wywiązała. Z innymi rzeczami Tusk ma ogromne problemy, bo ma rząd bardzo niekompetentny, ogromne oczekiwania społeczne, bardzo złożoną sytuację i w związku z tym po tych 100 dniach, kiedy już udało się ustabilizować państwo, zaczną się bardzo poważne schody" – podsumował.

Żakowski tłumaczy nam więc, że ludzie nie powinni niczego oczekiwać od Tuska. Bo chodziło wyłącznie o odsunięcie PiS od władzy. I tutaj jest pełen sukces, który usprawiedliwia wszystkie porażki. Świadomi wyborcy Tuska – czyli fajnopolacy i fanatycy spod znaku ośmiu gwiazdek – wiedzieli o tym od samego początku. A jeżeli ktoś myślał inaczej i liczył na to, że zostanie poważnie potraktowany, ten jest głupi i sam sobie winien.

DŁUG TUSKA

Każdy przytomny człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że dobre czasy się

eprasa.pl f32322db13

skończyły i wkrótce będzie mu się żyło gorzej niż dotąd. I że obecny rząd nie tylko nie poda mu pomocnej dłoni, lecz także przetrzepie portfel, aby przetransferować jego pieniądze do kieszeni zamożnej klienteli Tuska. Główny ciężar kosztów funkcjonowania państwa oraz absurdalnych projektów w rodzaju Zielonego Ładu ma być bowiem przeniesiony na barki mniej zamożnej większości. Fajnopolakom ma się żyć lżej – Tusk spłaca w ten sposób dług, jaki zaciągnął u swojej bogatej klienteli. To jedyny dług w Polsce, który szef obecnego rządu potraktował poważnie (są jeszcze inne zależności, zagraniczne, ale to już inny temat).

Wystawieni do wiatru na razie czekają na dalszy bieg wydarzeń. Wielu liczy na to, że jakoś to będzie. Takich złudzeń nie mają najwyraźniej rolnicy, którzy walczą o przyszłość swojej branży. Niektórym z nich – podobnie jak nabitym w butelkę górnikom z Turowa – mogło się wszakże wydawać, że Tusk, który przecież rzekomo ma tak wielkie wpływy w Europie, jakoś się dogada z unijnymi komisarzami.

Nic takiego nie nastąpiło, a nawet okazało się, że może być jeszcze gorzej – w przypadku Turowa po ostatniej decyzji Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego tamtejsza kopalnia idzie w 2026 r. do zamknięcia, a jeśli chodzi o rolników – żadnego porozumienia w sprawie ukraińskiego zboża nie będzie. Mało tego, w Parlamencie Europejskim przegłosowano – m.in. głosami deputowanych z Koalicji Obywatelskiej – przedłużenie istniejących ulg importowych na kolejny rok. Stworzenie mechanizmu ochronnego dla polskich rolników jest zaś na razie mglistą mrzonką.

Celowo zestawiam tu rolników i górników, bo w przypadku obu tych branż chodzi właściwie o to samo. W związku z Zielonym Ładem obie mają iść do likwidacji. Miejsce górnictwa zajmą zagraniczne technologie tzw. czystej energii, a rolnictwa – globalne korporacje żywnościowe. Zyski, które dotąd zostawały w Polsce, odpłyną za naszą granicę. U nas wzbogacą się co najwyżej lokalni importerzy.

W normalnym społeczeństwie taka perspektywa powinna być powodem do niepokoju. Rząd musiałby się tłumaczyć. U nas jednak nikt nikogo za to nie rozlicza, a protestujący obrywają pałami.

BIĆ, BIĆ, WSZYSTKICH BIĆ

Podczas pałowania protestujących rolników w Warszawie fajnopolacy aż pokwikiwali z radości. Wreszcie ta roszczeniowa hołota oberwała po łbie – wystarczyło przejrzeć media społecznościowe, aby zauważyć, że stosowanie przemocy daje wyznawcom Tuska mnóstwo satysfakcji.

Bić, bić, wszystkich bić – najpierw pisowców, Wąsika i Kamińskiego, potem rolników, potem jeszcze innych.

> Ludzie nie powinni niczego oczekiwać od Tuska. Bo chodziło wyłącznie o odsunięcie PiS od władzy. I tutaj jest pełen sukces, który usprawiedliwia wszystkie porażki

W tym ukrywanym dotąd pragnieniu fizycznego ukarania przeciwnika można dostrzec niebezpieczne przejawy zdziczenia, charakterystyczne dla słabo rozwiniętej kultury. To jest część zaplecza wyborczego Tuska – ludzie przez lata karmieni wulgarnymi hasłami i hodowani na mentalnych dzikusów, zgarniających dla siebie całą przestrzeń publiczną.

Rolnicy byli nie tylko pałowali – wylewano na nich gnój w internecie, że mają wypasione traktory, że są agentami Putina (w czym niestety pomogły zdjęcia z prowokatorem obwieszonym rosyjskimi flagami), wreszcie, że produkowana przez nich żywność jest skażona pestycydami i szkodliwa.

Dziś na fajnopolackich kontach internetowych królują wpisy, których autorzy zapewniają, że nigdy nie kupią polskiej żywności. To jest kolejny przejaw fanatycznego zdziczenia – nienawiść tak silna, że wykracza poza instynkt samozachowawczy. Zniszczę własne państwo, własną gospodarkę, ale ma być po mojemu. To warcholstwo – aczkolwiek częste w polskim życiu publicznym – nie wzięło się z powietrza, ktoś je pobudził i nadal pobudza.

Za sprawą Tuska oraz jego zwolenników hejt i przemoc na stałe weszły do repertuaru polskiej polityki. Każdy, kto w przyszłości ośmieli się mieć odrębne zdanie, kto zagrozi interesom obecnego reżimu, musi się liczyć nie tylko z tym, że zostanie opluty i zniesławiony, lecz także iż może zostać poturbowany i ukarany.

Tusk zdaje sobie sprawę z tego, w jakim kierunku prowadzi Polskę. I wie, że narusza prawo. Świadczą o tym jego słowa, wypowiedziane w marcu na zamkniętym spotkaniu partyjnym PO. „Jeśli damy ciała w kilku najbliższych wyborach, to do władzy wróci PiS, a wszyscy na tej sali pójdą siedzieć" – miał powiedzieć według portalu Onet. To jest przejaw autorytarnych zachowań. Sugerowanie swoim ministrom, że są współsprawcami przestępstwa, aby później – we własnym interesie – kurczowo trzymali się władzy w obawie przed odpowiedzialnością.

Tusk będzie więc grał na pogłębienie polaryzacji, bo daje mu ona poduszkę amortyzacyjną. Dzięki niej jego rząd nie działa w społecznej próżni, lecz utrzymuje przy sobie wiernych wyznawców, gotowych pochwalić i usprawiedliwić każde – nawet najbardziej szkodliwe – jego działanie. Medialni pomagierzy tworzą zaś zafałszowany obraz Polski, w którym wszyscy, którym nie jest po drodze z władzą, są sługusami Putina i nikczemnymi faszystąami. Dlatego aby chronić państwo, należy takich „faszystów" wyeliminować z życia publicznego. Nawet policyjną pałą.

Polska ma być demokracją pały – łagodną dla zwolenników reżimu i surową dla jego przeciwników. Pytanie tylko, czy w ogóle można to jeszcze nazwać demokracją?

eprasa.pl f32322db13

STANISŁAW JANECKI

Koalicja wrogów

W wyborach samorządowych każdy idzie po swoje, a dla koalicjantów z rządu liczą się tylko własne łupy

eprasa.pl f32322db13

W wyborach samorządowych (7 i 21 kwietnia 2024 r.) partnerzy z koalicji rządzącej albo się kopią, albo łaszą. A właściwie to mamy do czynienia z jednym i drugim, tylko zmieniają się role, a kiedy, to zależy od wyborczego *momentum*. Gdy jedni kopią za mocno, drudzy albo się odgryzają, albo jęczą i skomlą.

Ale prawo do kopania zarezerwował sobie Donald Tusk. Na pozór wygląda to inaczej: w kampanii nie ma współpracy koalicjantów z rządu, lecz zakładają oni, że może być po wyborach. Skoro szef Platformy Obywatelskiej nie chciał współpracy, to znaczy, że zamierza przejąć głosy tych, którzy 15 października 2023 r. poparli Trzecią Drogę i Nową Lewicę. Oni z kolei założyli, że niczego nie oddadzą Tuskowi, bo nie tylko zmarginalizowaliby się w samorządach, lecz także jeszcze osłabili na szczeblu centralnym. Dla Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni musi być już jasne, że Tusk chce ich połknąć albo osłabić, tak jak to zrobił z partią Nowoczesna. Polskiego Stronnictwa Ludowego raczej nie przełknie, ale w przypadku Polski 2050 ma jakieś szanse. Szczególnie gdyby partia Hołowni nie zakorzeniła się na poziomie lokalnym.

Tusk jest partnerem tylko do tego momentu, w którym nie jest w stanie podporządkować sobie „przyjaciół". Gdy tylko pojawiają się takie szanse, zaczyna grać ostro, a koalicjantów po prostu upokarza. Przewodniczący PO najpierw odrzucił możliwość stworzenia koalicji z Nową Lewicą, komunikując im to w najbardziej poniżający i obraźliwy sposób, a potem poinformował Trzecią Drogę (również w obraźliwej formie), że już nie będzie jej pomagał w uzyskaniu dobrego wyniku. „Taktyczne głosowanie części zwolenników Koalicji Obywatelskiej na Trzecią Drogę pozwoliło nam odsunąć PiS od władzy. W tych wyborach [samorządowych] jedynym kryterium będą nasze własne przekonania" – napisał Tusk na portalu X (d. Twitter). Wywołany do tablicy Hołownia odpowiedział: „Mieliśmy pokonać PiS raz na zawsze, nie na 100 dni. Polacy chcą od rządu efektów, reformy szpitali, lepszej szkoły i prostych podatków. To cel zapisany w 12 gwarancjach Trzeciej Drogi". Wszystko się zgadza, lecz dotyczy to poziomu centralnego, choć i tam po nieco ponad trzech miesiącach wspólnego rządzenia nie ma żadnej sielanki. Ale z koalicjantami trzeba się tam jakoś liczyć i z nimi dzielić, bo sama Koalicja Obywatelska posiada mało imponujące 157 mandatów W przypadku wyborów samorządowych głównym celem jest wywindowanie KO i udowodnienie, że koalicjanci z rządu się nie liczą.

FIASKO SPEKTAKLU 100 KONKRETÓW

W jakimś sensie postawa Tuska jest spowodowana chęcią ukarania koalicjantów w rządzie za ich demonstracje samodzielności, co m.in. zaszkodziło spektaklowi, którym miało być odtrąbienie sukcesu 100 konkretów na 100 dni, choć to przewodniczący PO i jego partia ponoszą winę za to, że za zrealizowane można uznać tylko ok. jednej dziesiątej „konkretów". Tusk chciał urządzić spektakl w kampanii samorządowej, żeby lewarował KO, mimo że „100 konkretów" nie są sprawami bardzo istotnymi dla samorządów. To się nie udało, a Tusk nie mógł wziąć winy na siebie, więc zaczął atakować koalicjantów.

Stałe w postępowaniu obecnego premiera jest natomiast to, że nie cierpi buntów przeciwko własnej nieomylności. M.in. z tego powodu nie mógł zawiązać koalicji na wybory samorządowe. Oni już wiedzą, że gdy Tusk wydaje jakieś pomruki, to są jednoznacznie adresowane do Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, a oznaczają: „Nie podskakujcie, chłopcy, bo dobrze wiecie, wyżej czego nie podskoczycie". Politolodzy i socjologowie zaczynają wtedy snuć hipotezy na temat „kryzysu" w obozie rządzącym, tylko aby mówić o kryzysie, musiałaby być jakaś równość stron. A tej nie było ani przed 15 października, ani po 13 grudnia 2023 r. Opowieści o wielkiej łasce, którą aparat i wyborcy KO zrobili z powodów taktycznych Trzeciej Drodze, to bzdura. Dla Tuska i jego partii byłoby dużo lepiej, gdyby samodzielnie mieli wyższy wynik, niż uzyskali, bo przynajmniej nie przegraliby z Prawem i Sprawiedliwością różnicą ponad 1 mln głosów. Skoro Trzecia Droga zdobyła 14,40 proc. wszystkich głosów, to z „pomocą" czy bez niej przekroczyłaby 8-proc. granicę dla koalicji. „Pomoc" Tuska to zatem tylko kolejna próba zdyskredytowania koalicjantów, a szczególnie Trzeciej Drogi. W rzeczywistości to Hołownia pomógł Tuskowi, zbierając głosy, które raczej by nie padły na obecnego premiera. Jeśli przyjąć, że PSL miało w kieszeni swoje 1,6 mln głosów (samodzielnie w wyborach w 2019 r. uzyskało 1,58 mln głosów), to powiedzmy 1,5 mln

REKLAMA

21/0324/F

Fot. Ludmyla Kazakova

eprasa.pl f32322db13

głosów Polski 2050 są dorobkiem partii Hołowni, a nie skutkiem „pomocy" Tuska. Obecny premier nie był dobroczyńcą Trzeciej Drogi (Polski 2050), a wynik Koalicji Obywatelskiej lepszy o prawie 1,6 mln głosów niż cztery lata wcześniej był maksimum tego, co mógł uzyskać. Niczego nie mógł więc przekazywać, bo nie dysponował żadną nadwyżką. A w wyborach samorządowych chce jak najwięcej zabrać koalicjantom z Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy.

Tusk wychodzi z założenia, że tam, gdzie współpraca ma znaczenie, czyli na poziomie sejmików wojewódzkich, Polska 2050, PSL oraz Nowa Lewica nie mają wyboru, zatem po głosowaniu i tak będą współpracować z KO. A na innych szczeblach samorządu każdy walczy o swoje, czyli partia Tuska z lubością przyjmie nawet porażki Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy. W samorządach jakieś większościowe koalicje zwykle się tworzą i nikt się nie przejmuje ich doraźnością, tym, że nie są trwałe. Ważne jest, że to wystarcza jako podstawa do podziału łupów.

W samorządach tym bardziej nie obowiązuje zasada lojalności (w parlamentarnych też w gruncie rzeczy jej nie było) i każdy „chapie" dla siebie oraz własnych klientów. A w 2024 r. nawet powinien „chapać" z większą zachłannością, żeby pokazać swoim klientom, jak jest ważny. Słowa Tuska o „własnych przekonaniach" jako „jedynym kryterium" są tylko przypomnieniem, żeby „chapać" dla siebie, a nawet kosztem koalicjantów. Dla klientów w samorządach liczy się tylko wolumen własnych łupów, liczy się własna sitwa. Ona czasem współpracuje z inną sitwą, tak jak gangi współpracują ze sobą na danym terenie, ale liczy się tylko to, co „nasze". I lojalność dotyczy tylko swoich – zgodnie z doktryną Sławomira Neumanna. Dla Tuska rządzenie to jedynie poczucie siły i możliwość jej demonstrowania. Tu niczego się nie robi dla państwa, dla samorządów, dla obywateli. Oczywiście są jakieś taktyczne ustępstwa i czasem coś komuś skapnie, ale podmiotem jest partyjny aparat czy grupa trzymająca władzę, a nie społeczeństwo czy lokalne społeczności. Rządzi się dla nagiej władzy i dlatego traktuje koalicjantów „z buta".

SZANSA DLA PiS

Partyjne doły, szczególnie dotyczy to PO, miały pretensje do swego lidera, że oddał za dużo stanowisk partnerom z koalicji 13 grudnia, a powinien myśleć wyłącznie o swoich. Przecież nie może być tak, że duża część aparatu Platformy nie dostała nic. W samorządach konfitur jest dużo więcej, ale i chętnych do korzystania jest bez porównania więcej. I oni bardziej się frustrują, gdyż w samorządach „odstawienie", czyli polityczną degradację, bardziej widać. Tusk chce „zadusić" koalicjantów z rządu, sugerując, że jest bez znaczenia, czy zostaną oni dopuszczeni do konfitur, a nawet lepiej, gdy nie są dopuszczeni, bo wtedy więcej zostaje dla jego ugrupowania i partyjny aktyw się nie frustruje. A w „terenie" jednak się frustrował, mimo przejęcia władzy centralnej.

Tusk jest przekonany, że na szczeblu lokalnym koalicjanci z rządu mu nie podskoczą i są skazani na współpracę z jego Koalicją Obywatelską, ale już na jego warunkach, czyli nawet niezależnie od uzyskanych wyników. Bo bez KO i tak nie mogliby rządzić. Z kolei w Koalicji Obywatelskiej panuje przekonanie, że duże miasta są ich nawet bez „przyjaciół", a tam jest najwięcej konfitur do podzielenia. Jedyne miejsce, w którym można i trzeba budować koalicje po wyborach, to sejmiki wojewódzkie. Tam podzielenie się władzą niewiele zmienia, bo i tak działa układ stworzony po wyborach parlamentarnych 15 października 2023 r. KO miała najwięcej swoich zarządów w miastach, więc uznano, że nadal tak będzie, a nawet można liczyć na lepszy wynik, wykorzystując pokazywanie koalicjantów jako tych, którzy tylko stwarzają kłopoty. Tuskowi zależy na osłabieniu Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy w samorządach, bo to je też osłabia w koalicji rządowej i ma szansę osłabić w wyborach europejskich.

> Tuskowi zależy na osłabieniu Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy w samorządach, bo to je też osłabia w koalicji rządowej i ma szansę osłabić w wyborach europejskich

Niezależnie od tego, co się dzieje z koalicją 13 grudnia, PiS i tak musi grać na własnych warunkach. Bo i tak wszyscy pozostali, łącznie z Konfederacją oraz lokalnymi samorządowcami, grają przeciwko niemu, nawet bez stworzenia jednego antypisowskiego frontu. Tusk nie musiał nikogo namawiać do atakowania PiS, bo rządzące ugrupowania oraz Konfederacja nie miały innego zamiaru. Ale nie będzie już tak łatwo walić w Prawo i Sprawiedliwość jak w wyborach parlamentarnych. Wprawdzie w samorządach chodzi o inne sprawy niż na poziomie rządu, lecz Polska lokalna już dostrzegła brutalność i bezprawie w „przywracaniu" praworządności. Dostrzegła pazerność w dzieleniu się łupami. Zauważyła, że 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku to oszustwo, podobnie jak niższa składka zdrowotna, kredyt 0 proc., niższe ceny paliw, energii i żywności. Wręcz przeciwnie, bo to przede wszystkim Polska lokalna odczuje podwyżki cen żywności, benzyny i prądu.

Także rolnicy nie mają żadnych powodów do wdzięczności dla koalicji 13 grudnia, bo nie załatwiono ogromnej większości ich postulatów, a na protestujących rolników w Warszawie jeszcze wysłano policję. I to wszystko sprzyja PiS. Koalicja 13 grudnia liczy na to, że w wyborach samorządowych jeszcze utrzymają się nastroje z tych parlamentarnych, choć niewiele na to wskazuje. W każdym razie rządzące partie chcą się podzielić władzą w samorządach „na ostro", czyli dbając o interesy poszczególnych ugrupowań, bo to i tak nie wpłynie na trwałość koalicji rządowej. A ich elektorat może nawet doceni to, że chcą grać samodzielnie. Po ogłoszeniu wyników wyborów samorządowych jest zaś prawie pewne, że wszyscy po stronie układu rządzącego ogłoszą sukces, bo na jakimś szczeblu ten sukces znajdą. A PiS już ustabilizowało swoją pozycję, nie upadło i zacznie dyskontować pierwsze fatalne posunięcia koalicji 13 grudnia.

eprasa.pl f32322db13

Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii w formie e-booków

Nieznane strony historii Polski
10 pasjonujących opowieści o wybitnych Polakach i odkłamanych faktach | 106 stron

Powstanie Styczniowe 1863 r.
13 historii o najważniejszych ludziach powstania | 130 stron

Gdzie diabeł nie mógł
25 opowieści o niesamowitych kobietach | 178 stron

Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach
12 lekcji historii, które pomagają zrozumieć przeszłość | 121 stron

Pupile historii
30 nietypowych lekcji historii | nie tylko dla wielbicieli psów | 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 5,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

Autopromocja

eprasa.pl f32322db13

JAN PARYS

Polityka proatlantycka czy autonomia strategiczna Europy?

Wobec nowej odsłony rosyjskiego imperializmu dla sojuszu Europy z USA nie ma alternatywy

Rok po aneksji Krymu przez Rosję podczas Konferencji ds. Bezpieczeństwa w Monachium w 2015 r. w imieniu USA przemawiał ówczesny wiceprezydent Joe Biden. Mając na uwadze agresję armii rosyjskiej na terytorium Ukrainy, ogłosił koniec amerykańskiej polityki resetu z Moskwą i wezwał kraje europejskie do asertywności wobec władz na Kremlu. Państwa Europy Zachodniej, zainteresowane korzystnymi relacjami handlowymi z Rosją, nie przyjęły wtedy do wiadomości zmian w polityce amerykańskiej i kontynuowały wszechstronną współpracę z Rosją, która prowadziła do uzależnienia energetycznego, a czasem i politycznego.

Politycy z Francji i z Niemiec przez długie lata uważali, że rosyjska operacja zbrojna na Ukrainie w 2014 r. to incydenty na peryferiach Europy, które nie przekreślały sensu polityki resetu. Kanclerz Angela Merkel nie miała wątpliwości, że kooperację energetyczną i polityczną z Rosją należy kontynuować. Zatem dalej budowała bliskie stosunki z Moskwą, uważając, że w ten sposób przyczynia się do westernizacji Rosji. Również polityka Francji polegała na podtrzymywaniu kooperacji z władzami na Kremlu. Zatem gdy Władimir Putin zaatakował Ukrainę w 2022 r., Niemcy i Francja prowadziły wobec Rosji politykę inną niż Stany Zjednoczone.

Zbrojny atak na Ukrainę w 2022 r. wywołał zamieszanie w polityce Berlina i Paryża. Początkowo w tych stolicach oczekiwano, że Ukraina szybko upadnie i agresję uda się wtedy uznać za przykry fakt dokonany. To by umożliwiało kontynuowanie polityki resetu. Jednak Ukraina, korzystając z pomocy USA oraz Polski, postanowiła bronić swej suwerenności. Wtedy politycy z Paryża i Berlina zaczęli namawiać Putina do zatrzymania agresji i podjęcia rokowań. Prośby ich okazały się mało skuteczne, a raczej obnażyły bezradność obu głównych stolic europejskich wobec Rosji. Niespodziewanie dla wszystkich wiosną 2023 r. Putin zgodził się na negocjacje z Ukrainą, zaproponowane przez prezydenta Turcji Erdoğana. Gdy prezydent Zełenski nie wyraził zgody na naruszenie integralności terytorialnej Ukrainy, negocjacje się załamały.

* * *

Kiedy wojna trwała, Francja i Niemcy zaczęły szukać pomysłu na nową politykę w Europie. Było oczywiste, że w sytuacji, gdy Rosja powróciła do polityki militarnej ekspansji, kraje zachodnie muszą odejść od polityki kooperacji z Rosją, zwanej od czasu kanclerza Willy'ego Brandta „Ostpolitik". Jak wiadomo, tę prorosyjską linię przez lata kontynuowało wielu kanclerzy, w tym Angela Merkel. Teraz jednak nie można było dłużej kontynuować kooperacji z państwem, które dokonywało zbrodni na Ukrainie i dążyło do zmiany granic w Europie za pomocą siły militarnej.

Ktoś mógłby pomyśleć, że w obliczu zagrożenia Europy przez rosyjski imperializm politycy francuscy i niemieccy powrócą do polityki proatlantyckiej. Jednak jesienią 2022 r. okazało się, że czekała nas niespodzianka. Najpierw programowe wystąpienie 29 sierpnia 2022 r. w Pradze miał kanclerz Scholz, a parę dni później 1 września w Paryżu prezydent Francji. Każdy z nich ubolewał nad rosyjską agresją. Żadne z państw, które reprezentowali, nie było wówczas poważnie zaangażowane w udzielanie pomocy militarnej Ukrainie. Taką pomoc oferowały wówczas głównie władze USA oraz Polski. Okazało się, że rosyjska agresja wzbudziła bardzo szczególną refleksję geopolityczną w Paryżu i Berlinie.

Byłoby rzeczą logiczną, by w obliczu nowej, agresywnej polityki Putina Europa powróciła do bliskiego sojuszu z USA. Politycy francuscy i niemieccy postanowili iść inną drogą. Nie zamierzali realizować polityki proatlantyckiej, którą kiedyś zapoczątkował kanclerz Adenauer – nazywa się ona „Westbindung". Ignorując rosyjskie zagrożenie dla Europy, uznali, że wojnę na Ukrainie można wykorzystać do realizacji swoich partykularnych interesów. Od dawna mieli ambicje, by odgrywać poważną rolę w świecie, lecz nawet połączony potencjał Niemiec i Francji był na to za mały. Teraz więc postanowili, korzystając z zamieszania, które spowodowała wojna, podporządkować sobie pozostałe

eprasa.pl f32322db13

państwa Unii Europejskiej. W tym celu zapowiedziano projekt zmiany traktatu o UE i reformy samej Unii. Główne założenia to: pozbawienie państw członkowskich prawa weta przy podejmowaniu decyzji, wprowadzenie głosowania większościowego oraz powiększenie kompetencji Komisji Europejskiej kosztem uprawnień państw członkowskich.

Zatem gdy Ukraina się wykrwawia i walczy o suwerenność, gdy USA i Polska wysyłają jej broń i amunicję, główne kraje UE zajmują się projektem, który ma umocnić ich władzę. Trzeba bardzo wybiórczo patrzeć na politykę Rosji, by ignorować zagrożenie, które stanowi ona dla Europy. Dowodem na takie wąskie spojrzenie jest postulat prezydenta Macrona i kanclerza Scholza, by Europa dążyła do autonomii strategicznej, czyli do strategicznej niezależności od USA. Jest to niewątpliwe dziwna reakcja na politykę rosyjskiej agresji.

Stary Kontynent jest więc teraz geopolitycznie podzielony. Państwa Europy Zachodniej uważają, że nie ma poważnych zagrożeń militarnych i że mogą spokojnie koncentrować się na rozszerzaniu oraz reformowaniu UE. Kraje wschodniej flanki są zdania, że ich suwerenność jest zagrożona i w najbliższych latach priorytetem polityki unijnej trzeba uczynić bezpieczeństwo. Aby zapewnić Francji i Niemcom hegemonię w Europie, zaplanowano, że kwestie polityki militarnej i zagranicznej będą podporządkowane władzom w Brukseli. Nie może być bowiem tak, by takie kraje jak Polska, same, bez zgody Paryża i Berlina, decydowały o obronie swych granic lub współpracy z USA.

Na podstawie znowelizowanego traktatu o UE państwa flanki wschodniej zostaną ubezwłasnowolnione. Nie będą miały prawa do własnych decyzji w kwestii bezpieczeństwa. W tych sprawach będą musiały najpierw uzyskać zgodę polityków z Berlina i z Paryża. Zatem zostaniemy pozbawieni nawet prawa do zawetowania decyzji szkodliwych dla naszego bezpieczeństwa. Natomiast Niemcy i Francja będą mogły posługiwać się potencjałem gospodarczym, politycznym i militarnym całej Europy. To da im możliwość samodzielnej gry geopolitycznej w nowym, wielobiegunowym świecie. Jak widać, los Ukrainy tak naprawdę mało kogo obchodzi.

* * *

Polska jako główny kraj flanki wschodniej jest w sytuacji łatwej do zdefiniowana. Od wieków wszystkie ataki na Europę ze Wschodu szły przez nasze terytorium. Jesteśmy odpowiedzialni za obronę wschodniej flanki NATO na kierunku Smoleńsk, Brześć i Warszawa. Poza tym odpowiadamy za utrzymanie przesmyku suwalskiego, co jest konieczne dla obrony państw bałtyckich. Jak pokazują ostatnie lata, wszelka pomoc dla Ukrainy idzie głównie przez Polskę. Pełnimy w tej sprawie rolę amerykańskiego lotniskowca. Jest zatem oczywiste, że pomysł ograniczania naszej polityki obronnej i zagranicznej przez polityków z Brukseli (najczęściej prorosyjskich) nie leży w naszym interesie.

Wiemy dobrze, co by było, gdyby pomysły Macrona i Scholza na centralizację władzy w UE weszły w życie przed 2022 r. Wówczas Polska nie dostałaby zgody z Brukseli na natychmiastowe przekazanie Ukrainie czołgów, samolotów i amunicji ani na uruchomienie mostu powietrznego z pomocą militarną z USA przez lotnisko w Jasionce. NATO i USA okazałyby się bezbronne wobec rosyjskiej agresji. Droga do rosyjskiej dominacji w Europie byłaby otwarta. Te wszystkie skomplikowane sprawy, kiedy pomieszana jest kwestia reformy Unii z wojną i zagrożeniem rosyjskim, trzeba cierpliwie tłumaczyć naszym obywatelom, zwłaszcza że zbliżają się wybory do europarlamentu.

W Polsce trzeba się liczyć z dominującymi opiniami w społeczeństwie. Należy zaakceptować fakt, iż nasi obywatele mają postawy nie tylko proamerykańskie, lecz także są proeuropejscy. Wynika to z tradycyjnego prozachodniego nastawienia Polaków. Tego się nauczyliśmy, gdy nasz kraj był poddany reżimowi komunistycznemu. Zachód był wtedy dla nas synonimem wolności i dobrobytu. Tak zostało do dziś. Zatem mimo często naiwnej prorosyjskiej polityki władz w Brukseli i tego, że jako kraj często byliśmy dyskryminowani w UE, nie można podważać naszego udziału

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f32322db13

w samej Unii. Można natomiast mówić o tym, że będziemy zabiegać o lepszą i bardziej sprawną UE oraz o godne w niej miejsce dla Polski.

Przemówienie premiera Mateusza Morawieckiego wygłoszone w Heidelbergu w 2023 r. na temat przyszłości UE warto przełożyć na projekt traktatu o wolności ludzi i narodów w Unii. Na pewno dawny nicejski system liczenia głosów był bardziej sprawiedliwy niż obecny. Aby wygrać ze zwolennikami centralizacji władzy w UE, trzeba pokazać, że jest alternatywa. Nie można tylko protestować wobec proponowanej dotychczas nowelizacji traktatu. Nasz cel w UE to Unia bardziej demokratyczna, w której jest maksimum pragmatyzmu i zero ideologii. Istniejący dotychczas mechanizm pogłębionej dobrowolnej współpracy między państwami członkowskimi jest lepszym sposobem zarządzania UE niż podejmowanie decyzji systemem większościowym. Nie doprowadzimy bowiem w ten sposób do większej integracji, lecz jedynie nowych konfliktów. Zwolennikom Europy jako zunifikowanej przestrzeni politycznej dedykuję zapis Witolda Gombrowicza z jego „Dziennika": „Nie będziemy nigdy narodem prawdziwie europejskim, póki nie wyodrębnimy się z Europy, gdyż europejskość nie polega na zlaniu się z Europą, lecz na tym, aby być jej częścią składową specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić".

* * *

Dziś każde ugrupowanie, które zechce podważać nasz udział w UE, ryzykuje, że przegra wybory. PiS nie może się ograniczyć do odrzucania nowelizacji traktatów UE i odwoływania się do kwestii suwerenności. Jeżeli chce, a wierzę, że chce wygrywać, powinno pokazać, że ma lepszy projekt odnowienia Unii, bez centralizacji i nadmiernych regulacji. Można bowiem budować wspólnotę w Europie, która umożliwia kooperację w wielu dziedzinach, ale to wcale nie oznacza, że musimy dążyć do budowy superpaństwa. Trzeba np. zaproponować free Europe zamiast europejskiego biurokratycznego molocha. W kwestiach reformy UE zwolennikom PiS bliżej do modelu kooperacji gospodarczej, który wprowadzała EWG niż do zbiurokratyzowanego superpaństwa.

Aby zaradzić deficytowi demokracji w Unii, można wprowadzić zasadę, że każda decyzja Komisji Europejskiej jest wprowadzana w życie tylko przez te kraje, których parlamenty ją ratyfikowały. Aby zapobiec brakom konkurencyjności gospodarki w Europie, trzeba pamiętać, że wynika ona głównie z dotychczasowej centralizacji decyzji i nadmiernej liczby regulacji. Sprawy gospodarcze powinny zatem wrócić do kompetencji państw narodowych, a kwestie bezpieczeństwa pozostać przy poszczególnych stolicach.

> Politycy Trójkąta Weimarskiego nie mogą głosić autonomii strategicznej od Stanów Zjednoczonych i jednocześnie domagać się od władz USA wsparcia dla Ukrainy

Wobec nowej odsłony rosyjskiego imperializmu nie ma alternatywy dla sojuszu Europy z USA. Jeżeli jakieś państwo sobie go nie życzy, to trudno, ma prawo iść swoją drogą. Na tym polega wolność. Pomysł, by w głosowaniu większościowym podejmować decyzje o polityce bezpieczeństwa jest podważeniem fundamentów suwerenności w przypadku każdego państwa, obojętnie, dużego czy małego. Zjednoczona Europa nie może być podporządkowana dwóm największym krajom. Tym, którzy podziwiają ustrój federalny USA, warto przypomnieć, że nie polega on na tym, że władza należy do dwóch dużych stanów, tj. Kalifornii i Nowego Jorku. Dlaczego zatem federacja Unii ma polegać na hegemonii Niemiec i Francji? Federacja to równa pozycja każdego udziałowca.

Nikt nie może zakazywać państwom UE sojuszu z USA pod pretekstem strategicznej autonomii. Nie może być tak, że kraj, który broni flanki wschodniej i buduje sojusz polityczno militarny ze Stanami Zjednoczonymi, jest dyskryminowany z tego powodu przez władze Unii. Nie może być tak, że kraj, który w trosce o bezpieczeństwo zwiększa wydatki zbrojeniowe, jest uważany za podżegacza wojennego. Jeżeli państwa europejskie chcą korzystać z parasola militarnego USA, to nie wystarczy inwestować we własne siły zbrojne 2 lub 3 proc. PKB. Trzeba także współpracować z USA na płaszczyźnie geopolitycznej. Bo z Ameryką łączą nas nie tylko interesy, lecz także wartości wspólne dla zachodniej cywilizacji. Pomysł, by Europa budowała autonomię strategiczną wobec USA, na pewno temu nie służy.

Zrewitalizowany w 2024 r. Trójkąt Weimarski nie zapewnia Europie takiego potencjału militarnego, który umożliwiłby możliwość samodzielnej gry wobec Rosji czy Chin. Jego politycy nie mogą głosić autonomii strategicznej od Stanów Zjednoczonych i jednocześnie domagać się od władz USA wsparcia dla Ukrainy. Nie można głosić niezależności i jednocześnie oskarżać Stanów Zjednoczonych o zbyt małe zaangażowanie w obronę Europy. Za kuriozum można uznać to, iż jakiś polityk krytykuje Partię Republikańską za wstrzymywanie pomocy dla Ukrainy. W jakim świetle takie wypowiedzi stawiają Polskę, skoro ich autor nie rozumie, iż obywatele i politycy USA mają prawo najpierw dbać o zabezpieczenie swoich granic? Od dawna wiadomo, że to prezydent Biden rozmyślnie ogranicza środki na ochronę granicy z Meksykiem. Jak rozumieć atakowanie republikanów i pomijanie milczeniem tego, że Francja pomaga Ukrainie w sposób symboliczny, a Niemcy od dwóch lat nie chcą przekazać Ukraińcom pocisków Taurus? Od liderów mamy prawo wymagać konsekwencji i logiki, a nie tylko intryg politycznych i marketingu. Jak na razie wygląda bowiem na to, że Trójkąt Weimarski ma tylko jeden nadrzędny cel, który łączy jego uczestników. Jest nim walka z Donaldem Trumpem i zablokowanie jego wyboru na prezydenta USA. Być może poprawi to samopoczucie liderów tego aliansu, lecz na pewno nie jest to program, który zapewni wzmocnienie i rozwój UE.

eprasa.pl f32322db13

Aroganccy prezydenci miast

Jacek Jaśkowiak

Zostawszy w Polsce prezydentem dużego miasta, można się poczuć niemal jego właścicielem, udzielnym księciem, lokalnym oligarchą. Włodarze polskich metropolii często nawet nie ukrywają swojego lekceważenia wobec mieszkańców, będąc pewnymi kolejnej kadencji w ratuszu

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Fot. Andrzej Wiktor

Scena miała miejsce w łódzkiej dzielnicy Retkinia. Prezydent Hanna Zdanowska odwiedziła tamtejsze osiedle w ramach zapowiadanych spotkań z mieszkańcami, ale na miejscu zjawiła się kandydatka Prawa i Sprawiedliwości, a jednocześnie posłanka PiS – Agnieszka Wojciechowska van Heukelom. Polityk prawicy postanowiła zaskoczyć Zdanowską dlatego, że ta nie przyszła na żadną debatę kandydatów na prezydenta.

HRABINA ZDANOWSKA UCIEKA

Na blokowisku Retkini posłanka PiS mogła czuć się zażenowana zachowaniem prezydent Łodzi. Zdanowska najpierw odpowiedziała, że „z panią nie rozmawiam po pani występach w Sejmie". Jakich występach? Wojciechowska van Heukelom jest sejmową debiutantką, materiał o niej zrobili nawet w nieprzychylnej konserwatystom stacji TVN24 i żadnego jej wystąpienia w Sejmie nie cytowali ani nie podważali. Zdanowska jednak nie musiała się tłumaczyć, bo jej otoczenie zaatakowało tych mieszkańców Łodzi, którzy podczas nieoczekiwanego spotkania z kandydatką PiS nagrywali całe zajście. Zakrywano kamery telefonów komórkowych, padły przekleństwa, a wianuszek ludzi wokół polityk Platformy Obywatelskiej okazał się nie spontanicznymi mieszkańcami, lecz po prostu zwolennikami i współpracownikami Zdanowskiej. Prezydent Łodzi odgrodziła się od mieszkańców,

eprasa.pl f32322db13

Hanna Zdanowska

Rafał Trzaskowski

Aleksandra Dulkiewicz

ale i tak spółki miejskie prezentowały w mediach jej sylwetkę, co było ewidentną reklamą.

Samą panią prezydent zna jednak w mieście każdy, bo rządzi tam od 14 lat, więc na starcie ma zapewnioną premię za rozpoznawalność, a także za możliwość zatrudniania w urzędach i miejskich spółkach. I specyfikę polskich wyborów samorządowych. Polega ona m.in. na tym, że rozdrobnienie polityki w regionach sprawia, iż media mniej dyskutują o kandydatach niż w wyborach ogólnopolskich. Jesienią ub.r. o każdej z partii słyszało się w TVN czy TVP, w podcastach i u blogerów, teraz przekaz jest podzielony, a zasięgi kilkudziesięciokrotnie mniejsze, więc wygrywa najsilniejszy kandydat – ten urzędujący. I z tego korzystają inni baronowie Platformy Obywatelskiej, którzy czują się panami sytuacji.

Może więc media lokalne czynią kampanię bardziej uczciwą? Na pewno nie w Łodzi – w zarządzie Polski Press, która wydaje w mieście „Dziennik Łódzki" zasiada Elżbieta Żuraw, która jednocześnie kandyduje do rady miasta Łodzi. Niech ktoś znajdzie takiego pracownika lokalnych mediów, który napisze o ewentualnej nieuczciwości własnego szefa akurat ubiegającego się o stanowisko publiczne. W ten sposób psuje się i demokrację, i kondycję mediów.

KSIĄŻĘ TRZASKOWSKI JEDZIE TRAMWAJEM

Podobnie w debacie prezydenckiej nie wziął udziału prezydent stolicy – Rafał Trzaskowski. Organizatorami wydarzenia był głośny ostatnio kanał w serwisie YouTube – Kanał Zero. W studio pojawili się i Magdalena Biejat z Lewicy, i Tobiasz Bocheński z PiS, i Przemysław Wipler z Konfederacji, tylko obecny prezydent nie skorzystał z zaproszenia. Internet obiegają natomiast memy z Trzaskowskim, który raz na cztery lata pokazuje się w metrze z książką oraz demonstruje, że jedzie tramwajem. Tyle wystarczy? Nawet hasło wyborcze kandydata PO jest przejawem lekceważenia. Slogan „Po prostu Warszawa" nie znaczy nic, równie dobrze obok twarzy roześmianego Trzaskowskiego można by napisać „Mam was w nosie".

„Nie chodzi, bo nie musi" – komentuje tygodnikowi „Sieci" absencję polityka samorządowiec z Platformy Obywatelskiej. „Nasze wewnętrzne sondaże dają Trzaskowskiemu zwycięstwo w pierwszej turze, a Platformie ponad 60 proc. poparcia do rady miasta" – przekonuje polityk. Wysokie poparcie zupełnie więc rozleniwiło samorządowców, którym wyborcy dają władzę na tacy, nie trzeba się po nią nawet schylać.

BARON JAŚKOWIAK W GEJOWSKIM KLUBIE

Prezydent Poznania też się nie martwi opinią publiczną. Jacek Jaśkowiak rządzi od 10 lat, ale śmiało korzysta z wszystkich przewag samorządowych ułomności demokracji. Odkąd odwołano redaktora naczelnego „Głosu Wielkopolskiego" Wojciecha Wybranowskiego i przejęto Polskę Press oraz upolityczniono zarząd, nikt nie przekaże mieszkańcom, co stoi za konkretnymi krokami władzy w stolicy Wielkopolski. Gdy Jaśkowiak pojawił się w tęczowym lokalu Stonewall, komentatorzy co najwyżej mówili o jego nowoczesności i swobodzie, skoro polityk nawet puszczał w klubie muzykę. Czy jednak pojawienie się prezydenta w tym miejscu nie powinno wzbudzić poważnej dyskusji? Klub nie ma najlepszej repu-

Fot. Andrzej Wiktor, Liudmyla Kazakova, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl f32322db13

tacji – sama nazwa nawiązuje do gejowskiej mitologii z USA, bowiem w 1969 r. w lokalu dla homoseksualistów o nazwie Stonewall doszło do zamieszek z policją, którą obecna propaganda przedstawia jako przejaw walki o wyzwolenie mniejszości seksualnej. Tak się przedstawia również polska wersja Stonewall. Środowisko to dysponuje w Poznaniu siecią powiązań i lokali w niezwykle prestiżowych lokalizacjach. Jedna z ich placówek znajduje się w samym Zamku Cesarskim w Poznaniu, ich przychodnia – w ścisłym centrum. Jeden z liderów środowiska, Arkadiusz Kluk, propaguje zachowania członków wspólnoty, do których należy „seks grupowy", „chemseks", „wysyłanie nagich zdjęć". Aktywista zachęca do publicznego mówienia o swoich preferencjach i do obnoszenia się z nagością, co ma być „w pewnym sensie edukacją seksualną".

Grupa Stonewall miała prowadzić w poznańskich szkołach zajęcia dla młodzieży. Co więcej, środowisko Stonewall jest zamieszane w aferę obyczajową – byli pracownicy stwierdzili, że menedżer lokalu zatrudniał młodych, atrakcyjnych mężczyzn, z którymi chciał później współżyć. Wtedy mówiła o tym lokalna Telewizja Polska, ale dziś nawet ona została przejęta i milczy na temat miejsca, w którym tańczył prezydent Jaśkowiak.

GRAFINI DULKIEWICZ SPACER PO SZKOŁACH

W Gdańsku Aleksandra Dulkiewicz też gra na nierównym boisku. Korzystając z urzędu, spotykała się z wyborcami także w budynkach szkół, co nie byłoby niczym dziwnym, gdyby nie fakt, że Tomasz Rakowski z PiS nie ma możliwości organizowania spotkań w murach placówek oświatowych. Podkreślmy, że nie chodzi o agitowanie młodzieży, lecz właśnie o popołudniowe i wieczorne spotkania z wyborcami. Rakowskiemu odmówiło ponad 10 szkół, które – jak przekonywały dyrekcje – „nie chcą opowiadać się po żadnej ze stron politycznego sporu". Po stronie Dulkiewicz się jednak opowiedziały.

26 marca jedna ze szkół zgodziła się udostępnić salę na dyskusję kandydata PiS z wyborcami, jednak sytuacja się skomplikowała. Jak komunikował Rakowski, „o 19:00 mieliśmy się spotkać z mieszkańcami dzielnicy Stogi w Szkole Podstawowej nr 72. Wszystko było potwierdzone z administracją szkoły, co, nie ukrywam, było dla mnie miłym zaskoczeniem w kontekście ostatnich wydarzeń ze szkołami. W weekend zostały rozklejone ogłoszenia, rozniesione ulotki o spotkaniu" – pisał polityk na platformie X (d. Twitter). Ale niestety spotkała go niespodzienka. „Niestety wczoraj pan dyrektor stwierdził, że nie chce stawać po żadnej stronie sporu politycznego i odmówił wynajmu sali". Jednak polityk Zjednoczonej Prawicy nie odpuszczał: „Ponieważ było za późno, by wszystko odkręcać – relacjonował – spotkanie odbędzie się nie w szkole, a przed nią". Na to zareagowały wystraszone władze szkoły, które nie chciały się przyznawać do ograniczenia debaty publicznej i ostatecznie wpuściły wyborców w swoje mury. Ale co z tego? Po odmowie organizacji spotkania frekwencja była mniejsza, a samo wydarzenie znacznie okrojone. A w tej samej kampanii wyborczej Aleksandra Dulkiewicz może przechadzać się po placówkach oświatowych jak koronowana głowa – tak to wygląda w dużych polskich miastach.

> Trzaskowski raz na cztery lata pokazuje się w metrze z książką oraz demonstruje, że jedzie tramwajem. Tyle wystarczy? Nawet hasło wyborcze kandydata PO jest przejawem lekceważenia. Bo przecież slogan „Po prostu Warszawa" nie znaczy nic

NOWA OLIGARCHIA

Miasta w krajach Zachodu zawsze są bardziej liberalne niż prowincja. Społeczność jest bardziej zatomizowana, mniej zakorzeniona w sprawach sąsiedzkich, rodzinnych czy lokalnych, mniej osób rozpoznaje samorządowców w tłumie mieszkańców blokowisk, a dostępność łatwych rozrywek czyni z europejskich metropolii wielokulturową mieszankę ludzi, którzy raczej nie przejmują się lokalnymi problemami. W Polsce było inaczej, odkąd Donald Tusk wpadł na pomysł, by w kraju zastosować polaryzacyjno-dyfuzyjny model rozwoju gospodarczego. Polega on na inwestowaniu w miasta z założeniem, że pociągną one za sobą prowincję (co się nigdzie nie sprawdziło). W ten sposób tworzy się jednak liberalną elitę, która jest mocno powiązana zarówno towarzysko, jak i biznesowo, a główni gracze lokalnej przedsiębiorczości mają zazwyczaj bardzo dobre kontakty z władzą. Pamiętamy, jak w 2020 r. niektóre samorządy odmówiły współpracy w organizacji wyborów prezydenckich, do których zobowiązywała ich konstytucja RP.

Miasta stają się coraz bardziej niezależne, a przecież jeszcze w czasach panowania Grzegorza Schetyny w Platformie Obywatelskiej snuto rozważania o większej autonomii samorządów, co w połączeniu z koncepcją tworzenia silnych regionów w UE oznaczałoby demontowanie państwa narodowego. A to właśnie państwo powinno uregulować status samorządów.

„Nawet ustawa zobowiązująca prezydentów miast do udziału w debatach wyborczych byłaby jakimś krokiem do ukrócenia tej arogancji" – mówi tygodnikowi „Sieci" Wojciechowska van Heukelom, która naprawdę wyciska z siebie siódme poty, by Zdanowska odważyła się podjąć rękawicę. Lokalni władcy wykazują się jednak taką nonszalancją i arogancją, że bez twardego zobowiązania prawnego nie staną przed wyborcami, by uczciwie rozliczyć się ze swoich rządów i wysłuchać głosów krytyki.

eprasa.pl f32322db13

„Ocaleni” uratowali wielu ludzi

Zniknięcie programu z Telewizji Polskiej ogromnie ograniczy nam zasięgi w docieraniu z wiedzą i nadzieją do ludzi, którzy jej potrzebują

Z Rafałem Porzezińskim, dziennikarzem i trenerem terapii uzależnień, twórcą cyklu „Ocaleni” w TVP oraz prezesem Stowarzyszenia „Ocaleni”, rozmawia Dorota Łosiewicz

„Ocaleni” zniknęli z anteny TVP. Co znika wraz z tym programem?

Rafał Porzeziński: Po pierwsze, mnóstwo ludzi traci program, z którym się identyfikowało, czuło więź większą niż nadawca–odbiorca. Program „Ocaleni” od przynajmniej 12 lat był budowany przez środowisko ludzi cieszących się wolnością „z odzysku”. Ogromna część z nich żyła w niewoli i przymusie. Często na własne życzenie, ale nie zawsze, bo środowisko ocalonych to także ludzie, których bliscy popadli w uzależnienia. Wszystkich łączy wiedza, którą przekazywaliśmy widzom, o tym, że wolność to nie jest coś łatwego, przyjemnego i należnego każdemu, ale że to coś, co wymaga czujności czy intensywnej pracy. Wolny nie jest ten, kto robi, co chce, bo to zaprzeczenie wolności. Często chcemy rzeczy łatwych i przyjemnych, które czynią z nas niewolników, a nie ludzi wolnych. Wolność to taka sytuacja, w której niezależnie od zewnętrznej

eprasa.pl f32322db13

opresji jestem w stanie wybierać dobro. Sam jestem człowiekiem ocalonym z nałogu hazardu. I świetnie pamiętam, jak w końcowej fazie nałogu już nie chciałem wygrać, tylko przegrać, by móc wyjść z kasyna i pójść spać po dwóch nieprzespanych i przegranych nocach. Ta sytuacja nie miała nic wspólnego z wolnością, choć wydawało mi się, że robię to, co chcę. Program „Ocaleni" przekazywał tę prawdę. Po drugie, choć te wiadomości są bardzo przydatne i dla wielu ratunkowe, zniknięcie programu z Telewizji Polskiej ogromnie ograniczy nam zasięgi w docieraniu z tą wiedzą i z nadzieją do ludzi, którzy ich potrzebują.

To nie był program polityczny, więc dlaczego znika?

Polityczny nie był, choć naszymi bohaterami byli także politycy, którzy przeszli drogę od zniewolenia do wolności. Zaskakujące było dla mnie to, że do czasów prezesa Jacka Kurskiego przez lata nie było cyklicznego programu, który by się zajmował tematyką ratowania ludzi z ich uzależnień. Po sławnym programie „Wódko pozwól żyć" Halszki Wasilewskiej była jeszcze próba Eugeniusza Poloczka stworzenia programu „Maraton trzeźwości", ale to daleka przeszłość. Gdy sześć lat temu zaczynaliśmy współpracę z TVP, nie było programu, który zajmowałby się problemem dotykającym niemal każdej rodziny w Polsce. Jacek Kurski uwierzył, że to ma sens. Jestem więc zasmucony, że tak ważny program znika z anteny publicznego nadawcy, ale nie powiem, że się tego nie spodziewałem. I pewnie nie chodzi tu o negatywną ocenę merytoryki tego programu, bo to byłoby trudne. Po każdej audycji przez dwie, a czasem nawet i cztery godziny siedzieliśmy przy telefonach, w sieci, by odpowiadać osobom, które szukały pomocy dla swoich bliskich. Wiem, że pomogliśmy tysiącom ludzi. Nawet nie umiem stwierdzić, ilu dokładnie. Naszą obecnością na pewno nie robiliśmy telewizji publicznej krzywdy. O co więc może chodzić? Nasz program zwracał uwagę na to, że uzależnienie to choroba umysłu, ciała i duszy. Być może nowe kierownictwo TVP wyklucza ten trzeci filar, na którym buduje się trzeźwość. Ale nie przesądzam tego. Wszyscy nasi goście, eksperci, bohaterowie zwracali uwagę na to, że proces ich ratowania zaczął się od przebudzenia duchowego, nie tylko psychicznego. Na drodze intelektu stosunkowo łatwo zrozumieć, że picie, narkotyki czy hazard są złe, bowiem straty związane z nałogiem są większe niż przyjemność. Umysł wysyła komunikaty o dyskomforcie, choć istnieje cała masa sposobów, by ich nie usłyszeć. Jest też masa błędów, które popełniają osoby współuzależnione. Jednak bez przebudzenia ducha nic się nie wydarzy. Być może TVP będzie szukała nowego brandu, który zajmie się tym tematem. Byłbym zdziwiony, gdyby było inaczej, gdyby nie próbowali wypełniać zadań, które KRRiTV nakłada na publicznego nadawcę.

Fot. Andrzej Wiktor

Mówisz o błędach współuzależnionych. Na czym one polegają?

Ludzie współuzależnieni często buforują i biorą na siebie konsekwencje

toksycznych działań osób uzależnionych. W ten sposób nie pomagają, lecz utwierdzają w przekonaniu, że strategia przetrwania uzależnionego jest słuszna. Na tym polu „Ocaleni" wykonali ogromną pracę. Pokazaliśmy, że ktoś żyjący z chorym też jest odpowiedzialny za trzeźwość tej osoby. Możliwość podejmowania decyzji przez chorego jest upośledzona. Często ratunek idzie więc przez mocne konfrontowanie osoby uzależnionej z konsekwencjami jej działań. Ale to może się stać dopiero wtedy, gdy bliscy zdejmą parasol ochronny i pozwolą cierpieć. Człowiek uzależniony nie jest wrażliwy na cierpienie innych. Nie chce naszej miłości, chce naiwności, współczucia i tego, żeby mu dosypywać pieniędzy, by mógł trwać w swoim błędzie. Ludzie często mnie pytają, jak pomagać mądrze i skutecznie. Ale nie ma dobrej odpowiedzi, bowiem nie da się pomóc komuś, kto tego nie chce. Jeśli osoba, która tkwi w nałogu, pragnie pomocy, to sposobów na jej udzielenie jest wiele. Mamy w Polsce bardzo dobry system leczenia uzależnień, i to na wielu płaszczyznach: lokalnym, centralnym, w klinikach publicznych oraz prywatnych, mamy świetnie zarządzane i niezmiernie pomocne Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom, mamy świetnych fachowców. Jednak żeby leczenie przyniosło skutek, nie jest potrzebny nakaz sądowy, a wola osoby, która tkwi w nałogu. Niezmiernie rzadko udaje się uratować tonącego, który chce utonąć. Tym, co może zrobić bliska osoba, jest pozwolenie uzależnionemu na cierpienie i obronienie siebie przed skutkami działań tej osoby w każdy możliwy sposób. Jednocześnie uzależniony musi jak najdotkliwiej odczuć skutki nałogu.

> Przez sześć lat, przez 260 odcinków „Ocalonych" (a w każdym opowiadaliśmy 3–4 historie naszych gości), powtarzał się ten sam schemat. Osoba uzależniona nie tylko zawołała o pomoc, lecz także do Boga, nawet jeśli była niewierząca

Bliski ma pozwolić na upadek?

Osoby uzależnione już leżą. Taka osoba często żyje w takim zakłamaniu, że leżąc w rynsztoku, obsikana, patrzy na ludzi idących ulicą do pracy z góry, bo ma przekonanie, że wybrała lepszą część z tego, co proponuje człowieczeństwo. Chodzi więc nie tyle o to, żeby osoba uzależniona osiągnęła dno, ile by zobaczyła, że je osiągnęła.

A gdzie się zaczyna ocalenie? Czego potrzeba, by zacząć zmianę, obudzić się do wolności?

Trzeba zawyć o pomoc. Zdać sobie sprawę, że nie jest się samemu ze swoim problemem. W Polsce istnieje masa miejsc, w które można pójść po pomoc. Grupy samopomocowe pracujące na programie 12 Kroków to wielki skarb, ich uczestnicy i beneficjenci to ludzie trzeźwi „z odzysku", którzy przeszli przez piekło uzależnienia, a więc mają sprawdzone życiem, a nie teoretyczne metody pomocy. Pamiętam, jak naszym gościem był wybitny aktor, wspaniały człowiek Lech Dyblik. Opowiadał, że gdy dowlókł swoje zmaltretowane alkoholem ciało, które potrzebowało pić bez względu na sukcesy zawodowe, jakie osiągał, terapeuta powiedział: „No, to połowę roboty masz pan już za sobą". Dyblik się zdziwił, że przecież on się ledwie tam przywlókł. Usłyszał więc, że zrobił bardzo dużo, bo przyszedł nie pod przymusem, ale dobrowolnie, ze świadomością i pokorną prośbą o ratunek. To jest ogromny krok, wielka zmiana, gdy przychodzę i ogłaszam bezsilność. To pierwszy z programu 12 Kroków, który spisali AA w latach 30. XX w. A dalej zaczyna się przygoda z człowieczeństwem.

Czy ocalenie zawsze przebiega w podobnym schemacie?

Tak, w kwestii szukania pomocy jesteśmy dość podobni. Przez tych sześć lat, przez 260 odcinków (a w każdym opowiadaliśmy 3–4 historie naszych gości), a wcześniej było przecież ok. 100 odcinków programu „Dwunasty krok" w TV Republika, powtarzał się ten sam schemat. Osoba uzależniona nie tylko zawołała o pomoc, lecz także

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f32322db13

do Boga, nawet jeśli była niewierząca. Nie pamiętam właściwie historii, która zaczęłaby się inaczej (z wyjątkiem współuzależnionych). Bez względu na to, czy był to morderca, młoda dziewczyna zagubiona w odmęcie życia, narkoman po heroinie podgryzany przez szczury czy osoba publiczna to element wołania do Boga był obecny. Czasem było to bezgłośne i bez sił, czasem pełne pretensji. I żadne wołanie nie zostało bez odpowiedzi. Losy tych ludzi potoczyły się pięknie.

Tyle odcinków, tyle historii. Które zapadły ci szczególnie w pamięć?

Wszystkie są wyjątkowe. Jak ta Dobromira Makowskiego, który wychodził z głębokich nizin, totalnego upodlenia, a dziś jest twórcą wielu miejsc pomocy ludziom bezdomnym, wykluczonym, ojcem dzieci, mężem żony. Robi fenomenalną robotę na rynku raperskim, tworzy RapPedagogię oraz pomaga ludziom upadłym w zmianie ich życia, w codzienności. Wynajduje ludzi leżących w liszajach, śmierdzących, chorych. Myje ich, leczy, daj nadzieję. Jest historia rapera Przemka Wieczorka, który upojony narkotykami i alkoholem próbował odebrać sobie życie pod kołami pociągu i w wyniku tej straceńczej próby stracił obie ręce. Dziś nie patrzy na to zdarzenie jako na coś, co go zniszczyło, tylko na coś, co go ocaliło. Dziś jest wolny i pomaga odnaleźć wolność innym. Jest historia Andrzeja Sowy, lidera kapeli Maria Nefeli, która wygrała festiwal w Jarocinie. Człowiek stoczył się na dno. Któregoś razu leżał w piwnicy, a strupy na jego nogach podgryzał szczur. Andrzej był na głodzie heroinowym i nie był w stanie przegonić gryzonia. Wreszcie czymś w niego rzucił i potem opowiadał, że miał wrażenie, że szczur spojrzał na niego z błyskiem w oku, jakby myślał: „I tak cię dopadnę". Wtedy Andrzej wywlókł się z tej piwnicy i spotkał dziewczynę, która podstępem zabrała go na rekolekcje. Gdy się dowiedział, że to właśnie rekolekcje, zażył wówczas ostatnią dawkę heroiny, którą miał przy sobie. Nie wiedział nawet, o co chodzi, co tam robi, ale tak się zaczęło. Jak ktoś do niego mówił: „Chwała Panu", to on odpowiadał: „Chwała pani", bo nie znał tego zwrotu. I na tych rekolekcjach zaczęto się nad nim modlić. Po tym głód heroinowy minął. Nie wiem, czy czytelnicy wiedzą, jak to jest, gdy z człowieka schodzi heroina. Wówczas nie można niczego zjeść, przełknąć, wypić. To tak jakby mieć silną grypę razy milion. Do tego wstręt do światła, dźwięku, jedzenia. A Andrzej po modlitwie rzucił się na całą rynienkę ciasta drożdżowego, połknął je i nigdy już nie tknął heroiny. Do dziś pozostaje odpowiedzialnym człowiekiem: działa, tworzy, napisał książkę, ma rodzinę. Nasi ocaleni potrafili wrócić do społeczeństwa, odbudować relacje, więzi, zadośćuczynić. Wielu poszło w służbę ludziom, wykorzystując swoją wiedzę. Obecność w „Ocalonych" pozwoliła docenić ich pracę, wypowiedzieć się przed szerokim audytorium, pokazać, czym żyją. To było także ważne dla rodzin tych ludzi, bo nadaktywizm w działaniu z wykluczonymi często powoduje zaniedbanie najbliższych.

> Z całą pewnością będziemy budować markę „Ocaleni TV" na YouTube, będziemy dalej budować społeczność ocalonych i tych, którzy pragną ocalać innych

Nałóg może dopaść każdego. Biednego i bogatego, wykształconego lub nie, także osoby publiczne. Czy ich przykład łatwiej naśladować?

Tak, i to w obie strony. Historie ocalenia osób publicznych bardzo motywują. Ale jest też mechanizm przeciwny – naśladowanie antywzorców. Gdy znany aktor czy piosenkarz, który dla wielu jest wzorem, odstawia wódkę, to niemałe grono osób ma powód, by zastanowić się nad sobą i pójść tym tropem. I po to był nasz program. By osoby znane i lubiane, lecz także te nieznane, mówiły: „Można zmienić własne życie". Wszyscy nałogowo potrzebujemy szczęścia i go szukamy na złamanie karku, często w sposób, który nas unieszczęśliwia, ale wszyscy mamy wspólny cel.

Co dalej?

Z całą pewnością będziemy budować markę „Ocaleni TV" na YouTube, dalej będziemy budować społeczność ocalonych i tych, którzy pragną ocalać innych. Mamy Stowarzyszenie „Ocaleni", grupę przyjaciół, współpracujemy z wieloma wspólnotami i ludźmi, którzy widzą źródło naszego ocalenia i definiują je jako miłującego Boga. Internet to dobry sposób, by docierać do ludzi (no, chyba że ktoś jest od niego uzależniony). Jesteśmy też na Facebooku na profilu Ocaleni. Łatwo też nas spotkać w realu. Pragnę gorąco zaprosić wszystkich, którzy nie mają jeszcze zaplanowanych pierwszych dni wakacji, na ośmiodniowy turnus: Czwarte Ogólnopolskie Spotkania Społeczności Ocalonych pt. „Dokąd zmierzasz". Startujemy 23 czerwca, w Dzień Ojca. Zapraszamy nad morze do Łukęcina, do ośrodka Wielki Błękit. Należy się zapisywać bezpośrednio w ośrodku. Będą z nami niesamowite osoby: ks. dr Marek Dziewiecki, Lech Dyblik, „Felek" Alkoholik, Irenka z Akron, Piotr Nagiel, Teatr Exit, Magda Anioł. Będzie plejada gwiazd, artystów, terapeutów. I będzie czas na plażowanie, siatkówkę, turnieje tenisa stołowego, nawiązywanie relacji. Wydaję kolejne książki, które są zarówno pomocnymi poradnikami, jak żyć w trzeźwości, jak i niesamowitymi historiami ocaleń. A co potem? Mam nadzieję, że kiedyś, a lubię wracać tam, gdzie byłem, telewizja publiczna znów otworzy swe podwoje na ten lub podobny projekt. Dziś pragnę podziękować tym, którzy współtworzyli „Ocalonych". To są wspaniali ludzie, wierzę, że na zawsze utrzymam z nimi kontakt.

eprasa.pl f32322db13

Krokus i przyszłość wojny na Ukrainie

Nie ulega wątpliwości, że rosyjska propaganda będzie chciała wykorzystać zamach na Crocus City Hall, aby ożywić prowojenne nastroje i wzmocnić głosy domagające się rewanżu na Ukraińcach

MAREK BUDZISZ

Mimo że od zamachu na podmoskiewskie centrum Crocus upłynęło już kilkanaście dni, nadal mamy więcej pytań niż odpowiedzi związanych z tym, co się stało. Nie wiadomo nawet, ilu było napastników, bo władze informują o aresztowaniu czterech zamachowców i taka jest oficjalna wersja, ale BBC donosi, że dwóch kolejnych zostało zastrzelonych, w tym jeden na miejscu, co notabene przeczyłoby tezie, iż nie było tam uzbrojonej ochrony. Nie wiadomo też, dokąd planowali uciec zamachowcy i dlaczego udało im się przejechać ponad 400 km, zanim zostali zidentyfikowani.

OSKARŻENIA PUTINA

Zgodnie z przewidywaniami wielu analityków Władimir Putin oskarżył Ukrainę i zachodnie służby o przeprowadzenie zamachu na Crocus City Center, w którym zginęło, według dotychczasowych informacji, niemal 140 osób. Najpierw powiedział, iż nie jest kwestią przypadku, że zamachowcy, uciekając, podążali w stronę Ukrainy, bo tam „otworzono im okno", przez które ponoć mieli się przedostać. A to, zdaniem rosyjskiego prezydenta, miało potwierdzać, że zamach zorganizował wywiad napadniętego przez Rosję państwa. Potem nieco skorygował swoje przesłanie, sugerując, że Ukraińcy „wynajęli Tadżyków" po to, aby ci, skrywając się za szyldem Państwa Islamskiego, przeprowadzili atak. Putin powtórzył zresztą opinię Siergieja Markowa, prokremlowskiego politologa, który kilka godzin po zamachu w swym wpisie w sieciach społecznościowych podważał tezę, iż został on zorganizowany i przeprowadzony przez islamistów, argumentując, że „wierzący muzułmanie nie uderzyliby w czasie ramadanu".

Fot. STRINGER/AFP/East News

eprasa.pl f32322db13

Niezależny portal Meduza, powołując się na źródła w rosyjskich mediach prorządowych, poinformował nawet, że Kreml wydał instrukcję, aby oficjalna narracja koncentrowała się na „ukraińskim śladzie", a ignorowała fakty świadczące o tym, że za zamachem stoi ISIS.

CO WIEDZIELI ROSJANIE?

Jednak narracja Putina i prokremlowskich propagandystów już kilkanaście godzin później okazała się, delikatnie mówiąc, mało przekonująca. Jak donosi Bloomberg, powołując się na informacje z kręgów zbliżonych do Kremla, wierzy w nią nawet mało kto z bezpośredniego otoczenia rosyjskiego prezydenta. Dmitrij Krutoj, ambasador Białorusi w Moskwie, powiedział Agencji Biełta, że kierujący komitetami bezpieczeństwa obydwu krajów byli ze sobą w bliskim kontakcie od pierwszych chwil po zamachu, a Białorusini mieli „nie dopuścić", aby uciekający terroryści przekroczyli wspólną granicę. Kilkanaście godzin później na konferencji prasowej Aleksandr Łukaszenka poinformował o „zablokowaniu granicy" przez białoruskie służby, co miało spowodować, że „zamachowcy zawrócili i udali się" na granicę Rosji i Ukrainy. Ostateczny cios wersji Kremla zadał funkcjonariusz policji drogowej z obwodu briańskiego, który w wywiadzie dla lokalnej stacji telewizyjnej ujawnił, że renault, którym podróżowali zamachowcy, został zidentyfikowany na 359 kilometrze trasy, czyli jeszcze przed miejscem, gdzie rozdzielają się drogi na Białoruś i Ukrainę.

Rosyjscy dziennikarze z portalu Agencja zastanawiali się też, jak to możliwe, że zamachowcy byli w stanie niezauważeni przejechać ponad 400-km trasę najeżoną kamerami i fotoradarami, a także stałymi posterunkami policji. Tylko przez pierwsze 1,5 godz. ucieczki zostali oni pięciokrotnie „złapani" przez fotoradary.

Niezależny portal Centrum Dossier napisał nawet, że rosyjska Rada Bezpieczeństwa już kilkanaście dni przed zamachem miała informacje na temat tego, że „w Moskwie coś się szykuje". Były one znacznie bardziej precyzyjne niż ostrzeżenia, na początku marca publicznie sformułowane przez Amerykanów i przedstawicieli innych zachodnich placówek dyplomatycznych. Dziennikarze napisali, że Nikołaj Patruszew, sekretarz Rady Bezpieczeństwa, i Aleksandr Bortnikow, obaj uchodzący za „arcyjastrzębi" i dziś najgłośniej krzyczący o udziale Ukrainy w zamachu, zignorowali te informacje, przyczyniając się do tragedii.

ZNAKI ZAPYTANIA

Zdaniem wypowiadających się w mediach anonimowych ekspertów nie wyjaśnia to wielu wątpliwości. Po pierwsze, gdzie była policja? Pytanie jest zasadne, bo internetowy kanał WCzK-OGPU opublikował nagranie wideo przedstawiające radiowóz zaparkowany przed wejściem do centrum kongresowego. Skądinąd wiadomo, że w czasie trwającego 18 minut ataku zamachowcy otworzyli ogień już przed budynkiem. Dlaczego zatem nikt nie interweniował? Co więcej, media doniosły, że w sąsiednim budynku, ale w tym samym kompleksie, znajduje się posterunek, który w czasie ataku pracował, co stwierdzili dziennikarze, śledząc serwisy służące do zamawiania pizzy. Dlaczego zatem nikt nie przybył z odsieczą? Araz Agałarow, właściciel Crocus City, powiedział mediom dzień po ataku, że obecni w budynku ochroniarze nie mogli obronić wielotysięcznej publiczności, bo byli wyposażenie jedynie w pałki i elektroszokery, czyli w starciu z pistoletami maszynowymi nie mieli szans. No właśnie, ale dlaczego nie mieli broni?

Jednak portal The Moscow Times napisał, że ochrona Crocusa ma broń, dysponuje nawet specjalnym magazynem, znajdującym się w sąsiednim budynku, przystosowanym do jej przechowywania, ale z niewyjaśnionych powodów akurat tym razem nie była w nią zaopatrzona.

Konstantin Jerochin, prawnik specjalizujący się w tematyce imprez masowych, powiedział dziennikarzom, że w Rosji ich organizatorzy „zwyczajowo" konsultują wymogi bezpieczeństwa z FSB i w przypadku koncertów z udziałem wielotysięcznej publiczności na sali niemal zawsze znajdują się uzbrojeni funkcjonariusze Głównego Zarządu do Walki z Ekstremizmem. Tym razem miało ich nie być, choć internauci zauważyli co najmniej kilkunastu ubranych w niebieskie swetry mężczyzn, którzy byli na widowni, kiedy zaczął się atak, ale zachowywali się oni zupełnie inaczej niż wszyscy. Obserwowali, co się dzieje, a potem spokojnie, nie zdradzając paniki, przemieszczali się w stronę wyjścia. W rosyjskim internecie pojawiły się też teorie i zdjęcia mające potwierdzać, iż jeden z „niebieskich swetrów" tej samej nocy brał udział w zatrzymaniu zamachowców pod Briańskiem.

Pytań związanych z zastanawiającą bezczynnością rosyjskich służb jest więcej. Irina Wołk, rzeczniczka szefa MSW, powiedziała publicznie, że służby przybyły na miejsce ataku już 5 minut po otrzymaniu informacji, co zdaniem dziennikarzy, którzy dokładnie minuta po minucie prześledzili, co się działo, oznaczałoby, że w tym momencie zamachowcy byli jeszcze w budynku. Dlaczego zatem nie zostali zatrzymani jeszcze w Moskwie? Podobnie niewyjaśniona jest kwestia nieobecności sił specjalnych, choć ich koszary znajdują się 1,5 km od zaatakowanego budynku i z pewnością, gdyby reakcja była szybka, zdążyłyby dotrzeć do Crocus City Hall.

Oczywiście wszystko można wytłumaczyć tradycyjnym rosyjskim bałaganem i tym, że zaczynał się weekend, co oznaczało, że policjanci i funkcjonariusze służb specjalnych być może mieli ciekawsze zajęcia. Tylko że w Rosji mało kto wierzy w tego rodzaju zbiegi okoliczności i wszyscy doszukują się drugiego dna. Powstają rozmaite teorie spiskowe, co władze skrzętnie wykorzystują.

PROPAGANDOWA GRA

Aleksandr Bortnikow, kierujący pracami FSB, powiedział publicznie, że „zamach w Crocusie był potrzebny służbom specjalnym państw zachodnich i Ukrainy", by zdestabilizować sytuację w Rosji i zasiać panikę. Jak zaznaczył, „służby mają powody", aby rozpatrywać scenariusz współudziału brytyjskich i amerykańskich, a nie tylko ukraińskich wywiadów. Dziennikarze niezależnego portalu Meduza napisali,

eprasa.pl f32322db13

że władze nie mają żadnych dowodów na lansowane teorie, a nawet nie mają zamiaru ich szukać, co nie zmienia faktu, że linia oficjalnej propagandy raczej się nie zmieni i ludzie będą „zmuszani, aby uwierzyć" w tego rodzaju narrację. W przeciwnym razie Putin i jego otoczenie, a z pewnością kierujący licznymi rosyjskimi służbami specjalnymi i resortami siłowymi, musieliby się zmierzyć z niewygodnymi pytaniami – jak to się stało, że mimo wielomiliardowych nakładów okazały się one tak dramatycznie nieudolne?

Kreml z pewnością podejmie próbę wykorzystania zamachu do własnych celów. Już pojawiły się wezwania do „narodowego zjednoczenia", niezbędnego, aby móc zwyciężyć w trwającej wojnie. O tym, że Rosja nie prowadzi już na Ukrainie „operacji specjalnej", ale uczestniczy w wojnie, po wyborach prezydenckich mówił rzecznik Kremla Pieskow. Sam Putin na konferencji prasowej w powyborczą noc zapowiedział „utworzenie stref sanitarnych na Ukrainie" niezbędnych do tego, aby uniemożliwić atakowanie Rosji w przyszłości. Wasilij Nebenzia, rosyjski ambasador przy ONZ, w swym wystąpieniu na forum tej organizacji podniósł też kwestię „demilitaryzacji Ukrainy".

> Niezależny portal Meduza, powołując się na źródła w rosyjskich mediach prorządowych, poinformował, że Kreml wydał instrukcję, aby oficjalna narracja koncentrowała się na „ukraińskim śladzie", a ignorowała fakty świadczące o tym, że za zamachem stoi ISIS

WOJNA I DYPLOMACJA

Wszystko razem wzięte wskazuje na to, że Rosja chce nie tylko wygrać wojnę, lecz także zaostrza swe warunki, które Kijów musiałby spełnić przed ewentualnymi rozmowami pokojowymi. To tradycyjna postawa moskiewskiej dyplomacji, która zawsze eskaluje żądania, tak aby w czasie negocjacji miała z czego zrezygnować „w ramach gestów dobrej woli". Czy tak jest i w tym przypadku? Nie można wykluczyć, zwłaszcza, że niedawno w Bundestagu Rolf Mützenich, bliski współpracownik Olafa Scholza – a niemiecki kanclerz nie zdystansował się wobec tej wypowiedzi – zapytał retorycznie, „czy nie nadszedł już czas, aby zamrozić wojnę" na Ukrainie. Niewykluczone, ale wcześniej Rosjanie podejmą próbę przełamania ukraińskich linii obrony. Już nacierają na kilkunastu kierunkach, a broniący się mają nie tylko narastające problemy z brakiem amunicji, lecz także coraz mniej żołnierzy zdolnych do walki, bo mobilizacja się opóźnia.

Sergiej Szojgu zapowiedział, że do końca roku Rosja zamierza utworzyć dwie nowe armie ogólnowojskowe, 14 dywizji i 16 brygad, co zresztą ma związek z anonsowanymi w ub.r. planami rozbudowy kadrowego potencjału sił zbrojnych. Rosyjskie Ministerstwo Obrony ma poświęcić szczególną uwagę „kierunkowi zachodniemu", bo tam utrzymuje się „najbardziej złożona sytuacja", co ma oczywisty związek z wojną na Ukrainie. Południowy Okręg Wojenny, który ponosi główne ciężary związane z wojną, ma zostać wzmocniony – otrzyma ponoć 16 tys. sztuk nowoczesnych systemów walki i 360 obiektów wojskowych.

Dziennikarze niezależnego portalu Verstka piszą też, że Rosja ma zamiar budować nowe siły, bo już latem chce otworzyć kolejny front. Najprawdopodobniej chodzi o Charków, którego zdobycie miałoby być potwierdzeniem, iż wojna jest wygrana. Ostatnie zmasowane ataki rakietowe na to miasto, w wyniku których przez kilkadziesiąt godzin było ono pozbawione dostaw prądu, mają skłonić ludność cywilną do ewakuacji i ułatwić oblężenie. Tylko że w przeciwieństwie do dotychczasowej formuły walki Moskale chcieliby „wziąć" nie ruiny, tak jak zdobyli zniszczony Mariupol czy Awdijiwkę, lecz mają ponoć zamiar okrążyć Charków i wymusić jego kapitulację, co mogłoby stanowić wydarzenie będące przełomem w tej wojnie.

Problemem jest wszakże to, jak donoszą rosyjskie media niezależne, że strumień ochotników chcących walczyć przeciw Ukrainie wysechł niemal całkowicie, bo liczba zgłaszających się jest dziś 20-krotnie mniejsza niż przed rokiem. O kryzysie rekrutacyjnym w rosyjskich siłach zbrojnych świadczy też wzrost jednorazowych premii wypłacanych przez władze regionalne tym, którzy zdecydują się zaciągnąć. Przed rokiem najbardziej szczodre z nich oferowały 300 tys. rubli, dziś premie przekraczają 500 tys.

Nie ulega wątpliwości, że rosyjska propaganda będzie chciała wykorzystać zamach na Crocus City Hall, aby ożywić prowojenne nastroje i wzmocnić głosy domagające się rewanżu. Wątpliwe, czy to wystarczy, aby nowi ochotnicy zaczęli się zgłaszać do armii, ale z wielu informacji w rosyjskich mediach niezależnych i lokalnych wynika, że władze przygotowują się do kolejnej fali mobilizacji. To, czy ją ogłoszą, zależy zarówno od napływu ochotników, jak i sytuacji w ukraińskich elitach władzy oraz na Zachodzie. Znacznie lepiej jest bowiem wygrać wojnę tylko przy użyciu gróźb niż organizując realne operacje. Dlatego Moskwa będzie chciała zbudować narrację „strasznej zemsty", bezwzględnego rewanżu, aby przyspieszyć ewentualne zakończenie wojny na własnych warunkach.

Zagadkowa dymisja Ołeksandra Daniłowa, długoletniego sekretarza Rady Bezpieczeństwa i Obrony Ukrainy, zwolennika walki do zwycięstwa, który został wymieniony przez Zełenskiego na Aleksandra Litwinienkę, kierującego służbą wywiadu zagranicznego, może oznaczać, jak argumentuje Siergiej Gajdaj, niezależny ukraiński dziennikarz, że „obóz prezydencki nie ma strategii, a jedynie taktykę", jak prowadzić wojnę. Nie można jednak wykluczyć innego scenariusza, w świetle którego zmiany personalne w Kijowie mogą przybliżać nas do jakiejś formuły rozmów pokojowych z Rosją.

eprasa.pl f32322db13

Fot. Aleksey Dushutin/Shutterstock.com

Oni dali się zabić za Putina

To, jak od czasu wybuchu wojny na Ukrainie giną Rosjanie, pokazuje, czym jest ten kraj z jego patologiami i śmiertelnym chorobami

DARIUSZ MATUSZAK

W czasach komuny krążył dość makabryczny dowcip: „Kto był największym Polakiem w historii? Dzierżyński, bo żaden nasz rodak nie zabił tylu Rusków, co on". Tę logikę koszmaru można zastosować do Putina, rozpoczynającego 25 rok swych tyrańskich rządów. Od czasów Stalina żaden władca nie przelał tyle krwi swych poddanych, co on. Liczba jego niewinnych ofiar w Czeczenii, Gruzji, Syrii, na Ukrainie i w samej Rosji sięga setek tysięcy. Ale są też setki tysięcy winnych – tych, którzy dali się dla niego zabić czy okaleczyć. Od dwóch lat klepsydra śmierci kręci się na Ukrainie w zabójczym tempie: średnio 800 zabitych i rannych dziennie, a w ostatnich miesiącach jeszcze przyspieszyła – do ponad 1 tys. na dobę. Wedle ukraińskich danych w czasie inwazji życie lub zdrowie za Putina oddało już 437 tys. Rosjan. Jeśli „ruska maszynka do mielenia mięsa" będzie pracować tak wydajnie jak ostatnio, to 9 czerwca liczba tych, których określa się mianem ładunek 200 bądź ładunek 300, sięgnie 500 tys.

Te terminy oznaczają specjalne transporty z frontu. Ładunek 200 to zabici, pakowani najczęściej do cynkowych, zaspawanych trumien, by nikt nie mógł otworzyć i zobaczyć, jak dali się spalić, rozerwać, podziurawić, poszlachtować odłamkami za kremlowskiego władcę. Po rosyjsku „ładunek" to „gruz" i to polskie słowo najlepiej oddaje ostateczne przeznaczenie żołnierzy Putina i bandytów z Grupy Wagnera. Gruz 300 to ranni. Ci bez nóg i rąk być może jak za Stalina są nazywani samowarami. Ciekawe, czy tak jak po II wojnie światowej ci wszyscy inwalidzi

eprasa.pl f32322db13

zostaną „uprzątnięci" z ulic, by nie psuć samopoczucia szczęśliwym mieszkańcom tego obok Haiti najgorszego państwa świata, jakim jest Rosja?

Na podstawie rosyjskich źródeł Ukraińcy doliczyli się już 72 tys. zidentyfikowanych ładunków 200 – takich, którym da się przypisać imię i nazwisko, jednostkę, jakieś miejsce śmierci czy zamieszkania za życia. To także te, które doczekały się wzmianki w rosyjskich mediach czy internecie. Ilu zabitych leży na polach i gnije pod nawóz dla słoneczników – tego nie wie nikt. Bliscy nieraz miesiącami próbują dowiedzieć się o losach zaginionych. W tekście opisujemy niektóre ładunki 200 nie po to, by ci zabici pozostali w pamięci ludzkiej, bo na to nie zasługują, lecz dlatego, że ich losy pokazują, czym jest Rosja. Ci martwi są jak symbole, oznaki jej patologii i degeneracji.

PIEKŁO GENERAŁÓW

Nie wszyscy z zabitych 72 tys. to zwykli żołnierze. Wśród nich jest 3812 rzeźników – oficerów, którzy bezpośrednio posyłają żołnierzy na ubój, z czego 11 generałów.

Jako pierwszy już czwartego dnia „specjalnej operacji wojskowej", jak rosyjska propaganda nazywa wojnę, do cynkowej trumny trafił odznaczony medalami za Krym, wojny w Syrii i na Północnym Kaukazie dowódca 7. Gwardyjskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej Andriej Suchowieckij. Doniesienia o tym, gdzie dał się zabić, są sprzeczne: czy w Hostomelu, czy w Mariupolu. Jakkolwiek było, stało się to na ojczystej ziemi, bo urodził się w Melitopolu na Zaporożu. Kto wie, może to był nasz rodak jak Dzierżyński.

Potem do tej listy dołączyło jeszcze 10. Połowa z nich to kryminaliści. Ukraiński portal TopCargo200, publikujący informacje o zabitych za Putina, dodał też do listy martwych generałów Jewgienija Prigożyna, właściciela Grupy Wagnera, który wcześniej 10 lat przesiedział w koloniach karnych. Ten co prawda nie został zabity przez Ukraińców, ale uwzględniamy go, bo także oddał życie na życzenie Putina. Prigożyn nie miał też żadnego stopnia oficerskiego, lecz służyło pod nim wielu generałów i dlatego uważany jest za cenny ładunek 200. Taki, który za życia był traktowany jak gen. Siergiej Surowikin, który przez jakiś czas dowodził inwazją na Ukrainę. Oskarżano go o oszustwa podatkowe, ale ostatecznie śledztwo umorzono. Pecha miał za to gen. Igor Trifonow, który odsiadywał dziewięć lat za łapówkarstwo. Wyszedł, by zabijać dla Putina, a sam dał się zabić 11 dni przed rozprawą kasacyjną. Renta dla wdowy po generale więc przepadła. Prawdopodobnie jak w przypadku innego kryminalisty, gen. Władimira Zawadskiego, który – wiele na to wskazuje – został zabity przez samych Rosjan w trakcie ucieczki spod Hładkiwki w obwodzie chersońskim. To przypuszczenia, ale przyznajmy, że urocze.

PIEKŁO KRYMINALISTÓW I KOLABORANTÓW

Wśród zabitych za Putina kryminaliści stanowią oczywiście specjalną kategorię, a ich największym dostawcą jest Grupa Wagnera. Najcenniejsi to oficerowie. Jak choćby major lotnictwa Aleksandr Niudikow, który pewnego dnia po powrocie z Syrii upił się, zadźgał nożem swą żonę, a jej ciało po obcięciu rąk palił w lesie. Skazany na 10 lat więzienia został z niego wypuszczony, by zabijać na wojnie, a w styczniu 2023 r. Ukraińcy prosto z Bahmutu posłali go do piekła. Z więzienia na Ukrainę, a potem do piekła trafił też Pawieł Szuwałow. Ten był skazany za zabicie i zgwałcenie dwóch kobiet. Podejrzewano, że zgwałcił 27, kilka zamordował, ale dowody przepadły w powodzi, która zalała jego rodzinną miejscowość. Zwyrodnialec zyskał celebrycką sławę, bo miał makabryczny obyczaj spania na ofiarach.

Specjalne miejsce w piekle jest dla takich jak Siergiej Konkiejew, który chwalił się w mediach, że rozstrzeliwał ukraińskich jeńców i nawet zabił nożem dwóch wziętych do niewoli Polaków. Zwyrodnialec był na liście zbrodniarzy wojennych i do piekła prosto z samochodu, w którym wybuchła bomba, posłały go pewnie ukraińskie służby. A może i koledzy z pracy. Wyrok wykonano kilka tysięcy kilometrów od linii frontu – w syberyjskim Krasnojarsku, gdzie był więziennym strażnikiem. W przypadku wiceburmistrz okupowanego Berdiańska Swietłany Simolienko wątpliwości są znacznie mniejsze. Ruska kolaborantka wyleciała w powietrze w swej ładzie. W podobnie widowiskowy sposób w swych samochodach do piekła polecieli inni zdrajcy, jak Aleksandr Słysarenko w Biełgorodzie, Iwan Suszko w Michajłowce, Dymitr Sawluczenko w Chersoniu czy Askar Laiszew w Starobielsku.

PIEKŁO ZBRODNIARZY WOJENNYCH

Polowanie na kolaborantów trwa, podobnie jak na zbrodniarzy wojennych, którzy, jak wspomniany Szuwałow, nawet w Rosji się nie ukryją. Ci są na kilku listach – poszukiwanych, a także w wykazach ładunku. To znaczy, że wyroki już zostały wydane. Jak żołdacy 64. Brygady Strzelców Zmotoryzowanych z Kraju Chabarowskiego odpowiedzialni za zbrodnie w Buczy, Hostomelu i Irpieniu. Znane są ich życiorysy, przebieg służby, adresy zamieszkania, konta internetowe, numery telefonów i dokumentów osobistych. Ukraińcy publikują zdjęcia i filmy, które zwyrodnialcy zamieszczali w mediach społecznościowych. Nieraz sami dokumentowali swe zbrodnie, czasami tylko pijackie wyczyny. Ot, szczególne zamiłowanie do fotografowania się wśród flaszek i porozkładanego na stołach obrzydliwego żarcia. Wielu z nich dostało już powiadomienie o wyroku. Niektórych dosięgła nawet ruska, przestępcza sprawiedliwość. Okazuje się, że bandyci wymuszają pieniądze od tych, którzy zarobili na kontraktach w Syrii czy na Ukrainie. Rekieterzy korzystają z danych zamieszczanych przez ukraińskie służby. Żołdacy mogą się wykupić czy obniżyć płacony haracz, udostępniając dane swoich kumpli z wojska. Mała rzecz, a cieszy. Niech donoszą na siebie, niech się okradają, a nawet się zabijają.

PIEKŁO Z RĄK POBRATYMCÓW

Część zabijanych jest właśnie przez swoich od razu na froncie, jak wspomniany gen. Zawadski – nie wiadomo

eprasa.pl f32322db13

tylko, czy zginął on przez pomyłkę, czy dlatego, że wraz z kumplami uciekał z pola walki kradzionym samochodem. Przez pomyłkę zginął zestrzelony przez swoich nad Biełgorodem pilot transportowca Ił-76 major Stanisław Bezzubkin. Podobnie jak nad Tokmakiem w Su-35 Aleksiej Beliczenko czy wraz z załogą mjr Grigorij Azanow w helikopterze Mi-8. Wielka w tym zasługa rosyjskiej obrony przeciwlotniczej, o której mówi się, że jest jak pies ogrodnika: sama nie lata i innym nie da. Ale o pomyłce nie ma mowy w przypadku dowódcy batalionu strzelców, ppłk. Stanisława Kliukina. Ten wraz z innymi dał się zabić przez pijanego w sztok szeregowca, który najpierw puścił serię po swych kumplach, a potem wszedł do ziemianki i wystrzelał śpiących w niej oficerów i żołnierzy. To raczej fatum objawione w chwili delirycznego szaleństwa czy niekontrolowanej nienawiści i żądzy zemsty. W knajpie, w czasie wywołanej po pijanemu strzelaniny zginął też płk FSB Siergiej Priwałow. Do piekła towarzyszyło mu dwóch sierżantów. Kolejnych dowodów na to, że alkohol jest zgubą ludzkości, dostarczył mjr Nikołaj Kuzniecow. On lub jeden z jego kumpli, tego już się nie da ustalić, zabawiał się granatem w czasie wspólnej popijawy, no i bum... do piekła. Jeśli wierzyć Putinowi, właśnie tak w samolocie razem z dowódcą Grupy Wagnera Dmitrijem Utkinem i szefem sztabu Walerijem Czekałowem wysadził się Prigożyn. Mało kto ma wątpliwości, że tak naprawdę został zabity za wzniecenie buntu. W czasie swego marszu na Moskwę wagnerowcy zestrzelili rosyjskiego Iła-22, zabijając całą 12-osobową załogę.

O żadnej pomyłce nie ma też mowy w przypadku dowódcy Gwardyjskiej Brygady Strzelców płk. Jurija Miedwiediewa, który wytracił połowę z 1,5 tys. podległych mu ludzi. Jego właśni żołnierze rozjechali go czołgiem. Wśród rozstrzelanych przez żołnierzy tadżyckiego pochodzenia był też dowódca 36. Gwardyjskiej Brygady Strzelców Andriej Lapin. Powodem masakry miało być obrażenie Allaha.

PIEKŁO WYŻSZYCH SFER

Od czasu najazdu na Ukrainę w Rosji działa seryjny samobójca czy też trwa plaga samobójstw, a ofiarami, zbiorowo i pojedynczo, są najczęściej członkowie elit. Ukraińskie służby zaliczają do kategorii „samobójstwo" wiele niewyjaśnionych śmierci. Są to dziwne wypadki, nagłe problemy zdrowotne, prawdopodobne zabójstwa, uznane przez rosyjskich śledczych za targnięcie się na życie. Jak choćby w przypadku wiceszefa Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej Wadima Bojko, który w samobójczym zapale strzelił do siebie pięć razy. Coś jak u nas były wicepremier i działacz komunistyczny Ireneusz Sekuła. Życie odebrało sobie aż czterech wysokich menedżerów Łukoilu, w tym ostatnio wiceprezes koncernu Witalij Robertus. Ten mistrz świata w modelarstwie powiesił się w biurowej toalecie. A właściwie to znaleziono go w stanie powieszenia.

> Już czwartego dnia „specjalnej operacji wojskowej" do cynkowej trumny trafił dowódca 7. Gwardyjskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej Andriej Suchowieckij. Potem do tej listy dołączyło jeszcze 10. Połowa z nich to kryminaliści

Znacznie popularniejsze jest jednak wypadanie czy wyskakiwanie przez okno. Tak życie zakończył szef rady dyrektorów Łukoilu Władimir Niekrasow. Przedziwnym zbiegiem okoliczności zupełnie jak jego poprzednik na tym stanowisku Rawił Maganow. Cudowne zrządzenie losu połączyło też dwóch potentatów gospodarczych: kiełbasianego – Pawła Antowa i naftowego – Władimira Budanowa. Obydwaj miliarderzy rozstali się ze światem w tym samym hotelu w Indiach, gdzie mieli świętować urodziny Antowa. Ten wyleciał/wyskoczył przez okno trzy dni po tym, jak Budanow zmarł na atak serca. Zdarza się też wypadanie z balkonu, jak w przypadku Mariny Jankowej, szefowej finansów Zachodniego Okręgu Wojskowego; z jachtu w toń, jak Iwan Pieczorin, który jako szef Korporacji Rozwoju Dalekiego Wschodu i Arktyki był człowiekiem Putina w Arktyce, albo upadek z klifu, co spotkało Andrieja Krukowskiego z Gazpromu. Bywało i mniej romantycznie – można trywialne zlecieć po schodach, jak jeden z największych deweloperów Dmitrij Zelenow czy były szef Moskiewskiego Instytutu Lotnictwa Anatolij Gieraszczenko.

W niektórych przypadkach śmierci w wyższych sferach nie ma wątpliwości, że doszło do zabójstw. Zastrzelony został płk FSB Wadim Zinow, który swego czasu nosił za Putinem walizkę z kodami do broni nuklearnej. Wiceprezes Nowateku Siergiej Protosenia wraz z żoną i córką został zamordowany nożem, tak samo właściciel potężnej firmy medycznej MedStom Wasilij Mielnikow oraz jego żona i syn. Od ciosów nożem zginęli też właściciel AMobile Jewgienij Palant i jego żona. Rozszerzonego samobójstwa miał dokonać wiceprezes Gazprombanku Władysław Awajew, który zastrzelił córkę, żonę, a na koniec siebie. Ta lista mogłaby się ciągnąć jak doniesienia z portali plotkarskich. Zamiast kronik życia, kroniki śmierci wyższych sfer.

Pokazaliśmy tylko maleńki wycinek tego, co można określić jako umieranie Rosji. Mieliśmy dylemat: czy można pisać o śmierci frywolnie, a nawet szyderczo? W tym przypadku tak. Poważne pytanie dotyczy też młodych Rosjan, którzy tysiącami zostali posłani przez reżim Putina na śmierć. Czy powinniśmy im współczuć, czy powinniśmy rozumieć ich bezradność wobec ogromnego aparatu przemocy? Oczywiście łatwe jest pisanie zza biurka, że powinni się byli zbuntować. Prawda jest jednak nieubłagana. Zostali posłani, by zabijać. Mogli dać się zabić, by wyzwolić spod tyranii własny naród. Dali się zaś zabić, by zniewolić inny.

eprasa.pl f32322db13

Na ścieżce do „miękkiego totalitaryzmu”

Donald Tusk i Emmanuel Macron ucieleśniają coś, co moglibyśmy nazwać skrajnym centrum: twierdzą, że są piewcami liberalnej demokracji, ale tak naprawdę gdy tracą kontrolę i czują odrzucenie ze strony społeczeństwa, depczą demokrację

Z Nicolasem Bayem, francuskim eurodeputowanym z ramienia partii Rekonkwista Érica Zemmoura, należącej do grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, rozmawia Małgorzata Wołczyk

Zacznę od podziękowań za pańskie wideo (zresztą niejedno) z siedziby Parlamentu Europejskiego, zawierające szczegółowe wyjaśnienia dla francuskojęzycznej opinii publicznej na temat tego, co wydarzyło się w Polsce po ostatnich wyborach. To dla nas ważne, zwłaszcza biorąc pod uwagę zmowę milczenia w Europie. W czym Donald Tusk jest podobny do Emmanuela Macrona? Czy w ogóle możemy mówić o podobieństwach między tymi politykami?

Nicolas Bay: Donald Tusk i Emmanuel Macron ucieleśniają coś, co moglibyśmy nazwać skrajnym centrum: twierdzą, że są piewcami liberalnej demokracji, ale tak naprawdę gdy tracą kontrolę i czują odrzucenie ze strony społeczeństwa, cenzurują politykę swoich przeciwników i depczą demokrację. Być może jest to jeszcze bardziej rażące w przypadku Tuska, który nie miałby szans ponownie zostać premierem, gdyby nie nieustanna ingerencja Komisji Europejskiej w polskie sprawy już od 2016 r. Pod pretekstem przeciwdziałania rzekomym „atakom na praworządność” szkodziła rządom konserwatystów. Gdy tylko Tusk objął fotel premiera, przystąpił otwarcie do szeroko zakrojonej i brutalnej czystki w wymiarze sprawiedliwości i mediach, wymierzonej w swoich przeciwników politycznych, otwarcie łamiąc przy tym konstytucję. A usatysfakcjonowana Komisja Europejska uwolniła zamrożone przez lata pieniądze. Co tak nagle poprawiło ową „praworządność”? To wszystko jest farsą.

Macron również poczynił postępy na tej ścieżce centrowego „miękkiego totalitaryzmu”, choć może w sposób bardziej zawoalowany, ale też jednoznaczny. Np. podczas kryzysu covidowego, wyrażając chęć cenzurowania sieci społecznościowych i cedując to na Radę Stanu. W ten sposób ocenzurowano np. prawicowy kanał CNews. Tusk i Macron to rzeczywiście dwaj przedstawiciele skrajnego centrum, gotowi zrobić wszystko, aby utrzymać się przy władzy.

My, Polacy, bardzo uważnie patrzymy na Francję i jej stosunek do naszego sąsiada o nienasyconym imperialnym apetycie. Nie sposób nie zadać panu w Polsce pytania: jakie jest stanowisko partii Rekonkwista (Reconquête!), której jest pan wiceprzewodniczącym, wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę?

Przed inwazją na Ukrainę nasze podejście odzwierciedlało tradycyjne stanowisko Francji w tym względzie: uważaliśmy, że Rosja może być partnerem handlowym i dyplomatycznym, tym bardziej że nasz kraj zawsze łączyły silne więzi historyczne i zwyczajnie należy ograniczać napięcia na tej linii. Przypomnijmy, że sam Macron na początku pięcioletniej kadencji dwukrotnie przyjął Putina: w Wersalu i w Brégançon. To prawda, że w Paryżu łatwiej było utrzymać to stanowisko niż w Warszawie: nie przeżyliśmy morderczego jarzma ZSRR, nie doświadczyliśmy tej samej rzeczywistości historycznej co Polacy.

Inwazja na Ukrainę wywołała szok we Francji. Myliliśmy się, a Europa Środkowa miała rację: Rosja nadal stanowi zagrożenie. Natychmiast potępiliśmy rosyjski atak wojskowy i dziś bez zastrzeżeń wspieramy Ukrainę. Świadczą o tym moje głosy w Parlamencie Europejskim: poparcie dla planu produkcji amunicji i przemysłu obronnego, głosowanie za kredytami na odbudowę oraz ułatwieniami dla Ukrainy. Nasza główna kandydatka w wyborach europejskich Marion Maréchal wyraziła się bardzo jasno: porażka Ukrainy byłaby porażką Europy.

Skoro dołączył pan do grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, może to oznaczać, że Rekonkwista jest bardziej proatlantycka niż Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen, z którego pan

eprasa.pl f32322db13

odszedł. Pewne zjawisko antyamerykanizmu obserwujemy wciąż we Francji. Czy wojna wywołana przez Rosję nie jest okazją, aby porzucić raz na zawsze mrzonkę, że Europa jest w stanie sama się obronić i uniezależnić w tej mierze od USA?

Jesteśmy związani z NATO, czego sam gen. de Gaulle nigdy nie kwestionował. Oczywiste, że Europa nie jest dziś w stanie obronić się w obliczu poważnej agresji militarnej. Winę ponosi słabość i nieprzygotowanie większości naszych przywódców. Z tego prostego faktu wynika, że NATO niewątpliwie pozostaje gwarantem wspólnego bezpieczeństwa. Nie oznacza to jednak, że dążenie do rozwoju autonomicznego europejskiego potencjału obronnego jest daremne. NATO wymaga od nas wydawania 2 proc. krajowego PKB na obronę, jednak w 2024 r. zaledwie 18 z 31 członków Sojuszu osiągnie ten cel. Świat znów staje się niestabilny i niebezpieczny, więc Europa musi być w stanie się obronić. Obecnie tak się nie dzieje, ale powinien to być nasz cel. Przyszły europejski potencjał obronny byłby także atutem dla naszych amerykańskich sojuszników. Nawet Donald Trump w celowo prowokacyjnych słowach przypomina nam, że Europa nie może wiecznie polegać na Stanach Zjednoczonych. Dzięki polityce wzmacniania swojego potencjału obronnego zainicjowanej przez PiS Polska jest na dobrej drodze do stania się europejskim gigantem wojskowym. Oba nasze kraje będą miały w tym kontekście dużą rolę do odegrania.

Miło słyszeć, że Francja ma tak realistyczny pogląd na NATO.

Ale trzeba niestety zastanowić się nad obecnym składem NATO. Nad tym, czy obecność Turcji w Sojuszu jest nadal uzasadniona. Erdoğan prowadził podwójną grę z Państwem Islamskim, nasilił prowokacje przeciwko Grecji, nadal okupuje połowę Cypru, rozpoczął rozległą kampanię mającą na celu reislamizację swojego kraju. Ta lista jest dłuższa.

Dlaczego partia Rekonkwista wybrała grupę EKR? Czy chodzi tylko o rywalizację z partią Marine Le Pen, czy może o wspólne wartości, które łączą ugrupowania tej europarlamentarnej grupy, w której jest także PiS?

Rywalizacja z partią Marine Le Pen nie jest postawą wyborczą, lecz wynika z realnych różnic w wizji i filozofii politycznej. Grupa EKR po prostu odpowiada naszemu DNA. Chcemy wzmocnionej współpracy opartej na naszej europejskiej tożsamości cywilizacyjnej, ale sprzeciwiamy się temu, aby UE stawała się coraz bardziej scentralizowanym superpaństwem, depczącym suwerenność narodów. Bronimy wolności, szczególnie gospodarczych, przed socjalizmem i biurokracją normatywną, a także wolności słowa, która jest szczególnie zagrożona. Chcemy chronić rodziny przed wokizmem i propagandą LGBT+. Bronimy granic i bezpieczeństwa Europejczyków, walcząc z inwazją migracyjną i islamizacją naszego kontynentu. To w istocie są wartości zbliżające nas do PiS, którego mamy zaszczyt być dziś oficjalnymi sojusznikami.

Jakie inne wartości łączą partię Érica Zemmoura i polską prawicę?

To, co nas łączy i jednoczy, to prawdziwa świadomość historyczno-cywilizacyjna.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f32322db13

Nasze kraje zawsze należały do wielkich narodów Europy, które tworzyły historię naszego kontynentu, a przy tym rozwijały silne więzy dyplomatyczne i kulturalne. Nawet jeśli Francja się laicyzuje, to nasza kultura pozostaje przesiąknięta katolicyzmem. To znak silnej tożsamości, który pozwoli przeciwstawić się grożącej nam dekonstrukcji. Nie zapominamy, że tak jak Karol Młot, „wybawca świata chrześcijańskiego", zatrzymał Arabów pod Poitiers, tak król Jan III Sobieski, „wybawca cywilizacji Zachodu", zatrzymał Turków pod Wiedniem. Na ich podobieństwo francuscy i polscy konserwatyści są gotowi wspólnie oraz bez ustępstw bronić naszej wspólnej cywilizacji.

Pora zapytać, skąd ta nagła zmiana nastawienia prezydenta Macrona. Doceniamy jego ostatnio prezentowaną zdecydowaną postawę w obronie Ukrainy, ale jesteśmy też zaskoczeni, ponieważ pamiętamy jego zachowanie przed i tuż po rozpoczęciu wojny. Czemu zawdzięczamy tę zmianę retoryki wobec Rosji?

Jak mówiłem, prawie cała nasza klasa polityczna od lat żywiła nadmierny optymizm wobec Rosji. Macron nie jest wyjątkiem. To wyjaśnia jego postawę. Myślę, że jego obecne, bardzo bojowe wystąpienie ma związek ze spadkiem jego popularności we Francji, chce odegrać rolę przywódcy wojennego, męża stanu, aby ludzie zapomnieli o jego porażkach, tak jak podczas wyborów prezydenckich w 2022 r. chce odwrócić trend wyborczy. Próbuje ugruntować swoją pozycję przywódcy w Europie, a wojna jest dla niego jedynie okazją do popisów. To cyniczna kalkulacja, a nie głębokie przekonanie.

Problemem Macrona jest zupełny rozdźwięk między słowami i czynami. Wzmacnia swoją retorykę wojenną i rzeczywiście obserwujemy wzrost wydatków wojennych, tyle że po kilku latach spadków w finansowaniu sektora zbrojeniowego. Zachowuje się jak chorągiewka na wietrze. Widzieliśmy to już w innym obszarze – energetyce jądrowej. Mieliśmy ją dobrej jakości, zapewniała nam samowystarczalność dzięki niedrogiej i bezemisyjnej energii. Niestety aby zadowolić ekologów, Macron zdusił nasz sektor energetyki jądrowej, zamykając elektrownie. Potem w wyniku katastrofy zmienił zdanie i od niedawna twierdzi, że jest głównym propagatorem energetyki jądrowej. Obawiam się, że to samo dotyczy dyplomacji i obronności: nie ma wizji ani nie jest politykiem konsekwentnym. Nie możemy ufać jego dzisiejszym wyborom, bo nie wiemy, co zrobi jutro.

Na ile mandatów liczy Rekonkwista w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego? Czy wierzy pan, że siłom prawicy uda się w końcu odbić europarlament z rąk socjalistów, Zielonych, no i Berlina?

> NATO niewątpliwie pozostaje gwarantem wspólnego bezpieczeństwa. Nie oznacza to jednak, że dążenie do rozwoju autonomicznego europejskiego potencjału obronnego jest daremne

Sondaże dają nam obecnie od 6 proc. do 8 proc., co jest bardzo dobrym wynikiem dla młodej partii. Z kolei Macron przecenia pojedynek z Marine Le Pen, która paradoksalnie jest gwarantem politycznego zwycięstwa centrum. Jesteśmy przekonani, że polityczna rodzina EKR poprawi wynik w tych wyborach. Moglibyśmy stać się trzecią siłą polityczną w parlamencie, przed centrystami z Renew. Taka przewaga zapewniłaby nam kluczową rolę w sali posiedzeń plenarnych: grupa EPL miałaby wybór między kontynuowaniem odwiecznego sojuszu z lewicą a stworzeniem koalicji z prawicą. Głosowanie na partie zrzeszone w EKR jest zatem gwarancją odrodzenia prawicy w Europie i wiele zależy od głosów oddanych 9 czerwca.

Czy protesty rolników we Francji są tłumione z taką samą brutalnością jak w Polsce?

Macron zachował się niezwykle brutalnie wobec buntu tzw. żółtych kamizelek, które domagały się niższych podatków, zmniejszenia biurokracji oraz cieszyły się szerokim poparciem społecznym. Nie odważył się jednak stawić czoła rolnikom, których uzasadniony gniew spotkał się także z masowym poparciem Francuzów. Macronowi udało się uspokoić niezadowolenie rolników, obiecując pomoc i uproszczenia administracyjne. Wciąż czekamy, co z tego wyniknie. Sytuacja jest katastrofalna: według danych we Francji jeden rolnik co dwa dni popełnia samobójstwo.

Proszę wybaczyć ostatnie wścibskie i nietypowe pytanie, ale korci mnie, aby je zadać: czy imię otrzymał pan dzięki książkom o Mikołajku? Bo przyznam, że dla mnie jako dziecka w przaśnej komunie zauroczenie bohaterem książek duetu Goscinny i Sempé spowodowało, że mój syn musiał otrzymać to samo imię, no i weszłam do dziennikarstwa najpierw jako rysownik satyryczny i frankofil.

Nie sądzę, aby moi rodzice nadali mi to imię z myślą o „Petit Nicolas". Ale prawdą jest, że ta seria książek, która później dała początek interpretacjom kinematograficznym, jest częścią naszej kultury popularnej. Nie wiem, czy to przyczyna, czy konsekwencja, ale Nicolas to jedno z najpopularniejszych imion i pamiętam, że w szkole zawsze było nas kilku.

***Nicolas Bay** (ur. 1977 w Saint-Germain-en-Laye) – francuski eurodeputowany z ramienia partii Rekonkwista (Reconquête!) Érica Zemmoura, europoseł w grupie EKR. Z wykształcenia prawnik, polityk, samorządowiec, były sekretarz generalny Frontu Narodowego (obecnie Zjednoczenie Narodowe), poseł do Parlamentu Europejskiego VIII i IX kadencji. W 2022 r. przeszedł do partii Zemmoura i został wiceprzewodniczącym Reconquête!*

eprasa.pl f32322db13

Prawda i fikcja

Kate Middleton ujawniła, że ma raka, by przeciąć coraz bardziej absurdalne spekulacje na temat jej nieobecności w życiu publicznym. Tyle że nie wszyscy jej wierzą. A teorie spiskowe nie tak łatwo obalić. Szczególnie na Wyspach Brytyjskich, gdzie panuje obsesja na punkcie Windsorów

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Wspaniale znów cię zobaczyć, Kate!" – pisał z entuzjazmem brytyjski tabloid „The Sun" na okładce z 19 marca. Według magazynu „Variety" gazeta miała powody do radości: właśnie wygrała licytację o ziarnisty amatorski film, który miał pokazywać księżną Kate z mężem i następcą tronu księciem Williamem, opuszczającą (w radosnym nastroju) wiejski sklep. Był to pierwszy publiczny występ księżnej od Bożego Narodzenia. W styczniu trafiła do szpitala, by przejść tam planowaną operację jamy brzusznej.

Według „Variety" zakup amatorskiego filmu, nakręconego iPhone'em przez brudną szybę samochodową kosztował tabloid niemało. „The Daily Mail" był gotów zapłacić za niego 100 tys. funtów, więc „The Sun" zapewne musiało na niego wyłożyć o wiele więcej. Fakt, że był tyle wart dla brytyjskiej yellow press, wynikało z tego, że księżna Kate od chwili operacji zapadła się pod ziemię. Brytyjczycy kochają (bądź nienawidzą) swoich royalsów i śledzą ich życie z ogromną uwagą. Brak publicznych występów księżnej doprowadził do powstania licznych plotek, a wręcz teorii spiskowych o tym, co się z nią stało. Niektórzy twierdzili wręcz, że Kate nie żyje lub jest w śpiączce, a Windsorowie to ukrywają. William miał odwiedzić żonę w szpitalu tylko raz, a ona nie podziękowała publicznie za życzenia zdrowia.

Kiedy w lutym książę w ostatniej chwili wycofał się z udziału w nabożeństwie poświęconym pamięci jego ojca chrzestnego, zaczęło się tsunami. Podejrzewano go o to, że ma kochankę, spekulowano o rozpadzie małżeństwa książęcej pary, oskarżając pałac Kensington o „kłamstwa". Media społecznościowe ogarnęła kolektywna histeria. A teorie stawały się coraz bardziej absurdalne. Nieudana chirurgia plastyczna? Lifting pośladków? A może William porzucił żonę dla markizy Cholmondeley? Influencerzy i tiktokerzy prześcigali się w szalonych opowieściach, generując miliony kliknięć.

PRZECIĄĆ SPEKULACJE

Gdy royalsi w końcu postanowili przeciąć spekulacje, zrobili to w najgorszy możliwy sposób. Z okazji Dnia Matki 10 marca na oficjalnym profilu książęcej pary opublikowano zdjęcie Kate z dziećmi. Tyle że agencje szybko odkryły, że zostało ono zmanipulowane w photoshopie, sklejone z różnych innych. Wtedy histeria rozkręciła się jeszcze bardziej. Księżna wzięła winę na siebie, twierdząc, że to ona bawiła się fotoedytorem, ale nie pomogło. Podobnie jak publikacja przez „The Sun" amatorskiego nagrania z książęcą parą przed wiejskim sklepem. Nie uciszyło to plotek. Dla wielu obrazy w niskiej rozdzielczości zrobione na parkingu niczego nie dowodziły: to po prostu nie była Kate, tylko jakiś sobowtór. Heidi Agan, która pracuje jako sobowtórka księżnej Walii, szybko zapewniła, że to nie ona.

Tabloidy, od dekad utrzymujące trudną relację z rodziną królewską – Windsorowie potrzebują mediów, a media Windsorów, przy czym jedni usiłują wykorzystać drugich do swoich celów – stanęły murem za książęcą parą. „Podłe trolle" – pisał „Daily Mail" – powinny się wreszcie „odczepić" od Kate. Tyle że ludzie nie ufają tradycyjnym mediom tak jak kiedyś. I to, co sądzą redaktorzy tabloidów, okazało się mało istotne. Spekulacje w internecie trwały. I nie ustały nawet po tym, jak 22 marca księżna Walii poinformowała, że wykryto u niej nowotwór i przechodzi chemioterapię.

Tym razem pałac Kensington postarał się być bardziej profesjonalny. Oświadczenie zostało nagrane przez ekipę BBC, by dodać mu wiarygodności.

eprasa.pl f32322db13

Księżna tłumaczyła w nim swoją nieobecność niespodziewaną diagnozą, potrzebą wytłumaczenia sytuacji dzieciom – George'owi, który ma 10 lat, 8-letniej Charlotte i 5-letniemu Louisowi. Dziękowała za wsparcie, zapewniła, że wróci do obowiązków, gdy tylko będzie gotowa. Innym chorym na raka przesłała wyrazy wsparcia.

BEZWSTYDNI

„Czy jest wam teraz wstyd?" – pytał następnego dnia „Washington Post". A influencerzy i inni tikokerzy odpowiedzieli: „Tak jakby". Dana, 58-letnia mieszkanka Savannah w stanie Georgia, powiedziała gazecie, że czuje się teraz naprawdę źle. Jeszcze kilka dni wcześniej ona i przyjaciółka chichotały z plotek o kochance. Kiedy jednak usłyszała o sytuacji księżniczki, poczuła zażenowanie. „Ta kobieta jest chora i przestraszona. A moja własna mama umarła na raka. Jak mogłam być taka podła?" – zapytała.

Sophie Ross, 31-letnia pisarka z tysiącami followersów na Instagramie, nie czuje się winna. Jej zdaniem zawiniła rodzina królewska. „Nie jest tajemnicą, że całkowicie to schrzanili – powiedziała. – Zamiast opublikować jakikolwiek prawdziwy dowód życia, pojawiło się ziarniste wideo i incydent z Photoshopem, za który obwiniono Kate! Pozwolili, aby sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli" – dodała Ross. „Jeśli już, to podsycali teorie spiskowe" – zaznaczyła.

Inni wciąż nie wierzą, że na nagraniu BBC rzeczywiście pojawiła się księżna Walii. Na forach piszą o „technologii AI", o „trawie w tle nagrania, która się nie rusza, nawet jedno źdźbło!". „Przykro mi, Windsorowie – nadal nie kupuję

Fot. B. Lenoir/Shutterstock.com

eprasa.pl f32322db13

William i Kate to przyszłość monarchii, jej jedyna nadzieja. Dlatego są przedmiotem takiego zainteresowania i dlatego brytyjskie tabloidy – często krytyczne wobec royalsów, wręcz ich wyśmiewające – wzięły księżną w obronę

tego, co sprzedajecie" – głosi jeden z postów na platformie X (d. Twitter). „Ludzie nie ufają temu, co widzą i czytają" – powiedziała agencji AfP Karen Douglas, profesor psychologii społecznej na Uniwersytecie Kent.

Hashtagi dotyczące księżniczki w mediach społecznościowych zyskały taką popularność, że wielu użytkowników zaczęło ich używać do promowania niepowiązanych tematów, które cieszą się znacznie mniejszym zainteresowaniem, w tym łamaniem praw człowieka w Indiach czy konfliktem na Bliskim Wschodzie. Eksperci twierdzą, że tym, co pogłębiło szaleństwo, to tradycja zachowywania tajemnicy w rodzinie królewskiej i nieudana strategia PR pałacu.

Pytanie tylko, dlaczego los księżnej Kate wywołał takie zainteresowanie. Według „The Daily Mirror" każdy zna brytyjską rodzinę królewską, śledził jej losy przez dekady. Czytał autobiografie jej członków czy oglądał serial „The Crown" na Netfliksie. Królowa Elżbieta II była symbolem brytyjskości, księżna Diana królową serc, nad której śmiercią miliony przelały łzy. Szaleństwa, które się rozpętało po jej tragicznym wypadku w 1997 r., już mało kto pamięta. Ani nienawiści, która spotkała tych, którzy nawoływali wówczas do umiaru.

PRZYSZŁOŚĆ MONARCHII

Wielu uważa, że ma prawo wiedzieć, co się dzieje z Windsorami. Zawsze i wszędzie. Ponadto William jest następcą tronu, więc Kate przyszłą królową. I może na nim zasiąść w dość bliskim czasie. W końcu król Karol III, jego ojciec, ma już 75 lat i właśnie sam ogłosił, że choruje na raka. Młodszy książę Harry wraz z żoną Meghan Markle porzucił rodzinę królewską i usiłuje robić karierę w Hollywood. Inni, jak książę Andrew, są doszczętnie skompromitowani.

William i Kate to przyszłość monarchii, jej jedyna nadzieja. Dlatego są przedmiotem takiego zainteresowania i dlatego brytyjskie tabloidy – często krytyczne wobec royalsów, wręcz ich wyśmiewające – wzięły księżną w obronę. Zresztą kolektywna obsesja doprowadziła do tego, że troje pracowników prywatnego szpitala The London Clinic, w którym księżna przeszła operację, usiłowało zyskać dostęp do jej dokumentów medycznych – zapewne by je następnie sprzedać tabloidom. W skrócie: im większa tajemnica, tym bardziej chcemy wiedzieć, co się dzieje.

Żyjemy w czasach, gdy informacje są dosłownie na wyciągnięcie ręki, a odpowiedzi na niemal każde pytanie można znaleźć natychmiast. Tajemnica pobudza nas do dzielenia się teoriami, budowania spisków i porównywania naszych odkryć z nieznajomymi w internecie. Dokładnie tak się tutaj stało: wiele osób, w tym zawodowi fotografowie, w mediach społecznościowych analizowało zdjęcia Kate.

Ponadto należy pamiętać, że rodzina królewska walczy o swój wizerunek, bo on przede wszystkim zapewnia jej znaczenie dla kraju i jego obywateli. Kate Middleton zaledwie kilka godzin po narodzinach swojego pierwszego dziecka udzielała wywiadu na schodach szpitala. Przez dekadę nie schodziła z czołówek gazet – a potem nagle: nic. Przez ponad dwa miesiące.

Dla Brytyjczyków i nie tylko była to sytuacja nie do wytrzymania. Do jej zaognienia w nie mniejszym stopniu przyczyniły się algorytmy takich platform jak X. Według ekspertki ds. marketingu Katyi Varbanovej sposób, w jaki media społecznościowe nadają priorytet trendom, „nie pomaga łagodzić obsesji". „Z punktu widzenia popkultury mediów społecznościowych tajemnice szerzą się dalej i szybciej" – powiedziała Varbanova portalowi „Today". „Kiedy zdjęcie Kate zostało usunięte i oznaczone jako »zmanipulowane«, otworzyło to puszkę Pandory. Zwykli ludzie zaczęli się do tego odnosić, nagrywać filmiki na ten temat, pisać posty, a ponieważ algorytm TikToka chociażby priorytetowo traktuje trendy, było nieuniknione, że rozprzestrzeni się to niczym ogień" – dodała.

Samonakręcająca się spirala w mediach społecznościowych, algorytmowy walec, którego nikomu nie udało się powstrzymać. Pytanie, czy ktoś chciał. Jeden post czy filmik pełen teorii spiskowych generował setki kolejnych. To jest rzeczywistość, do której młodzi Windsorowie i ich doradcy będą się musieli przyzwyczaić. Tego, na jaki rodzaj raka cierpi księżna, a na jaki król Karol, zapewne szybko się jednak nie dowiemy. Pałac Buckingham woli bowiem na ten temat – na razie – milczeć.

eprasa.pl f32322db13

W obronie życia dzieci poczętych

Zbliża się Święto Miłosierdzia Bożego, które zawsze przypada tydzień po Wielkanocy – teraz 7 kwietnia. Tego dnia Jezus odpuszcza duszy każdego człowieka wszystkie winy i kary z całego jego życia, jeżeli tylko człowiek szczerze przystąpi do sakramentu spowiedzi św. i komunii św. Tego dnia zapraszam wszystkich do kościoła!

Z Anetą Barcik, piosenkarką i reżyserką dokumentalistką, rozmawia Grzegorz Górny

Mieszka pani na stałe w Polsce od sześciu lat. Należy pani do tego grona Polaków, którzy robili dobrze rozwijające się kariery na Zachodzie, a jednak w pewnym momencie zdecydowali się na powrót do kraju, i to wcale nie z powodów zawodowych czy finansowych. Skąd taka decyzja?

Aneta Barcik: Wróciłam do Polski w 2018 r., ponieważ czułam w sercu, że dopiero w tu w pełni zrealizuję swoje marzenia. Wtedy Polska była też najbardziej bezpiecznym krajem do życia w Europie. Do Niemiec wyjechałam z rodziną w wieku lat 12. Bardzo tego nie chciałam. Wolałam zostać w Polsce. To wywołało we mnie bunt. Wcześniej nie lubiłam czytać książek, ale po przyjeździe do Hamburga w ramach protestu zaczęłam czytać polską literaturę. Dwa lata później zapisałam się do polskiej szkoły przy konsulacie, dzięki czemu zdałam później dwie matury: polską i niemiecką. Dzięki temu miałam możliwość porównania, jak np. uczy się historii tutaj i tam.

Na czym polega ta różnica?

W Polsce mówi się, że za wybuch II wojny światowej i ludobójstwo odpowiadają Niemcy. Tam z kolei nie ma mowy o Niemcach jako sprawcach zbrodni – za wojnę i Holokaust odpowiadają naziści.

W Niemczech zaczęła robić pani karierę muzyczną.

W moim przypadku była to naturalna ścieżka życiowa, ponieważ pochodzę z muzycznej rodziny. Moja mama była wokalistką,

Fot. Marcin Pech

eprasa.pl f32322db13

a ojciec gitarzystą i kompozytorem. Dorastałam więc w środowisku, w którym żyło się muzyką. W Niemczech zaczęłam robić karierę w świecie artystycznym. Zagrałam m.in. główną rolę w musicalu w Hamburgu, miałam też swój zespół europejsko-arabski, w którym śpiewałam piosenki po arabsku, a także trio jazzowe w Londynie. Byłam również bohaterką serialu „Stage Fever", który nakręciła niemiecka telewizja ZDF, przez pół roku towarzysząc naszemu rocznikowi szkoły musicalowej. W środowisku, w którym się wówczas obracałam, nikt nie chodził do kościoła. Tak więc niezauważalnie, stopniowo, przebywając w takim otoczeniu, straciłam wiarę. Doszło do tego, że kiedy dowiedziałam się, że zmarł Jan Paweł II, powiedziałam podczas rozmowy swoim znajomym, że nie wierzę w Boga.

Jak więc się stało, że teraz śpiewa pani głównie utwory religijne?

To było tej samej nocy, gdy po raz pierwszy w życiu powiedziałam, że nie wierzę w Boga. Kiedy zmarł Papież Polak. Tej właśnie nocy przyśnił mi się Jan Paweł II. Uczestniczyłam wtedy duchowo w jego pogrzebie. W tym śnie papież nakazał mi kontynuować jego duchową pracę. To nie był zwykły sen, taki jak wszystkie inne. To było coś w rodzaju snu biblijnego, doświadczenie tak mocne i realne, że wiedziałam, że od tego momentu muszę zmienić swoje życie.

I co pani zrobiła?

Wiedziałam, że wiara jest łaską, ale nie wiedziałam, jak tę łaskę zdobyć. Znajomi chrześcijanie zielonoświątkowcy z Londynu poradzili mi, aby zaczynać i kończyć dzień ze Słowem Bożym. Codzienne czytanie Biblii rano i wieczorem oraz śpiewanie w domu pieśni uwielbienia stało się moim stylem życia. I nagle wszystko zaczęło mi się w życiu układać. To było inwestowanie w moją relację z Bogiem. Jednak w pewnym momencie poczułam, że to za mało. Zaczęło brakować mi eucharystii. Poczułam tęsknotę za nią. W ten sposób po 10 latach poszłam do spowiedzi św. i wróciłam do Kościoła katolickiego.

Ale była pani przecież wcześniej w Kościele katolickim.

Miałam dokąd wrócić, ponieważ jako nastolatka dobrze zapamiętałam Kościół. Najlepsze wakacje mojego życia spędziłam z grupą oazową, kiedy miałam 16 lat. Latem pojechaliśmy dużą grupą razem z księdzem nad Balaton, do Budapesztu, Wiednia, Pragi i Bratysławy. Potem, gdy straciłam wiarę, zastanawiałam się, kiedy ostatni raz w życiu byłam szczęśliwa. Musiałam się wtedy cofnąć pamięcią o 10 lat, by odkryć, że to było podczas tamtych wakacji. Zadałam sobie wówczas pytanie: dlaczego wtedy byłam szczęśliwa? I zrozumiałam: bo wtedy wszystko było z Bogiem. Co prawda to były wakacje, a więc zwiedzanie, zabawy, rozmowy, przebywanie w grupie przyjaciół, ale wszystko razem z Bogiem. Zrozumiałam, że człowiek jest szczęśliwy wówczas, gdy spędza swoje życie z Bogiem – i zapragnęłam do tego powrócić.

Wtedy zapadła decyzja o powrocie do Polski?

W 2015 r. zmarła moja przyjaciółka, w dość młodym wieku. Przyszła wtedy refleksja: życie jest krótkie, teraz albo nigdy. Albo wrócę do Polski i będę ewangelizować, czyli robić to, do czego, jak czułam, wzywał mnie Jan Paweł II, albo ten czas przeminie. W 2018 r. po 25 latach wróciłam więc do kraju. Zostawiłam karierę w Niemczech i Londynie, by w Polsce zacząć od zera. Byłam za to tak wdzięczna Bogu, że od tej pory postanowiłam codziennie chodzić na mszę i przystępować do komunii. I tak jest od sześciu lat. Nie wiedziałam wtedy, jak bardzo zmieni to moje życie. Ponownie odkryłam szczęście i zaczęłam żyć pełnią życia.

Zaczęła też pani na nowo działalność artystyczną.

Założyłam Wydawnictwo Multimedialne Barka Gospel i nagrałam płytę „Czas Miłosierdzia", która została zainspirowana moim pobytem w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Myśliborzu, w którym jako dziecko otrzymałam chrzest. Wzrusza mnie, że mój tata pochodzi spod Wadowic (był zresztą bierzmowany przez Karola Wojtyłę), a mama z Myśliborza, gdzie znajduje się dom macierzysty Zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosiernego, a więc tego zakonu, którego powstanie zapowiadała św. s. Faustyna. Zbliża się Święto Miłosierdzia Bożego, które zawsze przypada tydzień po Wielkanocy – teraz 7 kwietnia. Tego dnia Jezus odpuszcza duszy każdego człowieka wszystkie winy i kary z całego jego życia, jeżeli tylko człowiek szczerze przystąpi do sakramentu spowiedzi św. i komunii św. Tego dnia zapraszam wszystkich do kościoła!

Głośniejszym echem odbił się jednak nakręcony przez panią film dokumentalny „Tylko powiedz każdemu", który wszedł nawet do dystrybucji kinowej. Skąd się wzięła idea tej produkcji?

W 2019 r. ukazał się film o księżach pedofilach. To oczywiste, że tego rodzaju przestępstwa trzeba ujawniać i karać. Ale to nie jest cała prawda o Kościele. Większość kapłanów nie ma z tym nic wspólnego. Zaczął się jednak szerzyć fałszywy obraz Kościoła, w którym postawiono znak równości: ksiądz to pedofil. Postanowiłam więc nakręcić film dokumentalny, którego bohaterem byłby dobry kapłan, będący uosobieniem wszystkich księży wiernie pełniących swą misję.

Dlaczego wybór padł na ks. Roberta Szumowskiego?

Pewnego razu od znajomej z Dębna pod Myśliborzem usłyszałam, że tamtejszy proboszcz to „taki chodzący Pan Jezus". Pomyślałam, że to przesada, ale kiedy pojechałam tam i spotkałam tego księdza, zrozumiałam, co miała na myśli. To był po prostu Boży kapłan. Postanowiłam, że trzeba o nim zrobić film. Namawiałam go przez rok, ale odmawiał. Był pełen pokory i skromności, nie chciał słyszeć o filmie. Ale nie poddawałam się. Ponieważ wtedy co dzień bywałam w Dębnie na Eucharystii, zaczęłam filmować go prywatnie w różnych sytuacjach: jak reperuje dach, kosi trawę, rąbie drzewo. Gdy zbliżało się 30-lecie jego kapłaństwa, okazało się, że w czytaniu mszalnym przypadającym na niedzielę przed jego jubileuszem znajduje się fragment z ewangelii

eprasa.pl f32322db13

ze słowami: „Co usłyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach". Poszłam do niego z tym słowem i powiedziałam: „Mnie ksiądz może odmówić filmu, ale Jezusowi już nie". Po tej ewangelii zgodził się. Rozeznał, że Bóg chce, aby w ten sposób ewangelizował, bo dzisiaj głoszenie na dachach to głoszenie przez media.

Co było później z ks. Robertem?

Nie żyje. Zmarł dokładnie nazajutrz po 33. rocznicy swych święceń kapłańskich, czyli trzy lata później. W dniu, w którym odszedł do Pana, w kościołach była czytana właśnie ta ewangelia: „Co słyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach". Mam pewność, że ks. Robert jest dzisiaj w Niebie.

A pani zaangażowała się w kolejny projekt. Była to wystawa, która jeździ dziś po Polsce. Skąd ten pomysł?

W październiku 2020 r. w Polsce zaczęły się czarne marsze z błyskawicami. Jechałam wtedy samochodem razem z córką i nagle utknęłyśmy w korku, ponieważ zablokowała nas demonstracja. Widziałyśmy patrole policji, protestujących ludzi, transparenty, hasła. Wtedy córka zapytała mnie: „Mamo, tutaj jest dużo policji. Co się stało?" „To demonstracja", odpowiedziałam. „A co to jest demonstracja?" zapytała. „To jest, jak ludzie wychodzą na ulice, bo chcą coś zmienić", odpowiedziałam. „A co chcą zmienić?", drążyła dalej. „Prawo", powiedziałam. „Ale co dokładnie?", nie dawała za wygraną. I co wtedy miałam odpowiedzieć temu siedmioletniemu dziecku? Okłamywać je? Przecież kiedyś i tak się dowie. Pomyślałam, że trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Powiedziałam: „Oni chcą zmienić prawo, bo chcą zabijać dzieci w brzuszkach". Ona aż wykrzyknęła: „Mamo! To niemożliwe! Co ty mówisz? Musimy jechać do burmistrza, on im zabroni i wsadzi ich do więzienia". Odpowiedziałam: „Burmistrz o tym wie. Oni mają prawo tak demonstrować". Wtedy ona zdenerwowana powiedziała: „A czy ci ludzie nie widzą, że jak jest duży brzuszek, to w środku jest dzidziuś?"

Zupełnie jak w bajce Andersena o nowych szatach cesarza, gdy dziecko mówi prawdę, której nie chcą widzieć dorośli.

Zaczęłam jej tłumaczyć, że jak brzuszek jest duży, to oni widzą, ale jak jest mały, to nie widzą, więc wtedy oni chcą zabijać. Wtedy moja córka powiedziała: „Mamo, ale przecież jak już tylko się wie, że ma się dziecko w brzuszku, to trzeba się cieszyć!". Te słowa były dla mnie olśnieniem. Stały się dla mnie natchnieniem, że trzeba zrobić wystawę pro-life o pięknie macierzyństwa, o tym, że bycie w stanie błogosławionym przynosi radość. Wystawa prezentuje piękne fotografie kobiet w ciąży oraz refleksje matek. Angażuję się też w obronę życia dzieci poczętych. W tym roku napisałam i nagrałam piosenkę na Marsz dla Życia, organizowany przez Fundację Małych Stópek 14 kwietnia w Szczecinie. Piosenka i tegoroczny marsz mają tytuł: „Życie nie zna granic". Zapraszam do Szczecina!

> Zrozumiałam, że człowiek jest szczęśliwy wówczas, gdy spędza swoje życie z Bogiem – i zapragnęłam do tego powrócić

Wiem, że film dokumentalny, nad którym pani teraz pracuje, traktuje o dzieciach, które straciły życie. To jednak historia osadzona w realiach II wojny światowej.

Ta historia zaczęła się od niemieckiej badaczki Margot Loehr z Hamburga, która od wielu lat zajmuje się dokumentowaniem i upamiętnianiem ofiar II wojny światowej. Pewnego dnia, gdy przeglądała dokumenty w jednym z obozów pracy przymusowej, natknęła się na akty zgonów noworodków. Była zdumiona: co robiły niemowlęta w takim miejscu? Potem odkryła, że były to dzieci pracownic przymusowych, inaczej mówiąc: niewolnic. Po porodzie dzieci były im odbierane i zostawiane w pustym baraku, gdzie umierały z głodu lub zimna. Wiele z nich nie miało aktów urodzin, tylko akty zgonu. Margot Loehr doliczyła się kilkuset takich ofiar. Postanowiła upamiętnić ich los. Wspólnie z towarzystwem przyjaźni polsko-niemieckiej z Hamburga zorganizowała uroczystość poświęconą tym dzieciom. Poproszono mnie wówczas, bym zaśpiewała dla nich kołysankę. Zrobiłam to podczas dwóch takich upamiętnień. Było tam jednak bardzo mało ludzi, głównie osoby starsze, brakowało młodzieży. Wtedy przyszło natchnienie, że muszę zrobić film dokumentalny poświęcony tym dzieciom. W wielu miejscach zbrodni nie mają one nawet symbolicznej tabliczki, żadnego miejsca upamiętniającego ich ofiarę. Tam, gdzie znajdował się barak, w którym umierały, stoi dzisiaj np. blok mieszkalny, a mieszkańcy nie wiedzą, co się tam kiedyś działo. Praca społeczna Margot przyczyniła się do tego, że władze jednej z dzielnic Hamburga postanowiły upamiętnić dzieci robotnic przymusowych nowym placykiem, skwerem, który będzie nazwany imieniem polskiego poległego dziecka: Teresy. Oficjalne uroczystości odbędą się 12 kwietnia w Hamburgu, w dzielnicy Winterhude. Ponownie zaśpiewam tam polską kołysankę.

Jak przebiega praca nad filmem?

Byłam z tym projektem na warsztatach pitchingowych podczas festiwalu Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci w Gdyni. Przyznano tam dwie nagrody. Obie otrzymał ten projekt, co pokazuje, że ma on duży potencjał. Obecnie jestem w trakcie przedprodukcji. Na razie nie mam zapewnionego finansowania, ale się tym nie przejmuję. Niedawno modliłam się przed relikwiami błogosławionej rodziny Ulmów, prosząc ich, aby zostali patronami tego filmu. Wierzę w siłę ich wstawiennictwa, dlatego jestem dobrej myśli. Ufam, że znajdą się instytucje i ludzie dobrej woli, którzy będą chcieli wesprzeć finansowo ten projekt filmowy. Wszystkich zainteresowanych zapraszam do kontaktu.

eprasa.pl f32322db13

Więcej niż film

Mateusz Więcławek (z prawej) przestał być na ekranie dobrze ułożonym młodym człowiekiem. Przesunął dawne granice. Nicolas Przygoda wbrew młodzieńczemu egocentryzmowi dorósł do bohaterstwa. Obu aktorów możemy oglądać w kinowych premierach tego tygodnia

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f32322db13

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Kadr z filmu „Czerwone maki"

Fot. Materiały prasowe

Mateusz Więcławek (rocznik 1993) i Nicolas Przygoda (ur. 2002) weszli w ub.r. na plany filmów, które odmieniły ich aktorskie wizerunki. „Figurant" Roberta Glińskiego trafił już do widzów. Na premierę czeka – nagrodzone Srebrnymi Lwami oraz m.in. statuetką dla głównej aktorki Leny Góry – „Imago" Olgi Chajdas. Teraz do kin wchodzą „Czerwone maki" Krzysztofa Łukaszewicza i „Kobieta z..." duetu Małgorzata Szumowska–Michał Englert.

CZAS PRZEŁOMU

„Mateusz to sympatyczny blondynek. Nie wygląda na osobę, która jest w stanie manipulować innymi i iść po trupach, by osiągnąć cel. Nikt nie się spodziewa, że za tą miłą twarzyczką może kryć się diabeł. To idealnie pasowało do postaci esbeka Bronka Budnego, który przez 20 lat inwigilował Karola Wojtyłę" – komentował Robert Gliński, reżyser filmu „Figurant".

To było jego czwarte spotkanie z Mateuszem Więcławkiem. I choć przy pierwszym projekcie – „Kamieniach na szaniec" – dał aktorowi do zagrania epizod żandarma zabijającego „Zośkę", to w kolejnych widział w nim już postać czystą, oddaną sprawie, ideową. Taki był druh Jacek w „Czuwaj" (2017) i młodzieńcza wersja tytułowego duchownego w filmie „Zieja" (2020).

W „Figurancie" Więcławek też miał być księdzem – tym razem wpadającym w pułapkę przygotowaną przez głównego bohatera. Aktor poprosił jednak o możliwość zagrania czarnego charakteru. I został za tę rolę nominowany do nagrody im. Zbyszka Cybulskiego.

„Budny od początku do mnie przemówił – wspomina Więcławek. – Starałem się go zrozumieć, zobaczyć w nim nie tyle dobre cechy, ile potencjał do nich. Myślę też, że chociaż Bronek żyje w latach 60., jest bliski współczesnemu odbiorcy".

ALTERNATYWNIE

W 2023 r. dzięki kolejnym planom filmowym Mateusz Więcławek przeniósł się też w lata 70. i 80. ub.w.

W „Imago" – inspirowanym losami Eli „Malwiny" Góry, alternatywnej artystki trójmiejskiej sceny muzycznej lat 80. – zagrał Tomka, „bezwarunkowo oddanego wrażliwca". Przede wszystkim jednak, co podkreśla, przeżył bardzo ciekawą zawodową przygodę. A to za sprawą Leny Góry, głównej aktorki, a także współautorki scenariusza nawiązującego do historii jej matki.

W „Kobiecie z...", rozpisanej na 45 lat historii głównej postaci, wcielił się w żyjącego w latach 70. i 80. mieszkańca niewielkiego miasteczka, który wchodzi w dorosłość zgodnie z obowiązującymi normami: zostaje mężem, ojcem, pracownikiem, kumplem od spotkań przy piwie, ale w tych rolach czuje się coraz mniej pewnie.

Gdy transpłciowe doświadczenie zamienia Andrzeja w Anielę, postać przejmuje na ekranie Małgorzata Hajewska-Krzysztofik. To na jej barkach spoczywa uwiarygodnienie najbardziej widocznego etapu transformacji, co nie zmienia faktu, że udział w projekcie wymagał od Więcławka przekroczenia paru granic. Także tych dosłownych, które pozwoliły mu przejść z ekipą po czerwonym dywanie festiwalu w Wenecji, na którym film został pokazany prapremierowo.

„Dzięki tej roli odkryłem w sobie kobiece pierwiastki, odnalazłem nowe emocje, rozbudowałem aktorski potencjał" – komentuje.

POCZĄTEK PRZYGODY

Na duży ekran wprowadził go film „Obietnica" (2014), w którym wcielił się w manipulowanego przez dziewczynę nastolatka. Potem zagrał m.in. w „Czerwonym pająku" (2015), „Cichej nocy" (2018), „Weselu" (2021) czy serialu „Belfer" (2016). W 2021 r. dołączył do obsady zrealizowanego dla platformy Netflix horroru „W lesie dziś nie zaśnie nikt 2". Reżyserem był Bartosz M. Kowalski, ten sam, który wprowadził do kina Nicolasa Przygodę.

Film „Plac zabaw" (zdjęcia 2015, premiera 2016) był debiutem dla obu. Reżyser pełnometrażowej fabuły odkrył w nastolatku – który po poważnej kontuzji musiał przerwać obiecującą karierę młodego piłkarza – „kamerowego zwierzaka". W efekcie na festiwalu Młodzi i Film w Koszalinie Nicolas odebrał nagrodę dla aktorskiego odkrycia.

Potem były m.in. filmy: „Atak paniki" (2017), „Wilkołak" (2018), „Filip" (2022) czy „Każdy ma swoje lato" (2020, nagroda dla najlepszego aktorskiego debiutu na krakowskim festiwalu Off Camera). Teraz przyszła rola, dla której w ciągu miesiąca 21-letni Nicolas zrzucił 12 kg i zupełnie zmienił swój wizerunek.

KAWAŁ HISTORII

Na Instagramie większość zdjęć pokazuje go jako pewnego siebie chłopaka, eksponującego sylwetkę (w przemyślanych stylizacjach i okolicznościach) lub odpowiednio odsłoniętą, wypracowaną muskulaturę.

Po zakończeniu pracy na planie w czerwcu 2023 r. napisał: „»Czerwone maki«" to pierwszy polski film o zwycięskiej bitwie pod Monte Cassino. Czuję wielką dumę, że zaufano mi i powierzono główną rolę. Wiele się nauczyłem dzięki temu projektowi". W innym miejscu dodawał: „Wychowałem się na takich filmach jak »Szeregowiec Ryan« i »Przełęcz ocalonych«. »Czerwone maki« to więcej niż film, to kawał historii".

eprasa.pl f32322db13

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Matylda" – czyżby przyzwoity romans?

Czy powinienem pisać o serialu TVP „Matylda" już po trzecim odcinku? Ale ma ich być aż 13.

Na razie zainspirowały mnie uwagi recenzenta „Gazety Wyborczej". Napisał tak, chwaląc serial: „Choć powstańczy kontekst »Matyldy« jest dość istotny i w jakiś sposób stanowi oś fabuły, to patriotyczne obrazy nie przykrywają całej historii". I potem: „»Matyldę« będzie się oglądać znakomicie – tego można być pewnym. Ale w zalewie słusznych ideowo produkcji naszej publicznej to miła i wyczekiwana odmiana".

Główna bohaterka jest córką ziemianina pozbawionego majątku w następstwie powstania styczniowego. To ważny wątek, ale istotnie historia Matyldy, która wraca w rodzinne strony, wzniecając pożary serc, lecz i padając ofiarą intryg, to przede wszystkim romans. Na razie nieźle skonstruowany.

Zarazem jednak jak wszystko, co oglądamy w telewizji publicznej, to wciąż pozostałość po poprzedniej ekipie. Czy taka nietypowa? „Wyborcza" walczy z widmami, które sama wymyśliła. Czy „ideowo słuszny" był znakomity „Filip" Michała Kwiecińskiego? A serial „Polowanie na ćmy" Jerzego Rogalskiego? Czy z ideologią miał cokolwiek wspólnego dopiero co zakończony serial wojenny „Zatoka szpiegów"? Nie, były to przyzwoite, a czasem mądre przyczynki do różnych zdarzeń historycznych, poszukujące przede wszystkim prawdy o człowieku. Akurat tu wyjątkowo mało pasował schemat „prawicowej telewizji".

Na tle wymienionych tytułów „Matylda" jawi się jako bardziej błaha. To jednak ciekawy przypadek. Niedawny, popularny serial „Dewajtis" był adaptacją powieści z epoki (Marii Rodziewiczówny). Tu mamy do czynienia z próbą wykreowania opowieści o dawnej epoce od razu na potrzeby filmu – przez sprawnego reżysera Krzysztofa Langa i aż sześcioro scenarzystów.

Czy to wiarygodna próba? Kiedy na początku oglądam zebranie pań deliberujących, jak rozumiem, w zaborze rosyjskim kilkanaście lat po powstaniu o społecznej równości kobiet, patrzę na to jak na opowieść z całkiem wymyślonego kosmosu. No, ale mamy modę na szukanie wszędzie feminizmu. Także ucieczka ojca Matyldy z Syberii wydaje się fabularnie naciągana. Za to zasadnicza, romansowa opowieść, dziejąca się w świecie XIX-wiecznych dworów, nie razi pomyłkami co do realiów. Jest gęsta, zaciekawia. Mimo pewnej plakatowości głównego wątku.

Bohaterka, grana przez Marię Kowalską, niedawną gwiazdę nowej, netfliksowej wersji „Znachora", jest spiżowo szlachetna (przy tym odrobinę enigmatyczna). Podobnie jej ukochany, doktor Boden – w tej roli znakomity, empatyczny Kamil Szeptycki. Z kolei główny prześladowca Matyldy, który zawłaszczył majątek jej ojca, Maurycy Rubin, jest tak demoniczny, jak tylko może być. Mirosław Haniszewski gra go sugestywnie. Ale stereotyp goni tu stereotyp.

Mógłbym skądinąd spytać, kim jest Rubin. Jakie środowisko, jaką narodowość reprezentuje? Brak odpowiedzi. Na szczęście Lang wprowadza galerię drugoplanowych postaci, których intencje i charaktery dopiero rozpoznajemy. To one są najciekawsze.

Kim tak naprawdę jest sympatyczny Michał, syn Rubina (Karol Nowiński), podsuwany Matyldzie jako mąż? Czekamy na odpowiedź. Trzeci odcinek zakończył się zaskoczeniem. Ciotka Matyldy, początkowo jej nieprzychylna (w tej roli Małgorzata Buczkowska), stanęła po jej stronie w kwestii mariażu z Bodenem. Rolę tyrana odmawiającego dziewczynie pójścia za sercem odegrał za to walczący o ekonomiczne przetrwanie, poczciwy wuj (Dariusz Chojnacki). Czym więcej takich suspensów, tym lepiej się to ogląda. Czy zęby jeszcze nie zabolą w obliczu naginania realiów? Ano, zobaczymy.

Piotr Zaremba

eprasa.pl 1322db13

3 MIŁOŚCI

Przed nami Niedziela Miłosierdzia

ROBERT TEKIELI

Nie istnieje wiedza naukowa na temat tego, co się dzieje po śmierci. Nauka wypowiada się jedynie na temat zjawisk powtarzalnych, które są dostępne zmysłami lub/oraz które można doświadczalnie zbadać/zmierzyć. Jeśli puścimy trzymaną nad stołem łyżkę, spadnie zawsze, a nie „raczej", „czasami" czy „być może". Dzięki tej sprawdzalnej wiedzy zbudowano kafar.

Nauka nie ma nic do powiedzenia na temat istnienia lub nieistnienia Boga. Jej kompetencje nie sięgają sfery *sacrum*, ograniczają się do spraw natury. Ateiści, Richard Dawkins czy Stephen Hawking, nie mają w tej mierze większego autorytetu niż wierzący w Jezusa Chrystusa Blaise Pascal czy Louis Pasteur.

Wszystkie znane dowody na istnienie Boga nie mają mocy dowodu naukowego, choć niektóre są dużo bardziej spójne i rozumne niż wiara w to, że skrajnie skomplikowana w swej budowie gałka oczna powstała w wyniku serii przypadkowych mutacji. Wierzyć, że nic przywołało do istnienia coś, to tak, jak być przekonanym, że gotowy do startu Boeing 777 może powstać w wyniku przejścia huraganu nad złomowiskiem. Nawet gdyby założyć, że ten huragan kręciłby się miliard lat nad złomem.

Religia określa relację człowieka z *sacrum*. Koncepcji jest wiele, najrozsądniej przyjąć tę, którą objawił ludziom sam Bóg. Jezus był jedynym założycielem wielkiej religii, który mówił o sobie, że jest Bogiem. Jeśli to nieprawda, był szaleńcem. Jednak na to chrześcijaństwo jest zbyt trwałe i zbyt wiele dobra przyniosło ludzkości.

O tym, że w Palestynie 2 tys. lat temu żył Jezus, wiemy dzięki przekazom historycznym. Ta wiedza jest pewna. W to, że historyczny Jezus był Chrystusem, Zbawicielem gatunku ludzkiego, trzeba uwierzyć. „Jeśli ustami swoimi wyznasz, że Jezus jest Panem, i uwierzysz w sercu swoim, że Bóg wzbudził go z martwych, będziesz zbawiony".

Podstawową kwestią rozstrzyganą przez religie jest stosunek sumy ludzkich czynów z całego życia do losu człowieka po śmierci. W chrześcijańskiej koncepcji zbawienia Boskie Miłosierdzie zajmuje miejsce kluczowe. Na szczęście.

Przed nami Święto Miłosierdzia. Dla katolika to dzień wielkiej szansy. W pierwszą Niedzielę Miłosierdzia, którą przeżywałem jako człowiek nawrócony, poszedłem się modlić do bazyliki przy ul. Rakowieckiej o godz. 15.00. Postanowiłem na kolanach odmawiać koronkę i różaniec przez całą Godzinę Miłosierdzia. Po kilku minutach pusty i cichy kościół wypełnił się skrzypieniem mojej skórzanej kurtki. Wierciłem się i skrzypiałem, z trudem klęcząc każdą kolejną minutę. W pewnym momencie ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, że od jakiegoś czasu w kościele panuje cisza. Klęczało mi się bez większego trudu. Dopiero w domu zrozumiałem, że świat duchowy zamanifestował mi swoją władzę nad światem materialnym. Nie ma bowiem możliwości, żeby po 30 czy 50 minutach kolana bolały mniej niż po kwadransie.

Z Niedzielą Miłosierdzia związane są niezwykłe obietnice. Ludzie, którzy nawet tak jak ja łamali wcześniej wszystkie przykazania, tego mogą dnia skokowo zbliżyć się do Boga.

Jezus powiedział do s. Faustyny: „Pragnę, by pierwsza niedziela po Wielkanocy była świętem Miłosierdzia. Pragnę, aby święto Miłosierdzia, było ucieczką i schronieniem dla wszystkich dusz, a szczególnie dla biednych grzeszników. W tym dniu otwarte są wnętrzności miłosierdzia mego, wylewam całe morze łask na dusze, które się zbliżą do źródła miłosierdzia mojego. Która dusza przystąpi do spowiedzi i komunii św., dostąpi zupełnego odpuszczenia win i kar. W dniu tym otwarte są wszystkie upusty Boże, przez które płyną łaski".

Łaska „zupełnego odpuszczenia win i kar". Co to znaczy? Jeśli tego dnia przyjmiemy komunię św. po dobrej spowiedzi, nie będąc przywiązani do żadnego grzechu, zachowując ufność wobec Boga i mając ducha czynnej miłości bliźniego, możemy doświadczyć łaski większej od odpustu zupełnego i większej, niż dają wszystkie sakramenty poza sakramentem chrztu! Odpust daje odpuszczenie kar za grzechy, ale nie są odpuszczane winy. Sakrament pokuty daje odpuszczenie win, ale kary za nie i tak musimy ponieść. Niedziela Miłosierdzia to czas absolutnie wyjątkowy. Związane z nią obietnice mają rangę wręcz „drugiego" chrztu. Tylko w sakramencie chrztu odpuszczane są bowiem jednocześnie i kary, i winy za grzechy. Komunia św. przyjęta czystym sercem w Święto Miłosierdzia może ustabilizować duchowo człowieka wychodzącego z bagna grzechu. Natomiast komuś, kto od dłuższego czasu prowadzi życie sakramentalne, może skrócić cierpienie czyśćca.

Święto Miłosierdzia Bożego jest mocno związane z tajemnicą Zmartwychwstania. Bóg nie chce, by mimo potwornej męki swojego Syna ludzie szli na zatracenie. Święto Miłosierdzia Bożego jest ostatnią deską ratunku.

eprasa.pl f32322db13

Warte *„Szczury Wrocławia. Chaos”* Roberta J. Szmidta to wznowiona po dziewięciu latach pierwsza część trylogii o wrocławskich zombie. U źródła pomysłu tkwią rzeczywiste wydarzenia z 1963 r., kiedy w stolicy Dolnego Śląska wybuchła epidemia czarnej ospy, w wyniku czego miasto zostało odcięte od reszty kraju na kilka tygodni. Ten całkowicie realistyczny punkt wyjścia powieściowych perypetii się sprawdza: w izolatorium dla ludzi podejrzanych o kontakt z czarną ospą wybucha nowa, krwawa zaraza, po krótkiej chwili orientujemy się, że na polskie ulice wylegli nieumarli. Jest ciekawie: zombie apokalipsa i ZOMO, ludowe wojsko, KBW i partyjni kacykowie, nieudolność i szlachetność – PRL w soczewce sytuacji skrajnego zagrożenia. Punkt wyjścia jest zatem miło nieoczywisty: siermiężna mentalność komunistycznych władz skonfrontowana z niepojętym zjawiskiem quasi-wskrzeszeń. A i realizacja całkiem, całkiem: polifoniczna narracja, opowiadanie historii poprzez dziesiątki drobnych epizodów, osadzenie akcji w bardzo konkretnej, klimatycznej specyfice peerelowskiego uniwersum i konsekwentne rozszerzanie horyzontu zdarzeń od niewielkich grup zombie szturmujących ogrodzenia izolatoriów po niemal doszczętną zagładę Wrocławia.

Jak dla mnie do kupienia są najbardziej nawet ekwilibrystyczne chwyty fabularne, może poza wątkiem antykomunistycznego mikropowstania oraz mającego miejsce na jednej czy może najwyżej dwóch kartach książki odwołania do współczesnej nam sytuacji politycznej. Natomiast perełką jest sekwencja związana z pojawieniem się na miejscu zdarzeń oddziałów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Bolszewicka pycha tchórzliwych sadystów, wirtuozeria w używaniu przemocy, szantażu i manipulacji, paraliżująca bezwzględność i szafowanie śmiercią, kwintesencja specsłużb utrzymujących przy życiu komunistycznego państwowego potworka.

Autor wypuścił nieumarłych na ulice komunistycznego Wrocławia – chapeau bas, choć oczywiście zamysł nie obył się bez potknięć. Brak głównego bohatera/bohaterów sprawia, że w pewnym momencie fabuła zaczyna się dłużyć – zbyt dużo ekspozycji, ale przecież otrzymujemy w efekcie tytułowy chaos. Podsumowując: polskie „The Walking Dead” daje radę. Zachęcam, kolejne tomy w druku.

Może być Punkt wyjścia *„Gorącej linii”* z Melem Gibsonem w roli głównej jest frapujący: gospodarz radiowego show na żywo odbiera telefon, podczas którego nieznana osoba grozi śmiercią całej jego rodzinie. Akcja zaczyna toczyć się na łeb, na szyję, a ja zaczynam się dystansować od całego tego zamieszania. Na początku nie wiedziałem, dlaczego tak się dzieje, potem coraz wyraźniejsze stało się, że Gibson nie jest w życiowej aktorskiej formie. Cały zestaw aktorów grających postaci drugoplanowe też miał niewiele do zaproponowania, nie błyszczał również znany z „Opowieści z Narni” William Moseley. Kolejne zwroty akcji na krótko ratowały sytuację, jednak

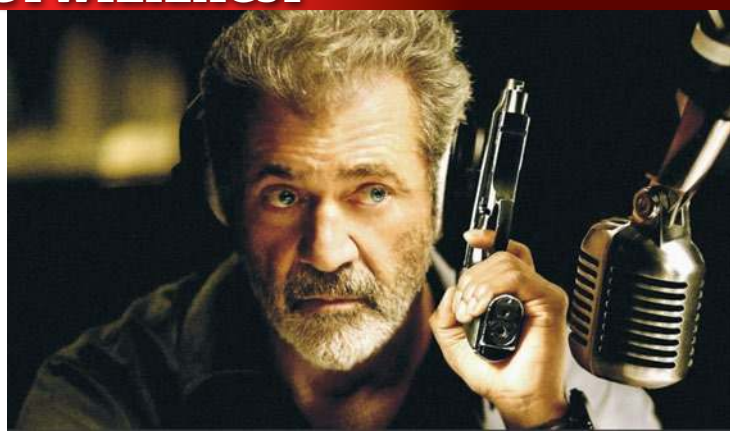

finałowy twist odsłonił całą wątłą architekturę fabularnego konceptu. Może jednak jestem za surowy, bo na ekranie nie ma żadnych spektakularnych wpadek, momentami kreowane są niemałe emocje, a rzecz jest opowiedziana potoczyście.

Może być *„Polar”* to film akcji z Madsem Mikkelsenem w roli głównej. Jest osnuty na serii obrazkowych historyjek autorstwa Victora Santosa wydanych w postaci webcomics – komiksu ukazującego się tylko w wersji elektronicznej. Opowiedzianą tu historię znamy na pamięć – przechodzący na emeryturę wyrafinowany zawodowy zabójca, jego pazerny boss i komiksowe komando mające za zadanie wyeliminować starego mistrza. Film rozpada się na przeplatające się dwa strumienie, w jednym nurcie realistycznie grający swą rolę emeryta-zabójcy Mikkelsen, w drugim – komiksowe postaci, zbyt kolorowe, zbyt przerysowane, by mogło się to wszystko skleić w całość. W realistycznym wątku jest wiele świetnych epizodów, z psem, branżą pogrzebową, złotą rybką i brawurowa scena w przedszkolu, a także niezwykła postać odważnie zagrana przez Vanessę Hudgens, znaną z „High School Musical”. W końcu ta polarność, dwubiegunowość znika i mamy realistyczną rzeźnię à la John Wick, w niczym nieustępującą maestrią śmierci filmowi z Keanu Reevesem w roli głównej. A na koniec zaskoczenie. I fabularne, i egzystencjalne. Komiks dający do myślenia, hmm.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl f32322db13

Maciej Walaszczyk

Wycieczka do krainy britpopu

Liam Gallagher, John Squire, „Liam Gallagher & John Squire", Warner Music 2024

Dużo melancholii, a także spora dawka zadziornego humoru. Manchesterski superduet przynosi dziesięć pięknych piosenek w stylu klasycznego britpopu.

Na 40 min budzimy się w połowie lat 90. Płytę otwiera manifest optymizmu dwóch dojrzałych już facetów. Jeśli więc nie jesteś pewien, w którą stronę pójść i nic nie idzie tak, jak planowałeś – „Unieś ręce i pokaż, że żyjesz!" („Raise Your Hands"). Album jest owocem współpracy byłego gitarzysty The Stone Roses Johna Squire'a i byłego wokalisty Oasis Liama Gallaghera. Temu ostatniemu, znanemu arogantowi, przyszło zagrać z o dziesięć lat starszym idolem końca lat 80. Squire to znakomity kompozytor operujący delikatnością, przepychem melodyjności i bluesowym akcentem. To on 35 lat temu zdefiniował nie tylko brzmienie Madchester, lecz także nową erę brytyjskiej muzyki, która pojawiła się jako odpowiedź na amerykańską inwazję grunge'u. Bo to na pierwszej płycie The Stone Roses zdetonowane zostały gitarowe, psychodeliczne bomby zapalające, dzięki którym wynaleziono britpop.

Liam i Squire to dzieci tzw. niższej klasy średniej z robotniczych przedmieść Manchesteru. Kolebki brytyjskiej muzyki gitarowej lat 80., w którym pierwszym wyborem politycznym była Partia Pracy. No i oczywiście football – Gallagherowie to City, a The Stone Roses – United.

Płyta jest urozmaicona i przebojowa, choć oczywiście do pewnego stopnia wtórna. Squire, który na wiele lat skutecznie wycofał się z muzyki, aby zająć się malarstwem, gra jednak znakomicie, napisał też wszystkie teksty. Podobno gdy przedstawił swoje pomysły Gallagherowi, ten natychmiast potrafił je wyśpiewać. W „Just Another Rainbow" pod pozornie banalnymi, zabarwionymi psychodelią warstwami gitarowego jazgotu odnajdujemy zaraźliwą linię melodyczną, „Love You Forever" brzmi hendriksowsko, elektryczno-bluesowy „I'm A Wheel" z fantastycznym refrenem dobija aż do delty Missisipi, „Make It Up As You Go Along" wywołuje ducha Beatlesów, a na końcu w „Mother Nature's Song" przeglądamy muzyczny slajd w stylu George'a Harrisona. Obaj muzycy deklarują, że teraz przed występami „żadnego picia, żadnego palenia, żadnego niczego". Docenili cuda „uzdrawiającej mocy natury". Przyszła wiosna, więc odnajdźmy spokój, udając się na wycieczkę do krainy britpopu lat 90.

Stany (jeszcze) Zjednoczone

Amerykę trawi konflikt społeczny, silniejszy niż w latach 60. XX w. Autorka opisuje USA jakby dzień przed wybuchem wojny domowej, bo 43 proc. obywateli jest przekonanych, że do niej dojdzie

Zanim zasiądziemy do lektury, możemy spokojnie zapiąć pasy. Zbliżają się wybory prezydenckie i być może nastąpi powrót Donalda Trumpa na fotel prezydenta. Do Europy na pewno dotrą silne echa kampanii, której fronty przebiegają przez kwestie ekonomiczne, kulturowe, rasowe i totalną wojnę propagandową toczoną przez oba obozy polityczne. Autorka, która jest wieloletnią korespondentką, patrzy na Stany Zjednoczone nieco z lewej strony, co nadaje jej relacji kolorytu, szczególnie w konfrontacji z naszymi wyobrażeniami. Co jest dziś głównym problemem tego kraju? Groźba rozpadu wywołanego konfliktem między białą klasą średnią, a raczej tym, co z niej zostało, ludźmi wciąż wyrastającymi z kultury europejskiej, a sprzymierzoną z jego czarną, imigrancką częścią bogatą klasą menedżerską. Co ciekawe, jej przedstawiciele opuszczają przechodzące wielki kryzys metropolie i przeprowadzają się np. do konserwatywnego Teksasu.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Eliza Sarnacka-Mahoney, „Amerykański reset. Stany (jeszcze) Zjednoczone od podszewki", Fronda 2023

Nie jest to również laurka o amerykańskiej demokracji i dobrodziejstwach wolnego rynku. Ludzie masowo migrują za pracą, zrywane są więzi międzypokoleniowe, chorują na depresję wywołaną m.in. brakiem możliwości wzięcia urlopu. Kobiety np. nie korzystają z płatnych urlopów macierzyńskich. Wolny rynek umożliwił m.in. wylansowanie w nieuczciwych kampaniach marketingowych uzależniających opioidów. Ciekawy jest opis sprawy sądowej, która toczyła się przeciw właścicielom koncernu farmaceutycznego Purdue Pharma. Ale Ameryka to także wciąż jedno z najbogatszych państw na świecie, jeśli brać pod uwagę wartość majątku znajdującego się w rękach finansowej elity. Jednak tamtejsi bogacze płacą dziś niższe stawki podatkowe niż budowlańcy. W 2021 r. resort finansów zaalarmował, że w poprzednim roku podatkowym kasa państwa straciła nawet 163 mld dol. na niezapłaconych podatkach, w tym przez takie osoby, jak Jeff Bezos czy Bill Gates. Ale skala istniejącej tam biedy jest trudna do wyobrażenia dla mieszkańców większości wysoko rozwiniętych krajów świata – pisze autorka. Pod koniec lat 60. za płacę minimalną można było kupić 30 proc. więcej niż obecnie. Czy amerykański sen stał się swoją własną karykaturą? Warto skonfrontować nasze własne wyobrażenia z tą relacją.

eprasa.pl f32322db13

Błogosławiona lekcja życia

Eseje zebrane w tym tomie napisał zaraz po zakończeniu wojny. Są stokrotnym owocem zdawałoby się gorzkich wojennych doświadczeń oraz komunistycznego eksperymentu, którego stał się ofiarą

I wojna wpędziła go w depresję, zniszczyła dotychczasowy porządek polityczny, a II zabrała cały dorobek życia wraz z domem, książkami i rękopisami, doprowadzając do zwycięstwa nad Dunajem komunistycznego przewrotu. W jego wyniku jako „element obcy klasowo" został objęty kategorią B1, uniemożliwiającą mu wykonywanie wszelkich prac umysłowych. Te doświadczenia przyniosły jednak duchowe wyzwolenie i stały się inspiracją do prowadzenia zapisków dokumentujących jego osobistą, intelektualną wędrówkę. Zawierają bogactwo przemyśleń, dzięki którym na każdym nowym etapie życia znajdował odpowiedź na to, kim się stawać. Béla Hamvas snuje je z dystansem, delikatnością i dyskretną ironią. W kolejnych częściach swoich esejów, skonstruowanych niemal matematyczną rytmiką, pogłębia rzucone pierwotnie myśli, rozwija je z pełnym dramatyzmem, by na koniec kulminować jasną konkluzją.

Pierwszą część tego zbioru zatytułowaną „Tajny protokół" wypełniają rozważania o cywilizacji. Nowoczesnego człowieka obsadza w kilku zdehumanizowanych kostiumach i skłania się raczej do pesymizmu. Tego, w którym triumfuje egoizm i skrajny indywidualizm, rysuje jako zimnokrwistego, zuniformizowanego i wewnętrznie pustego węża. Człowieka masowego jako hybrydę ptaka-owada, który swoją wręcz religijną wiarę w równość urzeczywistnia w okrucieństwie, złośliwości, agresji, nikczemności, podsępie, nieobyczajności, łakomstwie czy obłudzie. „To triumf naukowej wiary o pochodzeniu człowieka od zwierząt" – ironizuje, drwiąc z teorii ewolucji. Zauważa, że okadzana powszechnie nauka sprowadza ludzkie działania do poziomu właściwego zwierzętom, próbując uczynić byt czymś przewidywalnym. Trochę na zasadzie mrowiska, w które zamieniło się współczesne państwo: ludzie są w nim mniejsi, nieustannie się spieszący, biegnący i pracujący, odzwyczajeni od głębokiego snu, medytacji i przebywania w jednym miejscu. Mechaniczna złożoność cywilizacji naukowo-technicznej działa znakomicie, dopóki nie następują prozaiczne komplikacje i kryzys. Susze, powodzie czy śnieg sprawiają, że całość się rozpada. „Cała nasza cywilizacja działa tylko przy w względnej pogodzie" – konstatuje. W tym samym momencie ludzkość staje się absolutnie zabobonna i jest w stanie uwierzyć we wszystko, co ilustruje współczesna sztuka. Hamvas staje na stanowisku, że jej pierwotnym zadaniem było przesłanianie „kłamstwem" piękna i harmonii prawdy o szpetocie świata i człowieka, pętanie sił natury. Dziś artysta wywołuje wokół siebie wiry, wyciąga z ich dna przerażające siły, z wirtuozerią kumuluje w jednym miejscu wszystkie metody wyrafinowanego samoudręczenia, rozkoszuje się własnym cierpieniem, jak na obrazach Boscha i Bruegla. Nie porządkuje sił świata, jak Bach, Goethe, Szekspir, lecz je uwalnia. „Sztuka nie jest orficzna, ale niebezpiecznie magiczna" – zauważa.

Utrata wszystkiego, co posiadał, stała się dla niego błogosławioną lekcją życia. Ponieważ nigdy nie przyjmował jego trudów za rzeczywistość, próbował zbudować wokół siebie twierdzę z mądrości filozofów, świętych ksiąg i własnej twórczości. Po latach zrozumiał, że było to bałwochwalstwo. Odetchnął pełną piersią dopiero w momencie, gdy przeżył „siedem lat w atmosferze nieustannej śmierci". Lata znaczone niedostatkiem i pracą fizyczną stały się dla niego najlepszym okresem życia. Czytał i przekładał teksty filozoficzne, obrócił okoliczności na swoją korzyść, żyjąc w intymnej bliskości z naturą, ogrodem, zwierzętami. Fragmenty zachwytu nad smakiem owoców, rozważania nad rodzajami pożywienia, ich swoistą klasyfikacją przypominają znakomitą i wydaną także po polsku „Filozofię wina". Był to – jak się okazuje – rodzaj rekolekcji, które przygotowały go do kolejnej próby. Konieczności porzucenia skromnego życia pustelnika, by zostać wtłoczonym w rygor pracy na wielkich budowach socjalizmu. Béla Hamvas nie mieścił się w wąskich ramach interpretowanych po marksistowsku pojęć, m.in. dotyczących religii i kultury. Jak pisze w posłowiu autorka przekładu Teresa Worowska, nie uważał „przeklętej historii" przelewu krwi za jedyną historię ludzkości. Sądził, że jej prawdziwe dzieje kryją się w twórczości, której najgłębszą warstwą jest słowo pisane. Bo tworzący świat Logos właśnie w nim przejawia się z największą mocą.

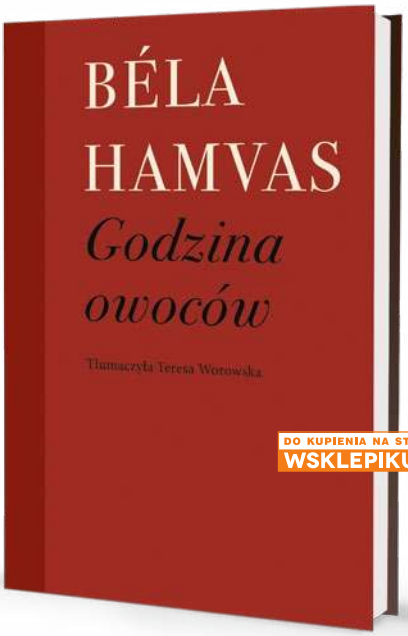

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Béla Hamvas, „Godzina owoców", Próby 2024

eprasa.pl f32322db13

Poznajcie polski plan na rzecz energii i klimatu

Transformacja energetyczna w Polsce wymaga gigantycznych inwestycji, zarówno w odnawialne źródła jej pozyskiwania, jak i w energetykę jądrową. Ale w najbliższych latach paliwa kopalne nadal będą odgrywały istotną rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa energetycznego kraju

Goście Energetycznego Forum, które w pierwszym dniu wiosny redakcja „Gazety Bankowej" i portalu wGospodarce.pl organizowała już po raz drugi, dyskutowali przede wszystkim o możliwościach i perspektywach zmian, które muszą się dokonać w polskiej energetyce w kontekście realizacji Europejskiego Zielonego Ładu, mającego doprowadzić Stary Kontynent do „zeroemisyjności" w połowie wieku.

Zgodnie podkreślali znaczenie terminowej i skoordynowanej realizacji wielu inwestycji, które całkowicie przeorientują ten sektor.

Kierunki wyznacza Krajowy Plan Działań na rzecz Energii i Klimatu, który na początku marca trafił do zatwierdzenia przez Komisję Europejską. W dokumencie przyjęto ambitne założenia – na koniec dekady połowa energii wytwarzanej w Polsce będzie pochodzić ze źródeł odnawialnych, a w 2040 r. – niemal 60 proc.

AMBITNE CELE

Podczas sesji otwierającej Forum zatytułowanej „Perspektywy rozwoju odnawialnych źródeł energii w Polsce", eksperci tej branży zgodnie wskazywali na możliwości naszego kraju w zakresie inwestycji.

Branże wiatrowa i fotowoltaiczna czekają jednak na nowe regulacje, które przyspieszą realizację inwestycji, szczególnie na lądzie. Chodzi zwłaszcza o ułatwienia proceduralne i skrócenie czasu wydawania pozwoleń oraz modernizację sieci, dostawanie jej do nowych wymogów. Jednym z największych wyzwań jest rozwój sieci, tak by „odmów przyłączenia" OZE było jak najmniej.

W tym kontekście prezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej Janusz Gajowiecki mówił, że obecnie proces inwestycyjny trwa 5–7 lat, a w niektórych przypadkach nawet dekadę. Jego zdaniem w Krajowym Planie można przyjąć bardziej ambitne cele w zakresie energetyki wiatrowej ze względu na duży potencjał i zaawansowane przygotowania do inwestycji na Bałtyku.

Piotr Kisiel, wiceprezes ds. Rozwoju Rynku w Stowarzyszeniu Branży Fotowoltaicznej Polska PV, przypomniał, że choć energetyka prosumencka rozwinęła się w ostatnich latach wyjątkowo dynamicznie i mamy 1,3 mln gospodarstw domowych produkujących energię słoneczną, to jednak możliwości są większe, skoro w kraju istnieje 7 mln domów. W najbliższych latach spodziewany jest także rozwój dużych projektów farm słonecznych, na co wskazują prognozy Agencji Rynku Energii. Natomiast mniej dynamicznie będzie wzrastać liczba prosumentów.

Przypomnijmy, że w nowej – przegłosowanej w marcu przez Parlament Europejski – dyrektywie unijnej o efektywności energetycznej budynków przyjęto założenie praktycznie po-

Artykuł sponsorowany | 23/0224/F

eprasa.pl f32322db13

wszechnej instalacji paneli PV w państwach członkowskich.

UE stawia także na zielony transport, a szczególne wyzwania w tym zakresie stoją przed samorządami. Zdaniem Macieja Gisa z Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych wymiana miejskich autobusów na bezemisyjne w szybkim czasie będzie trudna, zwłaszcza że z ogólnej liczby 13 tys. tego typu pojazdów elektryczne stanowią tylko ok. 10 proc. W Krajowym Planie przewidziano także rozwój sieci autobusów wodorowych, a te się mogą okazać jeszcze droższe w eksploatacji niż elektryczne.

Wiceprezes Fundacji Wind Industry Hub Arkadiusz Sekściński uważa, że cele w zakresie OZE wpisane do Krajowego Planu można uznać za aktualne i wykonalne. Przyznał jednak, że szczególnie delikatną kwestią są systemy wsparcia. Kilkuprocentowy zwrot z inwestycji dla firm branży nie jest satysfakcjonujący. Dlatego część inwestorów zamiast systemu akcji wybiera bezpośrednie umowy z dużymi odbiorcami energii.

ATOMOWE PRZYSPIESZENIE

Uczestnicy panelu pt. „Polski program jądrowy – szansa, potencjał, finansowanie" przyznali, że energetyka atomowa jest niezbędna w procesie transformacji i odejścia od węgla, ale w przypadku inwestycji wielkoskalowych głównym wyzwaniem będzie terminowa budowa i jej uruchomienie.

Obecnie przygotowywane są dwa duże projekty. Pierwszy na Wybrzeżu, realizowany przez spółkę należącą do Skarbu Państwa – PEJ i we współpracy z koncernami amerykańskimi Westinghouse (jako dostawcą technologii) oraz Bechtel (wykonawca). Drugi planuje Polska Grupa Energetyczna oraz spółka ZE PAK (należąca do Grupy Polsat Zygmunta Solorza) w rejonie Pątnowa, we współpracy z koreańskim potentatem KHNP.

Wojciech Dąbrowski, były prezes PGE, uważa, że energetyka jądrowa to przyszłość, a powstanie elektrowni w Polsce wynika z konieczności zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego i realizacji celów redukcji emisji. „Walka z CO_2 to trend ogólnoświatowy, a doskonałym narzędziem jest energetyka nuklearna" – dodał.

II Energetyczne Forum portalu wGospodarce.pl
z udziałem przedstawicieli branży, ekspertów i decydentów było okazją do wymiany opinii na temat wyzwań czekających polską elektroenergetykę w kontekście unijnych celów redukcji emisji, a także związanych z nimi planowanych projektów inwestycyjnych – zarówno w źródła odnawialne, jak i w energetykę jądrową. Wskazywało także na znaczenie własnych zasobów surowcowych dla zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego kraju. Debaty prowadziliśmy w studiu redakcyjnym, były też transmitowane na profilu FB portalu wGospodarce.pl. Relacje z dyskusji zaprezentujemy na łamach „Gazety Bankowej".

Budowa elektrowni w gminie Choczewo ma ruszyć w 2026 r., pierwszy reaktor – w 2033 r.

Doradca zarządu spółki Polskie Elektrownie Jądrowe Robert Butzke mówił, że w spółce trwa audyt ukierunkowany na weryfikację harmonogramu, który po zakończeniu audytu będzie uaktualniony. Zapewnił też, że przy polskim projekcie niezwykle ważne są wnioski z doświadczeń amerykańskich partnerów.

Dyrektor Generalny Izby Gospodarczej Energetyki i Środowiska Bogdan Pilch przekonywał, że realizacja dużych elektrowni jądrowych jest szansą dla polskich przedsiębiorstw. Skoro wartość pierwszej inwestycji szacuje się na ok. 100 mld zł, a tzw. local content, czyli uczestnictwo krajowego biznesu nawet na 50 proc., zainteresowanie uzyskaniem odpowiednich certyfikatów, dzięki którym można starać się o zlecenia, jest bardzo duże.

Polska stawia także na małe reaktory jądrowe, które Komisja Europejska także wspiera. Kilka tygodni temu poinformowała nawet o utworzeniu tzw. aliansu przemysłowego, by ułatwić realizację projektów SMR, o czym w czasie sesji mówił Dawid Piekarz, reprezentujący spółkę ORLEN Synthos Green Energy. Firma ta jest w Polsce najbardziej zaawansowana, gdy chodzi o przygotowania do budowy małych reaktorów. A te mogą zastępować mniejsze bloki węglowe i być z powodzeniem wykorzystywane do produkcji ciepła dla miast.

WYZWANIA I ZAGROŻENIA

Radykalne zmiany, które przechodzi polska energetyka, nie mogą się dokonywać w oderwaniu od realiów i możliwości kraju, zwłaszcza gdy chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego. Mówili o tym uczestnicy sesji „Własne zasoby i surowce i ich znaczenie w czasach transformacji".

Krzysztof Tchórzewski, poseł na Sejm, były minister energii, przypomniał, że Polska wynegocjowała z Brukselą stopniowe – a nie szybkie – odejście od węgla w energetyce, by móc zapewnić bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Ekspert branży prof. Władysław Mielczarski ostrzegał, że szybka rezygnacja z energetyki węglowej w Polsce grozi katastrofą i wyłączeniami. Dlatego przynajmniej w ciągu 10–15 lat to elektrownie gazowe, węglowe i jądrowe będą kluczowe.

Andrzej Sikora, prezes Instytutu Studiów Energetycznych, uważa, że zbliża się kres wykorzystywania paliw kopalnych, a przyszłość będzie należeć najpierw do wodoru, a dalszej perspektywie olbrzymie, wręcz przełomowe znaczenie będzie mieć synteza termojądrowa.

Uczestnicy debaty wskazali również na zagrożenie, jakie niesie ze sobą uzależnienie Unii Europejskiej od importu surowców i minerałów krytycznych, których dostawcami są zwłaszcza państwa azjatyckie, a także na problem zależności od komponentów z Chin, które mają dominującą pozycję i przewagę w wielu obszarach gospodarki bezemisyjnej.

Oprac. AŁ

PARTNER DODATKU
Energa | GRUPA ORLEN

eprasa.pl f32322db13

KAMIL WODKA | AKTOR

Najpiękniejsze niebo świata

Nie jestem fanem leżenia na plaży i wypoczynku w jednym miejscu typu all inclusive. Najchętniej wsiadam w samochód i ruszam w eurotrip – zwiedzam kilka państw w ciągu dwóch tygodni. Ostatnio pojechaliśmy przez Niemcy, byliśmy we Francji, w Alzacji – zakochałem się w tym rejonie. Winnice, które tam mają, malownicze miasteczka, rzeki i kanały, tamtejsza kultura... Wszystko robi niesamowite wrażenie.

Wróciliśmy do Polski przez Szwajcarię, Austrię i Czechy. Było świetnie. Wyznaję zasadę, że jeśli dokądś jadę, chcę zobaczyć jak najwięcej. Tempo takiego podróżowania to dla mnie atut, liczba pozytywnych bodźców też. Ale doceniam również, gdy można się na chwilę zatrzymać, zachwycić, pokontemplować.

Mam nadzieję, że kiedyś wrócę do Chile, a bardziej precyzyjnie: na pustynię Atakama, gdzie widziałem najpiękniejsze niebo na świecie. Do Ameryki Południowej trafiłem prawie 10 lat temu, by... zagrać główną rolę. Można powiedzieć, że był to mój ekranowy debiut, ale dość niezwykły. Niekomercyjny.

Studiowałem na drugim roku łódzkiej filmówki, gdy otrzymałem propozycję od uczniów warszawskiego LO im. Ignacego Domeyki. Postanowili nakręcić film o swoim patronie – przyjacielu Mickiewicza, w Polsce, mam wrażenie, mało znanym, za to bardzo docenianym w Ameryce Południowej. Badaczu, geologu, mineralogu, inżynierze górnictwa... bohaterze Chile. Tytuł filmu brzmiał: „Skarb Domeyki".

Trafiłem do tego projektu w wyniku licznych zbiegów okoliczności i była to jedna z ciekawszych przygód w moim życiu. Trzy tygodnie spędziliśmy w Chile, byliśmy też w Paryżu i Wilnie. Przy tej realizacji połączyłem moje dwie największe pasje: aktorstwo i podróżowanie.

Podobnie było przy kinowym filmie „Dziewczyna influencera". Na Malcie, gdzie powstawały zdjęcia, dotarło do mnie, że przestałem być osobą prywatną również poza krajem. W Polsce, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał sobie zrobić zdjęcie z „Nowym", czyli ratownikiem Gabrysiem z serialu „Na sygnale". Na Malcie rozpoznano mnie w knajpie, kojarząc z produkcją Netfliksa. I było to trochę dziwne, bo siedzieliśmy z Joasią Koroniewską, która wydawałoby się, że jest o wiele bardziej popularna, gdy podeszła do nas kobieta, pytając, czy nie grałem w serialu „Sexify".

Poza podróżowaniem od lat moją pasją jest taniec (od hip-hopu po style latynoskie i współczesne); półtora roku temu zostałem certyfikowanym nauczycielem jogi, odkrywam też rękodzieło.

Udało mi się kupić domek na wsi – na tyle blisko Warszawy, że można szybko wrócić na plan i na tyle daleko, by oderwać się od szumu oraz pośpiechu miasta. Mam w nim warsztat, w którym mogę realizować rękodzielnicze, twórcze pasje. A wokół tylko pola i las.

Odkąd zostałem instruktorem jogi, marzyła mi się podróż do Indii i zdobywanie kolejnych doświadczeń w tamtejszych aszramach. Ale ponieważ jestem aktorem, który przez lata zajmował się tańcem, chętnie połączyłbym taką podróż z udziałem w produkcji Bollywood.

Na razie wybieram się do Indii na majówkę.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f32322db13

SŁODKO-SŁONY

Zielony sos

ANNA MONICKA

Wiosna już właściwie nadeszła. Bardzo wcześnie zasypała nas kwiatami, które nagle zakwitły po pierwszej burzy. U nas zagrzmiało tylko trzy razy, ale lunęło solidnie i był to całkiem ciepły deszcz. W moim ogródku pierwsze pojawiły się szczypiory, mają już kilkanaście centymetrów. Wychodzą też czosnki niedźwiedzie – trochę im u nas za sucho, więc raczej nie mogę się spodziewać pachnących łąk takich jak te, które widziałam w lesie pod Reczem czy w okolicach Wlenia, ale na parę słoiczków wiosennego pesto się uzbiera. Bardzo nam już brakuje takich świeżych witamin. Dorodne nacie wypuściły też pietruszki, po które specjalnie jeżdżę na targ, bo sklepowe zazwyczaj za długo leżały w chłodniach, żeby można z nich było jeszcze coś wykrzesać.

Takie pesto to prawdziwe błogosławieństwo – powinno się je aplikować jak lekarstwo każdemu, komu brakuje sił na przednówku. Klasyczne powstaje z bazylii i o tej porze roku składniki na ten przepyszny sos najlepiej pozyskać w domu z uprawy młodych, zielonych listków. Przygotowuje się ją tak samo jak zagonek rzeżuchy, tyle tylko, że plantację lepiej założyć nie na ligninie, lecz w pojemniczku z dobrą ziemią, żeby roślinki mogły wyciągnąć z niej jak najwięcej składników odżywczych.

Microgreens ścina się, gdy wykształcą pierwszą parę liści, zazwyczaj po 2–3 tygodniach, chociaż rekordziści potrafią nabrać odpowiednich rozmiarów nawet w 7–10 dni. Wszystko zależy od tego, czy dostaną odpowiednio dużo słońca i czy będziemy regularnie zraszać ustawiony na parapecie zagonek letnią, odstałą wodą.

W sklepach ogrodniczych albo w internecie można kupić specjalne nasiona przeznaczone do takiej uprawy. Są różne rodzaje brokułów, kapust, rzodkiewek, buraków, kalarep, a także słoneczniki, gorczyca, kapusty, sałaty, koper, kolendra, moje ukochane nasturcje... Smakują jak nowalijki, ale mamy gwarancję, że nie zostały podpędzone i opryskane czymś niezdrowym.

Oczywiście można je jeść w sałatkach albo jako sos – świeże liście trzeba zmiksować z oliwą, czosnkiem, sokiem z cytryny, solą i pieprzem. Do pesto dokładamy jeszcze zmiksowane podprażone migdały albo pestki słonecznika lub, jak we włoskim oryginale, orzeszki piniowe, zarumienione na suchej patelni. Jeszcze odrobina parmezanu lub naszego twardego dojrzewającego sera bursztyn i gotowe. Polecam z makaronem i pomidorkami koktajlowymi.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Ptaki śpiewające w nocy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dla niektórych gatunków ptaków, niekoniecznie nocnych, noc jest porą śpiewu. Przez kontrast z ciszą, ciemnością i chłodem, który jednocześnie ziębi i zapowiada wiosnę, podkreślony pachnącymi śliwami i nieco późniejszymi czeremchami, śpiew tych gatunków brzmi zaskakująco, nietypowo i czarownie.

Wczesną wiosną o pogodnym zmierzchu zaczynają śpiewać drozdy śpiewaki. Ich upierzenie, na pierwszy rzut oka niepozorne i maskujące, widziane z bliska intryguje wzorem z ciemnych kropeczek na żółtawym spodzie ciała. Kiedy jednak drozdy zaczynają śpiewać z wierzchołków leśnych drzew, jest na tyle ciemno, że nie widać ich kolorów, słychać za to głośne, przypominające grę na flecie zwrotki.

Chociaż głos siewkowatej słonki nie do końca, przynajmniej w powszechnym znaczeniu, można nazwać śpiewem, jest jednym z bardziej intrygujących głosów nocy. Samiec zaczyna oblatywać skraje i przecinki wilgotnych lasów, kiedy jest już ciemno. Podczas gdy samica długim dziobem o miękkiej, ruchliwej końcówce sonduje warstwę liści i gleby w poszukiwaniu dżdżownic, samiec bardzo powolnym lotem przemieszcza się po rewirze, wabiąc to głośnym pochrapywaniem, to bardzo wysokimi piskami.

Ok. godz. 22.00 i później w gęstych krzewach oraz iglastych drzewach zaczyna śpiewać rudzik – ten sam niewielki ptaszek o rudej piersi i części twarzowej, którego możemy obserwować w dzień, kiedy zajmuje się łapaniem owadów, wiciem gniazda i wysiadywaniem. O podobnej porze, lecz bardziej zaawansowaną wiosną – pod koniec kwietnia i w maju – nocą w wilgotnych zaroślach kląskają słowiki (w Polsce występuje słowik szary oraz rdzawy, śpiewający również w dzień).

Jeżeli ktoś późną wiosenną lub letnią nocą wjedzie do „Płużyn ciemnego boru" albo w ogóle do boru w rozumieniu siedliska leśnego tworzonego przez sosny na piaskach, może usłyszeć monotonne warczenie „errrroerrrr..." – to lelek kozodój lata po polanach i wrzosowiskach, dołączając do swojego repertuaru klaskanie skrzydłami. O tej późnej porze i w podobnych miejscach przy księżycu śpiewa lerka, czyli skowronek borowy.

Gdy noc jest jeszcze ciemna, lecz już wyczuwa się nadchodzący dzień, masowo zaczynają śpiewać kosy, a także kopciuszki, na które jeszcze czekamy, aż powrócą z krain śródziemnomorskich.

eprasa.pl f32322db13

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat)	NA POZYCJI	196
NETIA	NA POZYCJI	192
orange	NA POZYCJI	32
vectra	NA POZYCJI	825
PLAY (dawniej UPC)	NA POZYCJACH	339 dekoder Mediabox; 121 dekodery KAON i Horizon

Autopromocja

www.wPolsce.pl

eprasa.pl f32322db13

Michał Korsun prezentuje:
Listonosz puka trzy razy, ABW wcale

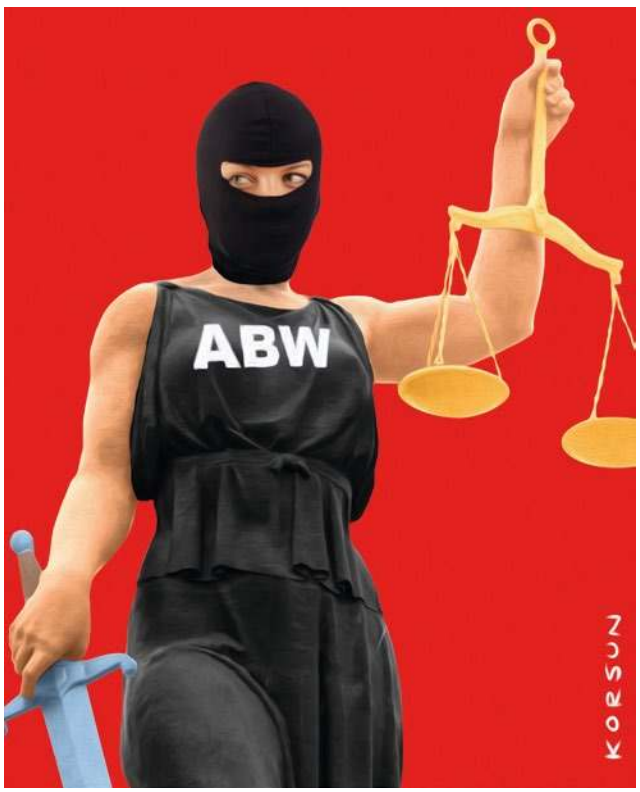

Wycinki z przeszłości

Rzut oka na tę notatkę i ilustrację z 1914 r. („Kalendarz Gebethnera i Wolffa") dotyczące analfabetyzmu w Europie pokazuje, jak wielka była skala tego zjawiska zaledwie 110 lat temu. Najmniej analfabetów było w Rzeszy Niemieckiej, najwięcej w Rumunii. Zwraca uwagę zacofanie Imperium Rosyjskiego, w tym ziem polskich. Przyczyna? „Na Rosję, posiadającą jedną czwartą część całej ludności Europy, przypada tylko dwudziesta część z ogólnej sumy wydatków wszystkich państw europejskich na cele szkolnictwa ludowego".

Edukacja zawsze oznaczała też zamożność, świadomość narodową, sprawne państwo. Dziś niektórzy narzucają odwrotny kierunek – skasowanie programów nauczania, odejście od prac domowych. Chcą cofnąć czas? Czy głupi ludzie są szczęśliwsi? A może łatwiej nimi manipulować?

(mk)

Logika

Logika (gr. logos – rozum, słowo, myśl) – nauka formalna traktująca o regułach poprawnego rozumowania i uzasadniania twierdzeń. Za czasów Arystotelesa, jej prekursora, była traktowana jako dział filozofii. Współcześnie została wchłonięta przez matematykę i jest stosowana w różnych dziedzinach, zwłaszcza w informatyce i sztucznej inteligencji.

Logika elementarna bazuje na zdaniach oznajmujących, którym można przypisać tylko jedną z dwóch wartości logicznych: prawdę lub fałsz. Wbrew pozorom nie jest to jakaś wiedza tajemna. Wielu ludzi nieposiadających wykształcenia akademickiego potrafi dostrzec absurdy, opierając swe rozumowanie wyłącznie na tzw. zdrowym rozsądku.

Ostatnio jedna ze strajkujących rolniczek zwróciła uwagę na niekonsekwencję działań Parlamentu Europejskiego. Skoro wszyscy rządzący krajami UE przyjęli za pewnik, że w ciągu trzech lat Rosja zaatakuje Europę, dlaczego zamiast gromadzić zapasy żywności na czas wojny, forsuje się Zielony Ład, dewastujący europejskie rolnictwo i hodowlę? Przecież to nie ma sensu!

W świecie półprawd, postprawd, tischnerowskich „gównoprawd" i zwykłych, ordynarnych kłamstw, zwłaszcza przy podejmowaniu ryzykownych decyzji, logika powinna być ostatnią deską ratunku. Tak postępują ludzie mądrzy, kierujący się racjonalnymi przesłankami i dobrem ogółu. Niestety dla wszelkiej maści ideologów logika jest główną przeszkodą w osiąganiu zamierzonego celu. Przykłady? Nagromadzenie bzdur wokół ideologii gender jest porażające. Czy ja, Lech Makowiecki, mogę zajść w ciążę? Czy polityka migracyjna Brukseli nie jest megamasochistyczna? Czy Macron, prący do wojny z Putinem, jest do niej przygotowany? Itp., itd.

PS Aby utrzymać dowolny reżim przy władzy (nim zawali się pod ciężarem głoszonych idiotyzmów), należy wyrugować ze szkół logikę. I skutecznie bronić każdej, najbardziej niewiarygodnej bredni! A oponentów zastraszać i surowo karać!

Za głoszenie prawdy sąd ludowy Aten potraktował Sokratesa cykutą...

Lech Makowiecki

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl f32322db13

OD A DO ZYBERTOWICZ

Zło „ładnie i bardzo prosto opisane”

Macierzyństwo przestaje być priorytetem, poświęcanie się dla drugiego to niemal średniowieczny zabobon

Aborcja jest złem. To nie jest żadne ok, jak lansuje „Gazeta Wyborcza”. To akt skrajnej rozpaczy, pustki, beznadziei. Tak uważam. Nie ja jedna.

WŁADCZYNIE ŻYCIA

O aborcji znowu głośno, bo Tuskowy rząd przymierza się do obiecanej liberalizacji prawa aborcyjnego. Koalicja rządząca nie jest jednak w tej kwestii zgodna. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia proponuje referendum i apeluje o spokój, a posłanka lewicy Anna Maria Żukowska odpowiada mu: „W...j z tym spokojem”.

„Dziennik Gazeta Prawna” (14 marca 2024 r.) opublikował wyniki niedawnego sondażu przeprowadzonego wśród Polaków. W ciągu ostatnich pięciu lat poparcie dla aborcji na życzenie właściwie nie rośnie, choć jest jednak względnie duże. Taką aborcję popiera blisko jedna czwarta Polaków. Najwyraźniej przewrotna fraza „reprodukcyjne prawa kobiet” uśpiła czułość wielu dusz.

Czasami zastanawiam się, dlaczego „czułość” – w znaczeniu, które nadała temu słowu w mowie noblowskiej Olga Tokarczuk – w środowiskach lewicowych nie ma zastosowania wobec trwającej kampanii odczłowieczania ludzkiego płodu? Wielu zwolennikom aborcji przez gardło nie przejdzie zwrot „dziecko nienarodzone”. Te same osoby, które „mordercami” nazywają ludzi zabijających zwierzęta na mięso, życie kiełkujące w łonie matki mają za nic. Walczą o planetę, każdą roślinkę i robaczka, a w reakcji na prawo, które ma chronić człowieka od poczęcia aż do śmierci, krzyczą: „Piekło kobiet”.

PRO-LIFE

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk jest współzałożycielką i prezesem Fundacji Grupa Proelio. Razem z mężem prowadzi kampanię „Każde życie jest cudem”. Liczne feministki jej nie znoszą.

W wywiadzie, który ukazał się w ostatnim numerze „Pressji” (pismo Klubu Jagiellońskiego), podkreśla, że działania na rzecz ochrony życia poczętego to nie tylko kwestia zakazu: „Widzę potrzebę kompleksowego działania na rzecz wartości. Ochrona życia to nie tylko dobre prawo, które chroni życie dziecka poczętego, lecz przede wszystkim szczęśliwi małżonkowie. Tacy ludzie potrafią przyjąć i pokochać nawet najciężej chore albo nieplanowane dziecko i być szczęśliwi”.

Korzekwa-Kaliszuk ukończyła prawo i psychologię na UW. Nie lukruje rzeczywistości i podkreśla, że urodzenie dziecka z wadami letalnymi jest tak niewyobrażalnym doświadczeniem, że kobieta nie poradzi sobie bez odpowiedniego wsparcia. Zaś ta, która jest otoczona miłością i opieką, potrafi znieść bardzo wiele.

Współczesna kultura nie lansuje tradycyjnego małżeństwa na dobre i złe. Przeciwności losu należy nie tyle przezwyciężać, ile eliminować. Po co się męczyć, jeśli dziecko ma być niepełnosprawne i może przekreślić karierę. Macierzyństwo przestaje być priorytetem, poświęcanie się dla drugiego to niemal średniowieczny zabobon.

PROFESJONALISTKA

Gizela Jagielska jest ginekologiem wykonującym legalne aborcje: „Mogę pomóc zarówno pacjentce, która ma niewydolność serca IV w skali NYHA, czyli minimalny wysiłek powoduje u niej duszności oraz objawy stenokardii i ta ciąża stanowi dla niej poważne zagrożenie życia ze względów kardiologicznych, jak i pacjentce z zaburzeniami depresyjnymi, które przez ciążę uległy znacznemu pogorszeniu, więc jest to zagrożenie zdrowia psychicznego” – wyjaśnia w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” (17 czerwca 2023 r.). I zdradza coś jeszcze.

Na studiach medycznych nie uczono aborcji, nie było jej w programie. Na pytanie dziennikarki, jak się zatem nauczyła, wyznaje: „Na szczęście mamy internet i możemy jeździć po świecie. Ale to nie jest też tak, że w szpitalu klinicznym, w którym początkowo pracowałam, nie robiliśmy aborcji. Robiliśmy, głównie ze względów embriopatologicznych. Teraz jednak wiem, że te zabiegi nie były wykonywane zgodnie z wytycznymi WHO. Dlatego też pewnie mieliśmy problemy techniczne i to trwało za długo”.

Pani ginekolog dobrze opanowała swój fach, a jeśli czegoś nie wie: „Jest internet, a w nim wytyczne FIGO [Międzynarodowa Federacja Ginekologii i Położnictwa] i WHO, w których to jest ładnie i bardzo prosto opisane”.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl f32322db13

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI

WYBIERZ SUBSKRYPCJĘ 50% TANIEJ!

- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl, również te w sekcji Premium+ – to ponad 1 000 tekstów rocznie!
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ponad 1 500 tekstów rocznie!
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl f32322db13

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

POLITYKA NA DESER

CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują dla Państwa znani i lubiani:

- **Dorota Łosiewicz**
- **Krzysztof Feusette**
- **Stanisław Janecki**

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat)	NA POZYCJI 196
NETIA	NA POZYCJI 192
orange	NA POZYCJI 32
vectra	NA POZYCJI 825
PLAY (dawniej UPC)	NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox, 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl f32322db13